

MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt III.

za.

M A R Z E C

1900.



TREŚĆ:

- I. Dziwacy i dziwactwa *Ludwik Straszewicz.*
- II. Dla chleba *Kasimierz Puffke.*
- III. Walka nad przepaścią *W. S.*
- IV. Wielka wojna (dokończenie) *Karol Szajnocha.*
- V. Uroczystości w Watykanie *Ks. Franc.*
- VI. Piśmiennictwo (Pierwszy miesięcznik w Polsce) *Wiktor Gomulicki.*
- VII. Wizerunki literackie (Karol Szajnocha) *W. Dobro-Wolski.*
- VIII. Z dziedziny nauki.
- IX. Z dziedziny politycznej. *K. P.*
- X. W ojców ślady. *K. Laskowski.*
- XI. Dusiele w Bengalu. *L. Boussetard.*
- XII. Ze świata kobiecego. *L. Cwierczakiewiczowa, E. Żmijewska.*
- XIII. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego

Marszałkowska № 141.



JAN ZIEMSKI

Marszałkowska № 144, róg Rysiej

w WARSZAWIE

Poleca: Uprząże, Siodła, Przyrządy do ujeżdżania koni, Dery zimowe i letnie, Kufry, Walizy, Nesesery i wszelkie przybory podróżne, Banniki przesyła gratis.



Kwiaty w Kościele.

W artykule, zamieszczonym pod tym samym tytułem w № 8 „Przeglądu Katolickiego“, ksiądz A. Bryczyński pisze:

„Kościoł — to dom Boży, to świątynia Pana zastępów, przeto i on sam jako budynek i to wszystko, co się w nim znajduje, powinno różnić się od domów ludzkich kształtem i odznaczać szlachetnością i pięknnością form oraz wstku. A więc to wszystko, co służy do codziennego, domowego użytku, lub jest ordynarne i pospolite, albo brzydkie a wstretne, nie powinno się w kościele znajdować“.

Do tego rodzaju szpecących ozdób zalicza Sz. Autor stanowczo kwiaty papierowe, które przytem grożą niebezpieczeństwem pożaru i kwiaty włózkowe, będące zbiornikiem kurzu i schronieniem owadów, a zaleca jedynie, oprócz świeżych kwiatów, kwiaty metalowe.

„...biorąc rzeczy praktycznie, w kościele możliwe są tylko kwiaty metalowe, a pożądane jedynie świeże roślinne. Kwiaty metalowe ładne są odpowiednio na zimę, gdyż nie przedsta-

wiają żadnego niebezpieczeństwa i są trwałe.“

Dotycząca, zbyt wysoka cena i trudność znalezienia kwiatów metalowych, sprowadzanych z zagranicy, stały na przeszkodzie do rozpowszechnienia tych trwałych i pięknych ozdób świątyni. Obecnie jednak posiadamy w Warszawie pierwszą fabrykę kwiatów, wieńców i girland metalowych, której, właściciele pp. **Makowski i Rauer**, stanęli odrazu na wysokości zadania, gdyż wyrobili ich, nieustępując zagranicznym trwałością i estetycznym wyglądem, przewyższają je o wiele taniością.

Dzięki uprzejmości właścicieli, którzy wszystkim zwiedzającym, nawet bez zamiaru kupna, najchętniej przedstawiają swe wyroby, oglądaliśmy w składzie fabrycznym przy ulicy **Senatorskiej № 22**, na piętrze, te prawdziwie piękne i godne zdobić świątynio pańskie, kwiaty i girlandy. Osoby zainteresowane mogą zapoznać się z wyrobami fabryki z przesyłanych, na żądanie, franco i gratis, cenników ilustrowanych.

eros. 2922/1900/3/4

Miesięcznik KURJERA POLSKIEGO

pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Tom I

r. 1900.



WARSZAWA

Druk M. Lewińskiego, Marszałkowska 141.

1900.

с. 222 / 1900 / 3/4.

Дозволено Цензурою
Варшава. 15. Марта 1900 г.



K.472/56/7

SPIS RZECZY.

zawartych w tomie I za r. 1900 „Miesięcznika Kurjera Polskiego“.

Strona.

Sprawy społeczne.

Praca społeczna a politykowanie. <i>Ludwika Straszewicza</i>	1
Ilu nas jest? <i>Ludwika Straszewicza</i>	15, 206
Od czego zacząć. <i>Ludwika Straszewicza</i>	193
Dziwacy i dziwactwa. <i>Ludwika Straszewicza</i>	385
Dla chleba. <i>Kazimierza Pułłkego</i>	392

Historja.

Wielka wojna. <i>Karola Szajnochy</i>	297, 415
Dzieje Boerów. <i>L.</i>	272

Z dziedziny nauki.

W poszukiwaniu Andréé'go. <i>C. R.</i>	72
Plaga alkoholu. <i>L. P. T.</i>	261
Zmora minęła!	481

Krajoznawstwo.

Warszawa. <i>W. Gomulickiego</i>	53
Lublin. <i>Gustawa Dolńskiego</i>	237

Piśmiennictwo.

Wizerunki literackie.

Władysław Syrokomla.	68
Zygmunt Kaczkowski. <i>W. Dobro-Wolskiego</i>	247
Karol Szajnocha. <i>W. Dobro-Wolskiego</i>	476

Krytyki i sprawozdania.

(Ludzie Bezdomni Żeromskiego, Argonauci Orzeszkowej, Co i jak czytać? Kozłowskiego) <i>Lacha</i>	252
Pierwszy miesięcznik w Polsce. <i>W. Gomulickiego</i>	464

Sprawy bieżące.

Z dziedziny politycznej. <i>K. P.</i>	83, 282, 507
Przegląd teatralny	89, 288
Przegląd rolniczy. <i>Tentam</i>	94
Na tle spraw bieżących. <i>Lacha</i>	102
Ruch muzyczny. <i>Feliksa Starczewskiego</i>	292
Uroczystości w Watykanie. <i>Ks. Franc.</i>	448

P o w i e ś c i.

W ojców ślady... <i>K. Laskowskiego</i>	113, 321, 513
Dusiele w Bengalu. <i>L. Boussenarda</i>	145, 337, 529
Spowiedź oygana	37
Tajemnica. <i>Czechowa</i>	232
Walka nad przepaścią <i>W. S.</i>	407

Ze świata kobiecego.

Mody, rady i wskazówki ze wszystkich dziedzin życia domowego,
przepisy praktyczne i t. d. (w każdym zeszyocie).

Rozmaitości.

Naukowe społeczne. Zadania, łamigłówki i t. d. (w każdym zeszyocie).

Dziwacy i dziwactwa.

Czy też zauważyłeś, czytelniku, że w powieści polskiej rzadziej niż w innych spotkać można dziwaków?

Dzieją się różne rzeczy: ludzie kochają, cierpią, krzywdzą; bywają źli, dobrzy, nawet zbrodniarze i bohaterowie, ale zawsze z pozorów i z treści podobni są do odpowiedniego, przeciętnego typu, niewykraczający poza pewne ramki, pospolici. W literaturach innych nie tak. Nie ma cokolwiek lepszej powieści angielskiej, w którejbyśmy nie znaleźli jakiejś postaci, odmiennej od otoczenia, a więc posiadającej własne ja, niezależne ani od mody, ani od nałogów sfery. Powieści wielkiego Dickensa roją się poprostu od osób cudacko ubranych, mówiących w sposób sobie tylko właściwy, i, co główna, inaczej niż ogół myślących i postępujących.

Pochodzi to stąd niewątpliwie, że i w życiu naszym mało jest ludzi, chcących i umiejących patrzeć na świat z własnego punktu widzenia; rzadko spotykają się osoby, które o stosunkach, o potrzebach ogółu, o prawach i obowiązkach jednostek nie biorą myśli gotowych, będących w obiegu, lecz dochodzą do jakichś wniosków pracą swojej głowy. A i odwaga coś znaczy: boją się ludziska wyróżniać wśród tłumu zarówno postacią, jak zdaniem i postępowaniem. Wszędzie dziwactwo jest niewygodne, a u nas bardziej niż gdziekolwiek. Opinia nie może znosić żadnej odmienności: jeśli chodzi o rzeczy drobne—szydzi, w sprawach cokolwiek ważniejszych—gorszy się, gniewa, krzyczy, często poniewiera.

A jednak ludzie oryginalni są wszędzie i zawsze potrzebni, bywają bardzo pożyteczni. Wprowadzają oni do życia pierwiastki nowe, bronią społeczeństwo od skostnienia w raz przyjętych przyzwyczajeniach, często rozszerzają ścieżki, po których kroczą narody.

Nie mówimy naturalnie o figurach, które oryginalność swoją ograniczają do krzyczącego krawata, do cudackiego ekwipażu i warjackich manier—niech sobie opinja robi z nimi, co jej się podoba. Chodzi o niepospolite umysły i charaktery, które nie chcą się kręcić w istniejącem ogrodzeniu życiowem, które pragną dług swój wobec zbiorowości ludzkiej spłacać w sposób odmienny od form przyjętych.

Z takimi mądra opinja powinna postępować ostrożnie. Nie należy każdej oryginalności podawać za szkodnictwo; wprawdzie szkodnictwo ukazuje się czasem w tej postaci, ale też ma ją również i płodna gorliwość obywatelska; omyłka w obu wypadkach jest grzechem. To też nie należy krzyczeć wprzód, nim się poznało rzecz spokojnie a dokładnie; nie należy zmuszać każdego obywatela, aby zawsze to tylko robił, co inni i tak jak inni.

Uwagi powyższe wypisaliśmy dla tego, że w Krakowie ukazał się dziwak i wywołał już nieco krzyku, a podobno wiele ukrytej niechęci i przeciwdziałania. Dziwakiem tym jest profesor Lutosławski. Wiele on krzyczących rzeczy popełnił. Największe z dotychczasowych nosi tytuł *Euleterja!*

Lutosławski teraz, zdaje się, dopiero dochodzi wieku średniego; jest rodem z Drozdowa pod Łomżą, ale oddawna już opuścił strony rodzinne i tułał się po wschodzie i zachodzie: ożenił się w Hiszpanji, jakiś czas wykładał w Kazaniu, wreszcie niedawno osiadł, bodaj na stałe, jako docent wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie.

Pierwszy raz usłyszeliśmy przed kilkoma laty o Lutosławskim, jako o badaczu dzieł Platona. Już to było dziwactwem—komu by to u nas w czasach powszechnej nienawiści do klasycznej starożytności przyszło do głowy wracać do Grecji, która kością w gardle stała w szkołach.

Lutosławski ogłaszał potem różne prace w różnych językach, wszystkie odznaczały się zawsze pewną zadzierzystością, wszystkie mówiły coś takiego, czego ludzie nie przywykli słyszeć. Niechęć wcale powiedzieć, aby mi się wszystko, co Lutosławski pisał, podobalo. Rozprawa o pesymistach, drukowana lat temu kilka w „Ateneum“, trafiła mi do przekonania bardzo; polemika zeszłoroczna w temże piśmie z p. Mahrburgiem nie wydaje mi się słuszną. Nie zgadzam się również na wszystko, co pisał Lutosławski w „Kraju“ o wychodźstwie uczonych, literatów i artystów, choć sądzę, iż temat ten nie dosyć spokojnie w swoim czasie roztrząsano.

Do „dziwactw“ zaliczyć też pewnie wypada przygodę Lutosławskiego w Lipsku: poszedł na posiedzenie hakatystów i chciał ich przekonać, że robią źle; hakatyści naturalnie wyrzucili go za drzwi. Czyż to nie dziwactwo wierutne, chcieć przekonywać ludzi, którzy nie chcą być przekonani. Lutosławski jest bardzo inteligentny i doskonale z pewnością wiedział, co go czeka, a jednak poszedł, bo był zdania, iż tak postąpić należy, bez względu na następstwa.

Zostawszy docentem filozofji, urządził t. z. „seminarjum filozoficzne“, t. j. dysputy ze słuchaczami o tematach filozoficznych, a więc o wszystkim. Podobno przytem bratał się ze studentami, spędzał z nimi wieczory, robił wycieczki i t. d. Utworzyło się kółko przyjacielskie, ożywione duchem Lutosławskiego, a z tego powstała Eleuterja.

Treścią zaś ducha Lutosławskiego, jego przekonań *miłość*. Eleuterja to „gmina miłości“.

„Młodzież łączy się w grupy i w miejscach opromienionych wspomnieniami wielkich czynów miłości odbywa spowiedź publiczną ze wszystkich porywów, tęsknot i grzechów. Każda grupa niechaj wybierze naczelnika swojego i ktokolwiek przystępuje do „bractwa miłości“, niech odsłoni duszę w głośnej spowiedzi, bez wszelkich zastrzeżeń, aby przygotować grunt dla idei miłości, służenia bliźniemu sercem i czynem. Wszyscy mówią sobie „ty“, kobiety i mężczyźni. Wszyscy są braćmi i siostrami i nigdy w duszy brata wobec siostry nie zagości pożądanie kobiety. Precz ze wstydem fałszywym! Młoda dziewczyna musi tak samo odbyć spowiedź publiczną, jak młody mężczyzna, choćby oblać się miała szkarłatem rumieńca. Bo tylko w ten sposób nastąpić może prawdziwy związek dusz, oparty na szczerości, niczem nie zmaczonej. Siostra żądać będzie od brata tej samej czystości dziewiczej, której on od niej wymaga. Dusze się rozaniela, ciało-kusiciel w proch runie i nastąpi wielki tryumf bezzmysłowego miłowania—tryumf, który uleczy wszystkie bóle ziemskie i między niebem a ziemią utworzy złotą drabinę, po której aniołowie do ludzi i ludzie do aniołów chodzić będą w gościnę. Niech takie bractwa miłości powstają już pośród dzieci, niech one same je tworzą bez pomocy i kontroli starszych pokoleń. Wszelki seperatyzm płci jest wykluczony, bo tylko na podstawie braterstwa płci ciało przestanie być gnębicielem ducha i wyłoni się z piekła zmysłów, żądz i zawiści brutalnych cudowna, wielka, jak świat cały, kraina miłości“.

Prawda, czytelniku, że to jednak niepokojące? Chociaż się pewnie godziłeś na wywody początkowe o potrzebie tolerowania dziwactwa, teraz czujesz, że coś w tem może być złego. Czy pod ową poufałością młodzieży męskiej i żeńskiej nie kryje się rozpusta, lub czy z tego nie wyniknie rozpusta?

Tak, zdaje się, myśli Kraków.

A jednak, powtarzam, należy się dobrze i długo

namyślać, aby za szkodnictwo nie wziąć płodnej gorliwości obywatelskiej i nie stawiać jej bez potrzeby przeszkód—byłoby to grzechem.

Kto głębiej wnika myślą w potrzeby społeczeństwa, kto gorąco pragnie poprawy ludzi i stosunków, ten szybko się przekona, iż słowo to nasienie liche, wschodzi rzadko, wyradza się nieraz. Trzeba żywej pracy żywych ludzi. Niedosyć mówić rzeczy słuszne, przemyślane, odczute, głębokie, trzeba społeczności dać przygotować, stworzyć pracowników. Tego nie robi szkoła, nie robi obcowanie towarzyskie. Trzeba się związać węzłami silniejszymi, trzeba się poświęcić. Wskutek tej potrzeby powstawały dawniej zakony, a później związki braterskie.

Ostatnie z natury swojej, z konieczności były zawsze dziwaczne, zawsze budziły obawy, śmiechy, krzyki. Chodzi o doskonalenie treści i stwarzanie nowych form życia. Związek do tej pracy powołany musi się kłócić z przyzwyczajeniami opinji.

Jeden z najgłośniejszych związków braterskich utworzyli na początku wieku bieżącego uczniowie Saint-Simona w Menilmontant pod Paryżem. Było tam więcej i większych dziwactw, niż w Eleuterji. To też gorszono się i szydzono bez miary. Związek upadł i bracia się rozeszli, nawet się pokłócili, niemniej przeto saint-simonizm wydał olbrzymów we wszystkich dziedzinach pracy. Należeli do nich: filozof Comte, twórca pozytywizmu, jeden z najgłośniejszych ekonomistów francuskich Michał Chevalier, wielki przemysłowiec Lesseps, wielcy finansisci i filantropowie: Entantin, Pereira i t. d.

Czy Eleuterja długo trwać będzie? Naturalnie, że nie. Wszelkie twory ludzkie muszą odpowiadać pewnym warunkom, muszą być zabezpieczone przeciwko ułomnościom zawsze niedoskonałej natury człowieka. Filozofowie, reformatorzy społeczni w uniesieniu gorliwości zapominają o tem, nie chcą pamiętać; wierzą, iż pod wpływem ich nauki wyszlachetnieją serca uczest-

ników pracy, że „bracia“ zawsze będą tak czysti, jak czyste są ich idee, ich zamiary. Tak przez chwilę bywa, potem wady ludzkie występują poczynają i dzieło pęka.

Niemniej przeto święte momenty pierwotnej ekstazy, kiedy grono ludzi goreje pragnieniem dobra, kiedy sobie i innym przysięga z wiarą, ze szczerością, iż do tchu ostatniego pracować będzie bezinteresownie dla szczęścia bliźnich, dla ziszczenia nieba na ziemi—takie momenta bez skutku nie miną. Pokusy życia takich pierwiastków z duszy ludzkiej do szczytu nie wywabia. Eleuterja zginąć może nieżałowana, nawet splamiona (gdziez nie było plamy, gdzie był człowiek), niemniej przeto zbywać jej banalnemi ogólnikami nie należy i skutki jej błogie być mogą.

Dotychczasowa działalność Lutosławskiego, jego zasady, nauki filozoficzne nie upoważniają wcale do żadnych szczególnych podejrzeń, ani obaw.

A istnieje powód szczególny do radości, że w Krakowie właśnie powstał związek braterski, w imię czystości obyczajów, w imię miłości, w imię tryumfu duszy nieśmiertelnej nad brudnemi popędami ciała.

W Krakowie coś się psuje, bo zgnilizna cuchnie, Kraków wydał i rozslawił poetę lubieżności, malarze krakowscy zdobywają rozgłos tworzeniem nagiej brzydoty. W Krakowie przytułek znalazł Przybyszewski i gniazdo uwiła cała gromada pokrewnych mu bluźnierców przeciwko cnocie, przeciwko dobrym obyczajom, przeciwko wszystkiemu, z czego społeczność czerpie siły i zdrowie. Organ ich „Życie“ jest stekiem ohydy, bezwstydu, zgorszenia.

Oby Lutosławski i Eleuterja stały się przeciwwagą, oby stały się zwyciężkim wrogiem upodlenia, zagrażającego umysłem i sercom.

Ludwik Struszewicz.



WYCHODZĄCY PRZED ODJAZDEM.

W głębi widać statek, który ma tę grupę biedaków przewieźć po za ocean, do krajów niennanych. Są wśród wędrówców awanturnicy, są i wędkarze. W środku widzimy typową, smutną twarz chłopca polskiego.

D l a c h l e b a .

Wychodźtwa jest tak stare, jak stare są dzieje ludzkości. Już w najdawniejszych czasach jednostki, rodziny, niekiedy całe narody nawet opuszczały kraj swój rodzinny, aby w innych, często odległych bardzo stronach, szukać bezpieczniejszego schronienia, lub korzystniejszych warunków bytu. Były to jednak wypadki odosobnione i, biorąc na ogół, dość rzadkie. Poważniejsze rozmiary i stałe kształty wychodźtwa przybierać zaczęło dopiero około końca wieków średnich, gdy nowo odkryte, a olbrzymie i bogate kraje nęciły ku sobie żadne przygód i bogactw zastępy Europejczyków. Lecz nie tylko sama chęć zysku kierowała wychodźcami; wielu z nich opuszczało ojczyznę i udawało się za morze, aby uniknąć narodowego lub religijnego prześladowania. Z takich to jednostek rekrutowali się przedewszystkiem pierwsi koloniści Ameryki Północnej.

Wychodźtwa, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie dla chleba datuje się właściwie dopiero od początku wieku, zbliżającego się obecnie ku swemu schyłkowi; dopiero też w tym wieku zbierać zaczęło w pojedynczych państwach europejskich jako tako dokładne dane, dotyczące się liczby wychodźców. Podług tych obliczeń, ma się rozumieć w przybliżeniu tylko dokładnych, zebranych przez p. R. Dmowskiego w świeżo wydanej gruntownej jego pracy „Wychodźtwa i Osadni-

ctwo“, wyemigrowało w bieżącym wieku: z W. Brytanii i Irlandji 15,000,000, z Niemiec 5,500,000, z Włoch 2,500,000, z Rosji (z Królestwem Polskiem i Finlandją) 2,300,000, ze Szwecji i Norwegji 2,200,000, z Francji 1,200,000, z Austrii i Węgier 1,200,000, z Hiszpanji 1,000,000, z Portugalji 700,000, ze Szwajcarji, Holandji, Danji i Belgji 1,100,009 osób. Ponieważ jednak w powyższem zestawieniu mieszczą się wszystkie jednostki, które opuściły kraj swój rodzinny, nie uwzględniono zaś tych, które powróciły do niego po dłuższym lub krótszym pobycie w innych częściach świata, przeto liczba ludności, na zawsze utraconej przez Europę w tym wieku, nie przewyższa prawdopodobnie 25 milionów.

Nasuwa się teraz samo z siebie pytanie, pozostające w pewnym związku z zamieszczonym w poprzednich dwóch miesięcznikach „Kurjera Polskiego“ artykułem, „Ilu nas jest“: jaka część tej olbrzymiej liczby przypada na ludność polską. Odpowiedź jest nie łatwa, jeśli się zważy, że udział Polaków w wychodźstwie zamorskiem obliczyć wypada ze statystyki wychodźczej trzech państw europejskich, a mianowicie: Niemiec, Rosji i Austro-Węgier, że dalej w statystykach tych nie zawsze zapisywana bywa narodowość wychodźców. W takich warunkach obliczenie z samej natury rzeczy nie może być dokładnem, i wyda wynik jedynie mniej lub więcej zbliżony do rzeczywistości.

Ludność polską szła emigracyjny ogarnął względnie dosyć późno. Pierwsze jego poważniejsze objawy spostrzegamy dopiero po wojnie francuzko-niemieckiej i to wśród Polaków pod panowaniem pruskiem. Od roku mniej więcej 1875, za przykładem Niemców, ludność polska z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego coraz tłumniej wychodzić zaczyna za morze. Punktu kulminacyjnego dosięgło to wychodźstwo w r. 1884, w którym z dwóch wyżej wymienionych prowincji wyemigrowało 46,666 osób, czyli 22 procent całej emigracji niemieckiej. W przybliżeniu przyjąć można, że liczba Polaków, którzy wyemigrowali w ostatnich dwudziestu kilku latach z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego za morze, przeważnie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, wynosi pół miliona głów. W ostatnich czasach osłabło znacz-

nie, jak w ogóle w Niemczech, tak i w dwóch tych prowincjach wychodźtwa zamorskie.

Nico później niż w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich obudził się ruch emigracyjny wśród ludności polskiej państwa rosyjskiego. I co do tego ruchu nie posiadamy dokładnych danych. Ze statystyki amerykańskiej dowiadujemy się, że od r. 1873 do 1897 przybyło do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki ogółem 722,472 poddanych rosyjskich. Do tej sumy doliczyć jednak wypada dość znaczną w niektórych latach, a zwłaszcza w r. 1891 i 1892 emigrację do Brazylii. W ten sposób otrzymamy, jako ogólną liczbę wychodźców z państwa Rosyjskiego do Ameryki, co najmniej 800,000, z czego na Polaków przypadnie około 300,000. Nadmienić trzeba, że w wychodźtwie tem zamorskiem z Rosji biorą wyłącznie prawie udział Polacy, Litwini, Finlandczycy, Niemcy i Żydzi. Emigracja zaś, w niektórych latach dość silna, z gubernji czysto rosyjskich kieruje się przedewszystkiem do Syberji.

Przypatrzmy się teraz pojedynczym okresom i objawom wychodźtwa zamorskiego z Królestwa Polskiego. Dane, zebrane w tym przedmiocie przez warszawski komitet statystyczny, wykazują, że wychodźtwa za morze, począwszy od r. 1894, znacznie się zmniejszyło, w porównaniu z pięcioleciem poprzedzającym. W okresie od 1889 do 1894 r. średnia liczba wychodźców, udających się z Królestwa Polskiego do Ameryki, wynosiła blisko 11,000 głów; w r. 1894 liczba ta podniosła się nawet do 17,000 osób. Od roku zaś 1894 przeciętna liczba wychodźców wynosiła rocznie zaledwie 4500.

Co się tyczy udziału pojedynczych gubernji Królestwa Polskiego w wychodźtwie zamorskiem, to najsilniejszy ruch emigracyjny rozwinął się w okolicach graniczących z Prusami. Mianowicie w okresie od 1889 do 1894 r. liczba wychodźców z tych okolic była najznaczniejsza. Pierwsze miejsce pod względem liczby wychodźców, w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców, zajmuje w tym okresie gubernja Suwalska, z której od r. 1889 do 1894 emigrowało rocznie na 1000 mieszkańców 5,42 osób, i dopiero po r. 1894 liczba ta spadła na 2,19 na 1000 mieszkańców. Drugie miejsce zajmuje gu-

bernja Płocka, w której zarówno w okresie od 1889 do 1894, jak i w okresie, poczynającym się od r. 1894, procent wychodźców nie wiele się różnił od procentu z gubernji Suwalskiej. Po gubernji Płockiej następuje pod względem ruchu wychodźczego gubernja Łomżyńska, w której stosunek wychodźców wynosił w okresie od 1889 do 1894 r. blisko 3 osoby na 1000 mieszkańców, a w okresie następnym 0,84 na tyśiąc. Miejsce czwarte zajmuje gubernja Kaliska (0,44 do 1,61 na 1000), piąte gubernja Warszawska (0,47 do 1,12 na 1000). Wychodźstwo z pozostałych pięciu gubernji Królestwa Polskiego było zarówno w pierwszym jak i drugim okresie bardzo nieznaczne. Z gubernji tych tylko jedna, a mianowicie Piotrkowska, graniczy na pewnej przestrzeni z Prusami. Rozwijający się jednak w tej gubernji pomyślnie przemysł powstrzymał wychodźstwo, zapewniając miejscowej ludności robotniczej korzystny zarobek. Natomiast ożywiony ruch emigracyjny w gubernji Płockiej, tłómaczy się znaczniejszą niż w którejkolwiek innej okolicy Królestwa Polskiego liczbą ludności wiejskiej bezrolnej i małorolnej.

Niepodobieństwem jest prawie obliczyć, choć w przybliżeniu tylko dokładnie, udział ludności polskiej w wychodźstwie zamorskiem z Austro-Węgier. Zresztą wychodźstwo zamorskie z Galicji nigdy nie przybrało poważnych bardzo rozmiarów. Nawet podczas gorączki brazylijskiej liczba emigrantów galicyjskich wynosiła zaledwie 3 na 1000 mieszkańców. Przyjąć można, że w ciągu bieżącego wieku wyemigrowało z Galicyi do Ameryki ogółem 150,000 osób pochodzenia polskiego.

Podług powyższego zestawienia ogólna liczba Polaków, którzy w ciągu wieku dziewiętnastego udali się do Ameryki, wynosi około 1,000,000, a mianowicie 500,000 z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego, 300,000 z Królestwa Polskiego i 150,000 z Galicji. Oczywiście, że liczba ta rościć nie może pretensji do ścisłości. Zbliża się ona jedynie mniej lub więcej do rzeczywistości, w każdym jednak razie jest ona prędzej za małą niż za wielką.

Do niezbyt dawna całe prawie to wychodźstwo zamorskie pochłaniały Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, w któ-

rych też spotykamy dzisiaj liczne i po części rozwijające się dość pomyślnie, zarówno umysłowo jak materjalnie, kolonje polskie. W niektórych miastach amerykańskich, że tylko wymienimy Chicago i Milwaukee, Polacy stanowią poważny procent ludności i zdobyli sobie udział w zarządach miejskich. Istnieje też w Ameryce Północnej cały legjon najrozmaitszego rodzaju związków i towarzystw polskich i wychodzi kilkadziesiąt czasopism w języku polskim. W ostatnich jednak czasach pogorszyły się w Stanach Zjednoczonych, wskutek przybierającej i w tym kraju coraz groźniejsze rozmiary walki o byt, warunki dla wychodźców europejskich. Zwłaszcza miejscowa ludność robotnicza spogląda coraz niechętniejszem okiem na napływ niewygodnych, bo pracujących za niższą zapłatę, współzawodników i domaga się natarczywie zatamowania tego napływu. Projektowany też jest, a po części nawet wprowadzony już w życie, cały szereg środków prawodawczych, mających na celu ukrócenie emigracji żywiółów ubogich i niewykształconych. Do takich zaś jednostek należą, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie, wychodźcy zamorscy pochodzenia polskiego.

Po części w następstwie utrudnień, stawianych w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki wychodźcom, przede wszystkim jednak wskutek agitacji niesumiennych agentów, główny prąd wychodźców polskich skierował się przed kilku laty do Ameryki Południowej, a w szczególności do Brazylii. Zwłaszcza początki tej gorączki brazylijskiej były nadzwyczaj fatalne. Jedni z tych, oszukanych kłamliwymi obietnicami, wychodźców zmarnieli krótko po przybyciu na miejsce nowego swego pobytu, inni, utraciwszy cały dobytek, powrócili jako nędzarze do ojczyzny, a nieznaczna tylko część osiedliła się w Brazylii, przeważnie w południowych stronach tego państwa, w Paranie, S-ta Catharina i San Paulo. W ostatnich latach polepszyły się podobno warunki wychodźstwa do Brazylii. Utworzyło się nawet we Lwowie specjalne Towarzystwo, zajmujące się kolonizacją niektórych okolic południowej Brazylii przy pomocy wychodźców narodowości polskiej. W każdym razie emigranci, udający się dzisiaj do Brazylii, nie są już wydani na łup bezkarny niesumiennych

agentów, lecz zasięgnąć mogą poprzednio dokładnych informacji co do warunków przyszłej swej siedziby, w której nadto spotkają cały szereg cieszących się po części korzystnym rozwojem kolonji polskich.

Oprócz powyższych dwóch głównych ognisk, skupiających w sobie główny prąd polskiej emigracji zamorskiej, istnieją jeszcze kolonje polskie w Kanadzie w północnej, i w Argentynie w południowej Ameryce, a dalej mniej lub więcej znaczne garstki Polaków, rozproszone po innych częściach świata.

* * *

Od lat kilku słabnie coraz bardziej wychodźstwo zamorskie ludności polskiej, i to nie tylko z Królestwa Polskiego ale i z Prus Zachodnich i z W. Księstwa Poznańskiego i z Galicji. Tłómaczy się to po części coraz trudniejszymi warunkami bytu w okolicach zamorskich, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, pochłaniających do niedawna lwią część europejskiej emigracji zamorskiej, oraz smutnemi zawodami, jakie spotkały wielu wychodźców, udających się nieoględnie, bez znajomości tamtejszych stosunków, za morze. Głównej jednak przyczyny zmniejszenia się tego wychodźstwa szukać należy w niezwykłym w ostatnich latach rozwoju przemysłu w Niemczech, a mianowicie w zachodnich prowincjach tego państwa, który zatrudnia coraz większe masy rąk ludzkich. Jednocześnie więc ze zmniejszeniem się zamorskiego, w największej liczbie wypadków, trwałego wychodźstwa, wzrasta w olbrzymi sposób czasowa, zarobkowa emigracja polskiej ludności robotniczej do mniej lub więcej oddalonych okolic Niemiec.

Z samej natury rzeczy ruch ten ogarnął przedewszystkiem ludność polską pod panowaniem pruskim, w Prusach Zachodnich i W. Ks. Poznańskim, a następnie przeniósł się i na Królestwo Polskie i Galicję. Wychodźcy ci szukają zarobku albo w wielkich miastach niemieckich, przeważnie w Berlinie, albo w głównych ogniskach przemysłu w zachodnich prowincjach Niemiec, albo wreszcie przy robotach polnych w środkowych i północnych, po części i we wscho-

dnich okolicach niemieckich. Jakie rozmiary przybiera to wychodźstwo, o tem objaśnia nas najlepiej fakt, że w okresie od r. 1885 do 1895 z jednego tylko W. Ks. Poznańskiego przeniosło się do zachodnich prowincji Niemiec 119,000 ludzi, że dalej, pomimo nadzwyczaj silnego przyrostu naturalnego, dzięki temu wychodźtwu, ludność wiejska Prus Zachodnich zmniejszyła się w okresie od roku 1882 do 1895 o 4,000 głów.

Wskutek tej emigracji powstały liczne osady polskie w okolicach Niemiec, w których przed niedawnym jeszcze czasem nie słyszano ani słowa polskiego. I tak, Berlin wraz z miejscowościami podmiejskimi liczy obecnie przeszło 70,000 mieszkańców narodowości polskiej. Głównem jednak ogniskiem tej emigracji są okręgi górnicze w Westfalji i prowincyi Nadreńskiej. Dość powiedzieć, że dwa powiaty westfalskie Golsenkirchen i Recklingshausen mają obecnie po 20% ludności polskiej (pierwszy 30,000, drugi 28,000). Ogółem zaś liczba Polaków w dwóch tych prowincjach przekracza 100,000. Potworzyły się też, zwłaszcza w Westfalji, liczne stowarzyszenia polskie, a w rdzennie niemieckiem do niedawna mieście westfalskiem Bochum, wychodzi obecnie dziennik polski („Wiarus“), liczący kilka tysięcy abonentów. Nie zgrzeszymy przesadą, jeśli, jako ogólną liczbę Polaków, przebywających obecnie w okolicach niemieckich, przyjmniemy 300,000. Pochodzą oni w ogromnej większości z Prus Zachodnich, W. Ks. Poznańskiego i Szlązka, w nieznaczej części z Galicji i Królestwa Polskiego.

Gwałtowny ten wzrost ludności polskiej w okolicach dawniej czysto niemieckich przez napływ żywiołu polskiego z zagranicy, wywoływać zaczyna w szowinistycznej prasie niemieckiej coraz rozpaczliwsze skargi na zalew słowiańszczyzną, zagrażający jakoby Niemcom zagładą, oraz natarczywe domaganie się środków zaradczych. Twierdzić nie można, aby rząd pruski okazał się głuchym wobec tych żądań. Podanym pruskim, co prawda, zapewnia konstytucja swobodę przenoszenia się z miejsca na miejsce. Nie było więc sposobu zatamowania dopływu ludności z Prus Zachodnich i W. Ks. Poznańskiego do zachodnich prowincji niemieckich.

Tem energiczniej wzięto się do Polaków zagranicznych. Pierwszym krokiem na tej drodze były osławione rugi bismarkowskie, które wydalily z granic państwa pruskiego, przeważnie ze wschodnich jego prowincji, przeszło 40,000 zagranicznych poddanych narodowości polskiej, przebywających po części od całego szeregu lat, a niekiedy od kilku już generacji w Prusach.

Niebawem jednak ukazały się fatalne dla gospodarstwa krajowego następstwa tego środka, podyktowanego wyłącznie nienawiścią narodową. Miejscowa ludność robotnicza odpływała ze wschodnich prowincji coraz tłumniej na zachód, szukając tam przy saskich plantacjach buraków (zład nazwa „obieżysas“, przetłomaczona z niemieckiego „Sachsengänger“, robotnik udający się za zarobkiem do Saksonji), lub w kopalniach i fabrykach westfalskich i nadreńskich korzystniejszego zarobku. Nie brak było w W. Ks. Poznańskim, Prusach Zachodnich i Wschodnich wsi, w których w czasie najpilniejszych robót polnych pozostali na miejscu jedynie starcy, kaleki, kobiety i dzieci. Dawniej luki te, spowodowane wychodźstwem miejscowej ludności robotniczej, zapełniał przyływ robotników zagranicznych, przedewszystkiem z sąsiedniego Królestwa Polskiego. Przyływ ten jednak ustał wskutek zakazu zatrudniania robotników zagranicznych. Brak zaś robotnika, uniemożliwiający wszelką racjonalną uprawę, przedewszystkiem odczuwać się dawał niemieckim wielkim właścicielom ziemskim, których majątki dostarczały największego kontyngentu wychodźtwa.

Okazało się, jak w wielu wypadkach przed tem, tak i tym razem, że w Niemczech, w sprawach, dotyczących kieszeni, ustaje nietylko uprzejmość, ale i patriotyzm. Niemieccy właściciele ziemscy nie myśleli znosić w spokoju polityki, dzięki której gnilo im w polu niesprzątnięte zboże, i zamarzały niewybrane kartofle i buraki. Wprawdzie opanowani nienawiścią Polaków, a nie uprawiający ziemi „patrijoci“ doradzali im sprowadzać robotników z Włoch, Skandynawji, z Chin nawet, świadomi jednak dobrze swych potrzeb rolnicy, nie wdając się w tego rodzaju „patrijotyczne“ eksperymenty, wystąpili z żądaniem dopuszczenia robotników

polskich. Ponieważ zaś wielcy właściciele ziemscy wschodnich prowincji, rekrutujący się przeważnie z pośród arystokracji i szlachty niemieckiej, cieszą się potężnymi wpływami na dworze berlińskim i w pruskich kołach rządowych, przeto, sformułowane kategorycznie ich żądanie, znalazło natychmiastowy posłuch, chociaż rząd ustępował tylko krok za krokiem. Najpierw więc udzielono pozwolenia na zatrudnianie robotników zagranicznych jedynie przez kilka miesięcy letnich. Następnie jednak rozszerzano stopniowo to pozwolenie, a obecnie wolno już zatrudniać takich robotników przez rok cały, z wyjątkiem dwóch tygodni od 1 do 15 stycznia. Przerwę tę ustanowiono widocznie jedynie w tym celu, aby wychodźcy nie czuli się w państwie Pruskiem jak u siebie, aby wiedzieli, że są przybyszami, których się cierpi jak zło konieczne, którzy jednak nie mają w nowej swej siedzibie prawa do stałego pobytu, a wydalich ich można każdej chwili. Niezależnie od tego i dzisiaj jeszcze zatrudnienie robotników zagranicznych połączone jest w Prusach z całym szeregiem przeszkód i formalności. Dowodzą tego najlepiej wydane świeżo przez rząd pruski przepisy, dotyczące zatrudnienia robotników z Królestwa Polskiego i Galicji w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich. Przepisy te brzmią;

1) Kto chce zatrudniać polskich robotników zagranicznych, winien uzyskać pozwolenie od władzy administracyjnej. Zatrudniać tych robotników wolno tak długo, na jak długo władza udzieliła pozwolenia. Po wsiach wydaje pozwolenie landrat (naczelnik powiatu), po miastach policja miejska.

2) Pracodawcy obowiązani są w ciągu 48 godzin zawiadomić landrata, względnie policję miejską o przyjęciu robotników zagranicznych. Takie same zawiadomienie nadesłać należy na trzy dni przed zwolnieniem robotników z pracy. W razie gdyby robotnicy samowolnie porzucili pracę, należy o tem niezwłocznie donieść policji.

3) Kto nie dopełni powyższych przepisów, może być skazany na karę pieniężną do wysokości 60 marek.

Mimo tych utrudnień, od lat już kilku z początkiem każdej wiosny, a obecnie już z początkiem roku, rozpoczyna

się zwłaszcza w okolicach Królestwa Polskiego, położonych bliżej granicy pruskiej, wędrowni, wyludniająca nasze wsie właśnie z najsilniejszych i najzdrowszych jednostek ludności robotniczej płci obojczy. Rozumie się samo przez się, że z wzrastającą niechęcią spogląda na tę wędrowni do tknięte nią pośrednio lub bezpośrednio w swych interesach miejscowe społeczeństwo i co chwila spotykamy się zarówno w prowincjonalnych jak i warszawskich pismach z mniej lub więcej uzasadnionymi skargami. Skargi te wypływają przeważnie z egoistycznych, ale także i z ogólniejszych pobudek. Jeśli więc właściciele ziemscy skarżą się na spowodowany wychodźstwem brak robotnika, to trudno im poradzić. Praca zawsze szukać sobie będzie korzystniejszego rynku zbytu, i dopóki zarobek robotnika za granicą będzie wyższy, niż w kraju, o ustaniu wychodźstwa nie może być mowy. Nie brak jednak i to bardzo poważnych głosów, dowodzących, że pobyt za granicą nie przynosi samym wychodźcom materialnej korzyści, a naraża ich na ciężkie szkody moralne. Temu twierdzeniu nie można odmówić pewnej słuszności. Nie ulega bowiem kwestji, że dążenie ku polepszeniu swego losu gospodarczego, nie stanowi wyłącznego bodźca do wychodźstwa. Wchodzi tu także w grę, zwłaszcza u młodszej generacji wychodźców, chęć uwolnienia się z pod dozoru rodzicielskiego, skosztowania w odległych okolicach nieznanym na miejscu rozkoszy i swobody. Faktem też jest dostatecznie stwierdzonym, że znaczny procent naszych wychodźców marnieje moralnie i fizycznie na obczyźnie, że, co gorsza, powracający z tej zagranicznej włóczęgi do wiosek swych rodzinnych na zimę, emigranci przynoszą z sobą nabyte za granicą zgubne nałogi, stają się rozsądnymi zepsucia. Są to jednak choroby niemowlęce, towarzyszące zawsze i wszędzie w jego początkach każdemu ogólniejszemu ruchowi społecznemu i gospodarczemu. Te same skargi na fatalne następstwa czasowego wychodźstwa, co dzisiaj u nas, rozbrzmiewały przed niedawnym jeszcze czasem w W. Ks. Poznańskim. Dzisiaj pogodzone się już jako tako z tym objawem, a nadto przekonano się, że znaczna część wychodźców, uciuławszy sobie w Niemczech mniej lub więcej zna-

czny kapitalik, powraca do stron swych rodzinnych, nabywa sobie kawałek ziemi i staje się samodzielny pod względem gospodarczym jednostkami społeczeństwa.

Swoją drogą sądzić nie należy, aby Niemcy były dla naszych wychodźców krajem, płynącym mlekiem i miodem. Zapewne że zarobek jest tam wyższy niż u nas, ale za to praca daleko też cięższa. Pracodawcy zaś niemieccy, uważając przybyszów za podlejszy gatunek ludzi, obchodzą się z nimi zawsze prawie w bezwzględny, a niekiedy w nieludzki nawet sposób. Co chwila też czytamy w dziennikach niemieckich to o barbarzyńskim znęcaniu się pracodawców lub ich zastępców nad robotnikami polskimi, to znów o groźnych zatargach pomiędzy pracodawcami a robotnikami. Oczywiście że koszta tych zatargów ponosi zawsze robotnik polski, nie obeznany ani z językiem, ani z przepisami prawa miejscowego. Władza zaś rzadko kiedy wkacza na jego korzyść, przeciwnie, korzysta z najmniejszej sposobności do wydalenia go z granic państwa.

Zresztą opinja, jaką sobie, w przeciwieństwie do poznańskiego i galicyjskiego, wyrobił w Niemczech robotnik z Królestwa Polskiego, nie należy do najlepszych. Zarzucają mu powszechnie prawie krnąbrność, lenistwo, przedewszystkiem zaś lekceważenie zawartych umów. Sądziłyśmy pierwotnie, że zarzuty te, powtarzające się bezustannie w pismach niemieckich, tłumaczą się uprzedzeniem z jednej strony, a nieznajomością odnośnych stosunków z drugiej. Zapytywany jednak przez nas w tej sprawie przed niedawnym czasem jeden z najpoważniejszych polskich obywateli wiejskich z Prus Zachodnich, który od całego już szeregu lat zatrudnia w swych majątkach robotników zagranicznych, potwierdził w zupełności te zarzuty, nadmienając jednocześnie, że nie chcąc znosić bezustannych nieprzyjemności z robotnikami z Królestwa Polskiego, sprowadził sobie w roku zeszłym po raz pierwszy partję robotników z Galicji. Pomimo daleko większej odległości, a tem samem i znaczniejszych kosztów sprowadzania robotników, eksperyment ten uwieńczony został pomyślnym skutkiem, robotnicy bowiem galicyjscy pod każdym względem jakoby przewyższają robotników z Królestwa

Polskiego. W tym roku za przykładem owego obywatela poszli wszyscy prawie jego sąsiedzi.

Nie wyłącza to jednak możliwości, a nawet prawdopodobieństwa, że skargi te umilkną, skoro nasi robotnicy obeznają się lepiej z warunkami w nowej swej siedzibie, przyzwyczajają się do rygoru i sumienności, wymaganej w Niemczech, a przede wszystkim, zaniechają nabytego w domu zwyczaju łamania kontraktów. Zwłaszcza w ostatnim tym punkcie, pracodawcy niemieccy są słusznie nadzwyczaj drażliwi i nie szczędzą starań, skutecznych zresztą zawsze, dzięki energicznemu poparciu władzy, aby przekonać robotnika, że nie wolno mu bezkarnie lekceważyć zawartej umowy i opuszczać samowolnie raz podjętej pracy.

* * *

Zastanawiano się u nas długo i szeroko nad środkami, mogącymi położyć tamę przybierającemu tak groźne rozmiarom, a narażającemu na tak wielką szkodę krajowe gospodarstwo wychodźtwa ludności robotniczej. Domagano się tu i owdzie ukrócenia wychodźtwa za pomocą środków prawodawczych i przymusowych. Środki takie są, zdaniem naszym, niesłuszne, a jednocześnie i niepraktyczne, nie prowadzące do celu. Każdemu człowiekowi przysługiwać winno prawo szukania sobie, o ile go nie wiążą na miejscu poprzedniego pobytu zobowiązania, najkorzystniejszych warunków pracy. Jeśli się zaś tłumaczy środki przymusowe względami troskliwości o przyszły los wychodźcy, którego na obczyźnie czekają same jakoby rozezarowania i zawody, to odpowiedzieć wypada, że nikogo uszczęśliwiać nie można wbrew jego woli. Faktem jednak jest najważniejszym, że ruch społeczny, tak ogólny i potężny, jak wychodźtwa zarobkowe, nie da się zatamować przemocą. Szerzyć się on będzie w dalszym ciągu, wbrew wszystkim stawianym mu trudnościom i przeszkodom.

Nie wynika jednak z tego wcale, aby należało siedzieć z założonemi rękoma i przypatrywać się w spokoju temu powtarzającemu się corocznie wyludnianiu wsi naszych z naj-

lepszyc włąsnie jednostek ludności robotniczej. W wielu wypadkach zaradzić może złemu samopomoc właściciele ziemskich, bezpośrednio dotkniętych tem wychodźtwem. Uprzymnić sobie należy, że, bądź co bądź, głównym bodźcem, popychającym liczne rzesze robotnicze do wędrowki za granicę, jest chęć polepszenia swego materialnego położenia. Nie ulega więc kwestji, że do powstrzymania, a przynajmniej ograniczenia emigracji, przyczyniłoby się skutecznie wytworzenie na miejscu korzystniejszych niż dotychczas warunków pracy. Zapewne, że w warunkach, w jakich się obecnie znajduje większość naszych majątków ziemskich, powiększenie wynagrodzenia robotnika połączone jest z nie-małemi trudnościami. Ostatecznie jednak zwalczyć będzie trzeba te trudności, już z tej prostej przyczyny, że brak robotnika narazi gospodarstwo na daleko większe straty, niż wyższe od dotychczasowego wynagradzanie pracy. Nie chodzi zresztą o samo wynagradzanie w gotówce lub ordynarji. Nie jednego kandydata na „obieźysasa“ zatrzymało by niewątpliwie na miejscu wygodniejsze mieszkanie, większa dbałość pracodawcy o materialne i moralne powodzenie robotników, lepsze wreszcie obchodzenie się pracodawców i ich zastępców z pracownikami. Słyszyc się powszechnie zdanie, że minęły już bezpowrotnie i u nas czasy patryarchalnego, opartego na wzajemnem zaufaniu, stosunku pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, że w stosunku tym rozstrzyga wyłącznie interes osobisty. Zdanie to względną tylko posiada słusność. W kazdym razie faktem jest dostatecznie stwierdzonym, że na brak robotnika skarżą się przedewszystkiem ci, którzy nie chcą, czy nie umieją zastosować wobec swych pracowników racjonalnego sposobu postępowania. Przyznajemy chętnie, że postępowanie to jest nie łatwe, wymaga od pracodawcy wyjątkowych zalet charakteru; nie pokonamy jednak trudności położenia, nie stosując się do nowych warunków, nie zwiększając naszych wysiłków. Zważyć zaś trzeba, że od rozwiązania kwestji robotniczej zależy poniekąd cała przyszłość naszego rolnictwa.

Sądzić zresztą nie należy, jakoby nasi ziemianie nie zastanawiali się poważnie nad tą sprawą i nie szukali najsku-

teczniejszych dróg wyjścia z obecnego, nad wyraz trudnego położenia. Od dość już dawna sprawa środków zaradczych przeciwko wychodźtwu ludności robotniczej, stanowi główny przedmiot narad, poruszany zarówno na zebraniach, jak i w prasie fachowej. Pomędzy innymi rozpatrywano tę kwestję gruntownie na jednym z ostatnich posiedzeń radomskiego syndykatu rolniczego. W swem sprawozdaniu zarząd Towarzystwa główny nacisk położył na potrzebę polepszenia warunków materialnych robotników, a więc na wygodne i zdrowe mieszkania dla służby, dobre utrzymanie inwentarza żywego sług, rozszerzanie drobnego przemysłu, jak koszykarstwo, tkactwo i t. p., wreszcie na ubezpieczenie, jako nagrodę, za przesłużenie pewnej liczby lat. Niektórzy ziemianie zaczęli już zresztą na własną rękę wprowadzać w życie rozmaite ulepszenia i udogodnienia. Tak p. Józef Dobiecki urządził w swoim majątku Krzyżanowice w pow. iłżeckim rodzaj kasy emerytalnej na następujących warunkach: p. Dobiecki składa corocznie do kasy gminnej na procent po 4 ruble dla każdego parobka. Sumę, w ten sposób złożoną, każdy parobek może odebrać w całości po sześciu latach służby w Krzyżanowicach. Parobek, wydalony ze służby, traci prawo do wkładu; natomiast wkład ten przechodzi na własność służby pozostałej. Właściciel majątku w żadnym wypadku sum, złożonych na rzecz służby, nie może użyć na korzyść własną.

W obradach radomskiego syndykatu rolniczego zasługuje przede wszystkim na uznanie jednomyślność uczestników co do tego, że nie w środkach przymusowych, nie w prawodawczych zabiegach, lecz jedynie w polepszeniu warunków pracy należy szukać załatwienia kwestji robotniczej.

Jeśli polepszenie losu materialnego robotników stanowi główny środek ograniczenia wychodźstwa czasowego, to do zmniejszenia emigracji zamorskiej, rekrutującej się przeważnie z jednostek zamożniejszych, a w każdym razie rozporządzających pewnym kapitałem, przyczynić by się mogło bez kwestji ułatwianie w nabywaniu kawałka ziemi na miejscu,

uwolnienie tego nabywania od całego szeregu wszelkiego rodzaju uciążliwych formalności.

* * *

W końcu zastanowić się warto nad kwestją, jak się ogół zapatrywać winien na jednostki, opuszczające na pewien okres czasu lub na zawsze ojczyznę. Czy należy pozostawić je losowi i uważać za dzieci niewdzięczne i stracone, lub też i nadal troszczyć się ich losem i starać się o wytworzenie im w nowej siedzibie jak najkorzystniejszych warunków bytu? W krajach, w których wychodźstwo wykazuje poważniejsze rozmiary, potworzyły się instytucje, zajmujące się losem onych wychodźców. Wspomnieliśmy już powyżej, że w Galicji utworzyło się specjalne Towarzystwo, udzielające emigrantom, udającym się do Brazylii, wszelkich, potrzebnych im informacji i starające się wogóle zorganizować w prawidłowy sposób kolonizację polską w Ameryce południowej. W Niemczech istnieje od wielu już lat Towarzystwo katolickie św. Rafała, poświęcające się wyłącznie sprawom wychodźstwa ludności katolickiej.

Pilniejsze jeszcze poniekąd jest uwolnienie wychodźców czasowych, udających się na roboty do Niemiec, od wyzysku, którego ofiarą padają ze strony stręczycieli. Można by w tym celu utworzyć biuro, któreby zawiązało bezpośrednie stosunki z polskimi, a przynajmniej katolickimi właścicielami ziemskimi W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Ślązka. Korzyść byłaby wówczas o obu stronach. Właściciele mieli by zapewnionego robotnika, naszych zaś wychodźców zabezpieczyłoby się choć w części przed domoralizacją, szerzącą się w niektórych, nurtowanych prądami społecznego i gospodarczego przewrotu, okolicach Niemiec. Zadanie to nie łatwe, jeśli się zważy nieufność, jaką dzisiaj jeszcze żywi przeciętny nasz robotnik, zwłaszcza wiejski, wobec każdej, udzielonej mu bezinteresownie rady i pomocy. Ostatecznie jednak zajęcie się losem tych obalamuconych jednostek, narażonych w obcych, nieznanym im stronach na tyle wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw, stanowi jeden z pilniejszych obowiązków społecznych.

Kazimierz Puffke.



Walka nad przepaścią.

Za kilka już dni nadejdzie zima. A zima w górach spada nagle — od pierwszego dnia bardzo surowa. Gruba warstwa śniegu pokryje góry od szczytów do podnóży. I przez wiele miesięcy oko ludzkie nie ujrzy zdźbła zielonego. To też mieszkańcy domków i szałasów, poprzyczepianych do urwisk alpejskich, pracują w gorączce pośpiechu, aby zgromadzić te trochę trawy, która zdołała wyrosnąć na jałowych bokach skał.

Chłodno już, ale dzień jasny, powietrze przezroczyście. Na błękitcie niebios nie błąka się żadna biała chmurka. Tylko gdzieś na wysokościach dopatrzyć można czarną plamkę, nawet nie plamkę—punkcik czarny, który porusza się, krąży, wiruje.

Do pracy wylegli mężczyźni i kobiety. Byle wydażyć! Z innymi krząta się i młoda wdowa po nieboszczyku Anto-

nim Skoku, przewodniku po górach. Co chwila ociera czerwone oczy—tak niedawno straciła męża, nie miała jeszcze czasu o nim zapomnieć, a niema też i chęci. Kochała go nad życie i on ją nie mniej miłował. Zginął wskutek odwagi oraz pragnienia, aby żonie i dziecku nie brakowało ani strawy, ani okrycia. Dziecko, Anusia, ma ledwie parę miesięcy—żywa, droga pamiątka po mężu.

Anusia teraz śpi, matka ułożyła córkę w zagłębieniu skalistym,—tu wiatr nie dojdzie.

Sama Antoniowa z sierpem w ręku, pochylona ku ziemi, pracuje zawzięcie. Żaden mężczyzna więcej nie robi. Teraz się wyprostowała i odpoczywa chwilkę, aby tchu nabrać. Na czole perli się pot, wzrok tonie w błękitach.

Oko jej napotkało czarny ruchomy punkcik na niebie i brew się zmarszczyła. Z pośpiechem wraca do pracy. Ubożę żniwo skończone. Antoniowa wiąże zżętą trawę w wielki pęk. Uciska z całej siły kolanami. Jeszcze parę razy okręci sznurem i będzie praca skończona. Pęk weźmie na plecy, a na ręce dziecko, które teraz śpi tam w zacisznym kąciuku, wśród skał.

Nagle w powietrzu rozlega się szum potężny. I zaraz potem przeraźliwy krzyk Antoniowej:

— Anusia, Anusia!...

Głos jej przechodzi w jakiś wrzask nadludzki:

— Ludzie, na pomoc, na pomoc!...

Echa powtarzają wołanie i głos rozpaczliwy rozlega się doniosłe wśród gór.

Górale, pasterze, myśliwi nadbiegają ze wszech stron. Słyszeli oni, widzieli, co się stało!... A stało się tak szybko, jak szybko miga błyskawica. Czarny punkt na niebie stanął, potem począł się szybko spuszczać, rosnać, potężne skrzydła biły powietrze, orzeł rzucił się na zdobycz, zdała upatrzoną.

Teraz znowu skrzydła pracują. Potężna orlica dźwiga w szponach porwane dziecko. Jest coraz dalej, coraz wyżej...

Co począć? Rozpacz nieszczęśliwej matki błaga o pomoc, o ratunek. Górale są zręczni i odważni. Ale co tu pomoże odwaga, co zdoła zręczność? Mają pewne oko i rękę.

Zabić orła nie trudno. Ale wraz z ptakiem spadnie dziecko i rozbije się o skały.

Górale stoją bezradni i patrzą. Nie ma ratunku dla dziecka, nie ma więc i dla matki. Orlica skryła się po za skałami.

Szalona w bóleści Antoniowa rzuca się naprzód, pędzi, pnie się po ścieżkach niedostępnych. Nie wie sama, na co i po co.

Czuje, że chwyta ją ręka silnie za ramię; jakiś głos młody, ale silny mówi:

— Uspokój się, Joanno, jestem z tobą. Ufaj!...

To Piotrek Kozera! Tęgi chłopak! Już on nieraz ratował dużych i małych. Straszne cierpienie Antoniowej poruszyło mu duszę do głębi. Czyż nie jest towarzyszem jej dzieciństwa, czy nie była dlań zawsze dobrą, niby siostra rodzona? Niedoczekanie, żeby ją miał w takim nieszczęściu opuścić.

Piotrek widział, gdzie poleciał orzeł. Pnie się za nim, choć skała niemal prostopadła. Korzysta z każdej szczeliny, z każdej nierówności. Dotychczas nikt nie wdrapał się na te wyżyny niedostępne. I po co było się drapać? Naga, śliska skała, a w dole przepaść. Na szczytach, w rozpadlinach, nie ma nic prócz gniazd ptaków drapieżnych.

Piotrek pnie się coraz dalej, czepia się coraz wyższych urwisk. Już go ledwie odróżnić można od szarych skał. Nagle zniknął zupełnie. Towarzysze patrzą z dołu, i serce w nich zamiera.

Ubiega dwie, trzy, cztery minuty—zda się wieki. Orlica znowu ukazuje się w wyżynie, ale szpony jej próżne. Co to znaczy? Gdzie dziecko? Gdzie dzielny góral, który je chciał ratować? Pewnie i ono i on znaleźli grób w głębinach przepaści.

Joanna stoi bez ruchu, bez głosu, bliska omdlenia, bliska śmierci. I tak dziwno, że istota ludzka może wytrzymać taki cios, że od wstrząśnień podobnych serce nie pęknie.

Ale co to? Coś zamajaczyło znowu na szczytach? Teraz widać lepiej. Tak, to człowiek, to Piotrek! Sam? Nie

W objęciach trzyma dziecko! Podnosi je w górę. Pokazuje matce uratowane dziecko.

Czego dokazał Piotrek, co zniósł, aby osiągnąć cel zuchwały, tego pióro nie opisze. Czołgając się z urwiska na urwisko, bezustannie narażając życie, wyteżając słuch, wzrok, powonienie, odkrył w końcu napastnika. Teraz już każde poruszenie zbliżało go do gniazda. Orleża z podziwieniem przypatrywały się zdobyczy, przyniesionej przez matkę.



Piotrek w jednym mgnieniu objął położenie rzeczy. Trzeba się śpieszyć, aby wydrzeć ptakom ofiarę wprzód, nim się na nią rzucą.

Co za szczególne przeciwieństwo! Tam na dole matka wije się z boleści, tam gromada ludzi ustać nie potrafi na miejscu w przerażeniu i zgrozie, Piotrek dokonał wysiłków nadludzkich, pchany współczuciem, które mu duszę rwało, — a tu znajduje obraz pełen spokoju. Dziecko, niemając pojęcia o grożącym mu niebezpieczeństwie, leży cicho i rozgląda się raczej z ciekawością, niż ze strachem. Rączkami chwytła dla zabawki mech i badyle, z których zrobione gniazdo, i które mu pewnie przypominają kołyskę. Orleża mają miny

ptaszków oswojonych, zgromadzonych dla zabawy dziecka. Po nad tym obrazkiem rodzinnym unosi się w górze orlica.

Ale w chwili każdej idylla przejść może w dramat krwawy. Piotrek wie to doskonale, widzi i czuje. To też poczyna krzyczeć ile sił w piersi—przerażone orlęta uciekają. Piotrek nie zwraca na nic teraz uwagi, chwytą dziecko i myśli o radości, jaką sprawi biednej Joannie.

Już wraca—gdy staje przed nim niebezpieczeństwo nowe, nie mniej od przeszłych groźne!



Orlica widzi, że porywają i unoszą pożywienie jej dzieci; a może i to rozumiała, że tym dzieciom groziła śmierć od wroga, który wtargnął do ich gniazda pod niebiosami. Rzuca się więc na napastnika.

Walki uniknąć niepodobna. Lewą ręką Piotrek przyciska do piersi jedyne dziecko nieszczęśliwej wdowy, prawą szuka oparcia, aby się niepośliznął na śliskich urwiskach.

Ale nie ma wyboru, nie ma czasu do namysłu i do wahania się. Zuchwały góral się nie waha. Plecami oparł się o skałę. Pod nogami ma przepaść. Zmierzył okiem jej głębokość. Każdego innego chwycił by zawrót głowy! Trzeba wielkiej odwagi, aby wobec głębiny skalistej nie stracić krwi zimnej, nie stracić przytomności umysłu.

Góral wzięty jest między dwa niebezpieczeństwa. I które gorsze? Walka z najsilniejszym ze skrzydłatych drapieżców zawsze jest groźna, rezultat niepewny. Walka z potęgą ciągnącą przepaści liczne pochłania ofiary — jedno niepewne postawienie nogi sprowadza upadek i śmierć, śmierć straszną: ostre urwiska poszarpią ciało na krwawe kawały.

Nad tą przepaścią stoczyć trzeba walkę o życie ze szponami i z dziobem olbrzymiego orła!

Orzeł już naciera. Za jedno mgnienie oka uderzy. Po tem uderzeniu wszystko się może skończyć... w przepaści. Jeśli się nie skończy, orzeł napewno potężnymi skrzydłami zepchnie Piotrka, zepchnie dziecko nieszczęśliwej Joanny w otchłań. Jeden jest tylko ratunek: zabić potwora pierwszym uderzeniem, ale uderzenie silne być nie powinno, gdyż wielki zamach strącić może w przepaść!...

Orzeł rozwinął skrzydła, rozwarł dziób, przygotował szpony.

Na dole górale widzieli i zrozumieli wszystko. Zapaśnicy już są przy sobie. Skrzydła ptaka tworzą niby zasłonę, po za którą toczy się walka śmiertelna.

Joanna nie ma już siły patrzeć. Odwraca głowę. Nie chce widzieć, nie chce wiedzieć, co się tam stanie, kto zwycięży, człowiek, czy ptak. Człowiek — wyczerpany drogą, skrępowany ciężarem i pozycją, uzbrojony w laskę góralską jedynie.

Skrzydła orła biją powietrze z zajadłością. Potwór wznosi się wyżej, aby uderzyć silniej. Ale Piotrek już gotów do obrony. Nadstawił laskę, zakończoną ostrzem stalowem. Siłę ma w ręku Herkulesa, więc laska tkwi, niby w kleszczach żelaznych.

Orzeł spada na ostrze i przebija się na śmierć.

Teraz już tylko zejść trzeba. Po paru krokach Piotrek zrozumiał, iż wracać tą samą drogą, którą przyszedł, niepodobna. Czepiając się odłamów, szczelin, występów, mógł się wdrapać. Schodzić co innego. Wtedy był wolny, teraz dźwiga dziecko. Zbyt dobrze zna Piotrek góry, aby się miał porywać na takie przedsięwzięcie.

Ze wszech stron otacza i zagradza drogę przepaść, pustka. Czyżby tu miał zginąć. Czyż to miałyby być rezultaty tylu wysiłków. Mógłby zostawić dziecko i ratować się sam, ale to nie przyjdzie Piotrkowi do głowy.

Chwilkę odpoczął, ochłoniął i bada pozycję. Ma przed sobą drogę, do przebycia niepodobną, i przepaść. Trzeba więc wracać przez przepaść.



Piotrek daje znaki towarzyszom. Ci zrozumieli. Po wielu usiłowaniach udało im się rzucić mu linę ratunkową. Przyczepia ją jak może do urwiska i spuszcza się po niej w otchłań. Jeśli sznur nie wytrzyma ciężaru, jeśli go przetnie ostry odłam skały, o który się zaczepia bezustanku, wtedy oko ludzkie nie ujrzy już nigdy ani Piotrka, ani dziecka.

Trzymając się jedną ręką liny, Piotrek wisi nad przepaścią. Palcami chwyta się skały—pokaleczone palce znaczą krwawym śladem przebytą drogę. Na głowę spada mu i oczy zasłania kurz i kamyki. Piotrek nie wie już, co się

dzieje. Jeszcze wisi, jeszcze się zsuwa, jeszcze walczy, ale to już tylko instynkt, to jakiś bezwiedny wysiłek woli. Ale też i koniec bliski. Niebawem ludzie przyciągną koniec liny ku sobie i chwycą w swe ręce Piotrka. Już... już! Wtedy właśnie Piotrek puścił się liny i zniknął z oczu patrzących.

Dziesięciu ludzi rzuca się, aby odszukać Piotrka. Na ich nawoływanie odpowiada echo. Trudno się ludzić, oni nie Piotrka szukają, lecz jego trupa. Z pewnością to trup dzielnego górala wychyla się z po za odłamów, tworzących jakby galerję. Nogi widać. Tak to on... Piotrek leży na wznak. Z rąk, z ciała własnego utworzył rodzaj osłony dla dziecka. Do końca był dzielny, szlachetny!

Czy być może! Słysząc głos słaby:

— Dziecko, ratujcie dziecko!...

Tak, to głos Piotrka. Więc ocalony. Bogu niech będą dzięki!

Chodź, chodź, Joanno! Możesz już teraz przyjść, możesz patrzeć, dziecko twoje leży bezpieczne na bohaterskiej piersi, żywe, całe!

Na błękitie nieba widać znowu punkt czarny, waha się, wiruje. To orzeł samiec. Jeszcze chwilka, a byłby jednym uderzeniem dzioba pomścił najście gniazda i śmierć towarzyski.

W. S.

„WIELKA WOJNA“.

(Dokończenie).

Okolica, przez którą odbył się właśnie pochód, porastała gęsto lasami i gajami. Stanęli Polacy na samej krawędzi tegoż lesistego obszaru, u brzegu szeroko przed nimi rozwartej przestrzeni polnej. Rozciągała się ona cokolwiek z ukosa ku zachodowi, na rozległość milową, coraz podniosłej ku zachodnio-północnym krańcom. W pośrodku jej amfiteatralnego wzniesienia, o pół mili od siebie, leżały ubogie siola Grunwald i Tannenberg, tamto niżej na lewo, to nieco wyżej, ku prawej stronie. U stóp Grunwaldu czyli właściwie Grünfeldu t. j. Zielonej wsi, ku stanowisku polskiemu, zieleniały bujne łąki i niwy; od Tannenberga przeciwnie szarzał w tym samym kierunku naprzód znaczny spłacheć ugoru, dalej zaś całkiem dziki, zamarty step. Tylko w połowie odległości między taborem polskim a Tannenbergiem zieleniała kępa sześciu ogromnych dębów.

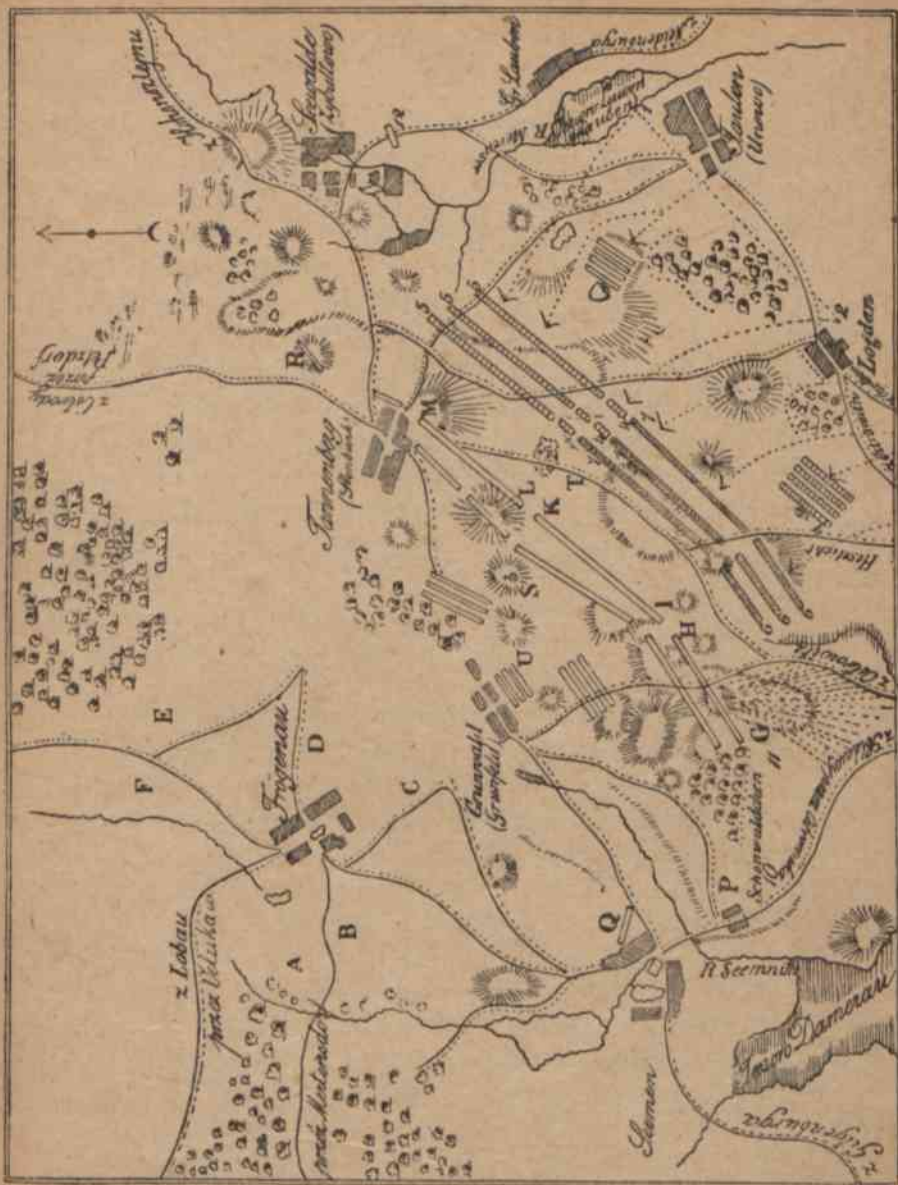
W obliczu takiegoż przed sobą widnokregu zajęli Polacy i Litwini nizkie, lesiste podnóże okolicy, oblane z lewej strony kończyną długiego jeziora dąbrowskiego, z prawej jeziorem Lubeń. Myślano atoli zabawić niedługo w tem stanowisku, mianowicie przez krótki tylko czas nabożeństwa i wypoczynku. Gwoli temuż rozpięto na wzgórkach nad jeziorem lubeńskim namiot kapliczny, a żołnierstwo rozłożyło się wzdłuż brzegów lasu i w lesie. Nad wojskiem polskim miał

od niedawna komendę miecznik krakowski, Zyndram z Maszkowic, szlachcic z ziemi sanockiej, według wyrażenia się kronik „tegożsamego herbu co słońce“, przed dwudziestą laty starosta Kamieńca litewskiego, „człek animuszu wielkiego a prawie hetmańskiego, chociaż osoby niewysokiej, lecz zsiadłej.“ Wojskom litewskim przewodził sam W. książę Witołd, znany wojownik, dbały teraz osobiwie o jaknajśroźszą karność dziczy litewskiej, niejednokrotnie temi czasy karanej przezeń rozkazem powieszenia się własnoręcznie.

Gdy wojska krzątały się około założenia taboru, a bogobojny Jagiełło udaje się do kaplicy, nadbiega pewien szlachcic chełmski, Hanko Ostojczyk, donosząc królowi o dostrzeżeniu jednej chorągwi nieprzyjacielskiej w stronie Grunwaldu. Tuż za nim przyspieszył drugi, trzeci i czwarty z wiadomością o coraz większej sile krzyżackiej, o całym wojsku pruskiem. Powzięcie decyzji w takim razie należało do ustanowionej niedawno najwyższej rady wojennej, składającej się z ośmiu dostojników koronnych, którymi byli mianowicie: terażniejszy „pan krakowski“ Krystyn z Ostrowa, wojewoda krak. Jaško Tarnowski, Sędziwoj z Ostroroga wojew. sędom., Mikołaj Trąba proboszcz u św. Florjana i podkanclerzy koron., Zbigniew z Brzezia marszałek królestwa, Piotr Szafraniec podkomorzy krak. i młody książę mazowiecki Aleksander Ziemowitowicz.

Ci doradcy wojenni, wraz z dowódcami Witołdem i Zyndramem, nie zatrwożyli się bynajmniej bliskością nieprzyjaciela. Położenie wojsk polskich i litewskich było wcale dogodnie. Stojąc po większej części pod zasłoną lasów i gajów, nie mogły one z łatwością opadnięte być przez Krzyżactwo, a miały wszelką wolność wystąpienia, kiedy zechcą, do walki. Na wypadek zawiązania się bitwy w parowach leśnych, znana biegłość Litwy, Rusi i Wołoszy w podobnym rodzaju wojny, a powszechna w tej mierze niewprawność rycerstwa niemieckiego, wróżyła niewątpliwą korzyść stronie królewskiej.

Co więcej, rozłożone po wyżynie wojska nieprzyjacielskie, jak same pomimowolnie stanęły na widoku, tak nie mogły nawzajem zmiarkować liczby wojsk polskich, w znacz-



Plan bitwy pod Grunwaldem. ABCDEF, obóz Krzyżaków.—GHIKLM, ich szeregi ustawione do bitwy — po za nimi stoją dwie kolumny w odwodzie w trzy szeregi.—PQ, oddział zastępujący lewe skrzydło.—R, oddział dla zastopy prawego skrzydła.—T, 6 dębów na wzgórzu, z kąd przypatrywano się szykom.—S, miejsce, gdzie poległ w. mistrz.—U, ostatnia rezerwa krzyżacka.
 1, 2, obóz armji litewskiej.—3, kaplica królewska.—4, 5, szyk bojowy armji litewskiej.—6, 7, szyk armji polskiej.—8, 9, odwodowe kolumny.—10, 11, późniejsze stanowisko odwód.
 12, oddział rycerza Trautenu.

nej części lasem zakrytych. Zaczem postanowili doradcy i wodzowie polscy nie występować zaczepnie, lecz zachować się tylko w gotowości na wszystko, przedsiębiorąc zwyczajne przed każdą bitwą przyrządzenia wojenne. Pobożny zaś król Władysław udał się spokojnie do kaplicy, i, słuchając tamże dwóch mszy, w długie pograżył się modlitwą. Może też jeszcze tymczasem — mniemała osobliwsza dobroduszość królewska — uznają Krzyżacy słuszność wymagań polskich i bez rozlewu krwi uczynią zadość sprawiedliwości.

W ciągu nabożeństwa Jagiełłowego i podejmowanych wszędzie przygotowań wojennych, kto inny miasto króla zajął pierwsze miejsce na scenie zdarzeń. Był nim wielki Kiejstutowie Witold, główny dnia Grunwaldzkiego bohater. Równie niecierpliwy i nagły, jak król polski ociągający się i powolny, rzucił się W. książę czemprędzej do rozstawiania walnych oddziałów armji, do szykowania pojedynczych chorągwi, do wydawania rozkazów w razie bitwy.

Przy powszechnem rozpodzieleniu wojsk osadzili się Polacy na skrzydle lewem, ku Grunwaldowi; Litwini na prawem, od Tannenberga. Nad lewem skrzydłem polskim, zawierającym także zaciężne rotę niemieckie i chorągwie niektórych prowincji ruskich, mianowicie Rusi Czerwonej i Podola, liczonych do Korony, miał najwyższe dowództwo rycerski miecznik krakowski Zyndram. Skrzydłu czyli „rogowi“ litewskiemu, obejmującemu zbrojne siły Litwy, tudzież reszty ziem ruskich i Tatarstwa pod Saladynem, przewodził osobiście W. książę litewski.

Obiedwie połowy armji składały się z pomniejszych zastępów czyli chorągwi, złożonych zwyczajnie ze stu, najwięcej dwuchset rycerzy konnych i pewnej liczby pieszaków. Każda chorągiew dzieliła się następnie w kilka coraz szerszych pocztów, a kilka chorągwi razem, zwłaszcza w wojsku litewskiem, szykowało się „starodawnym zwyczajem“ w klin. U węższego przodu czyli „przedszpicy“ takiego klinu stał doborny poczet najzawołniejszych rycerzy, ochotników, zwanych rycerstwem „przedchorągiewnem“, ile że dopiero za nimi nieśli chorągwie chorągwie. Każdy „znak“ słuchał nadto rozkazów osobnego dowódcy, a w wojsku litewskiem

bywał on tak ustawiany, iż szpica i ściany oboczne jeżyły się żołnierstwem w należyтым ryszunku i na dzielniejszych koniach, środek zaś nadziewano zgrają pośledniej uzbrojoną.

O ile z lesistem położeniem miejsca zgadzało się, stały wszystkie chorągwie obudwóch skrzydeł po części na widoku, po części też w zaroślach, według zwyczajnego podania w trzech niezmiernie rozciąglonych rzędach, inaczej „hufach.“ Pierwszy z tych hufów zwał się powszechnie „czelnym“, następny „walnym“. Uformowały się z nich dwie „ulice“ wojskowe, po których od jednego końca skrzydeł po drugi przebiegał główny szykownik bitwy, Witold. Uderzona jego marsowym widokiem imaginacja narodu przypominała sobie przez długie lata tę wielką chwilę, śpiewając o synu Kiejstutowym w starej pieśni rycerskiej: „Idzie Witold przez ulicę; Przed nim niosą dwie szablíce“ — godło najwyższej władzy wojennej.

Cała lustrowana przezeń linia bojowa rozciągała się temi trzema hufami a dwoma ulicami w szerokość małej mili. Liczono w skrzydle i wojsku polskiem chorągwi 50, w skrzydle i wojsku litewskiem 40. W wojsku polskiem powiewały na chorągwiach znamiona różnego kształtu, różnej barwy i różnych właścicieli. Były tam chorągwie czyli znaki nadworne, ziemskie, pańskie i zagraniczne. Najpierwsze miejsce, nawet przed dwoma znakami nadwornemi, trzymała chorągiew „ziemi“ krakowskiej, o białym orle w koronie. Prowadził ją osobiście miecznik krakowski i hetman wojska polskiego Zyndram, a przed sztandarem w ręku Marcisza z Wrocimowie herbu Półkoza stali w poczcie „przedchorągiewnym“ najzawołańsi rycerze kraju: Zawisza Czarny Sulimczyk, Florjan z Korytnicy Jelitezyk, Domarat z Kobylan Grzymalita, Skarbek z Gór Habdank, Paweł Złodziej z Biskupie herbu Niesobia, Jan Warszawski Nałęcz, Stanisław z Charbinowie Sulimezyk i Jaxa z Targowiska Lis.

Drugie i trzecie miejsce zajmowały znaki nadworne, jeden o podwójnym krzyżu litewskim — drugi, złożony z dworzan, o pogoni litewskiej. Pod czwartą chorągwią z wizerunkiem św. Jerzego, zwyczajnego patrona wszystkich ochotników rycerskich, stało rycerstwo zagraniczne, po większej

części z Moraw i Czech, składające oprócz tego całą chorągiew 49-tą, i niektórym innym jeszcze chorągwiom poprzydzielane garstkami. Szesnaście chorągwi o herbach ziemskich składało się z pospolitego ruszenia szlachty ziem różnych, pomiędzy którymi widziałeś 4 ruskie, mianowicie ziemię przemyską o jednym znaku, lwowską o jednym, halicką o jednym i podolską o trzech. Pod chorągwiami dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią znajdowały się posiłki mazowieckie, książąt Janusza i Ziemowita. Dwie chorągwie następne należały arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Mikołajowi z Kurowa i biskupowi poznańskiemu Wojciechowi herbu Jastrzębiec.

Byli to jedyni duchowni panowie polscy, którzy przykazaną statutem pomocą zbrojną przyłożyli się do wojny teraźniejszej. Bądźto na samych pieniężnych poprzestając posiłkach, bądź też z obawy mściwego pustoszenia kościelnych dóbr przez Krzyżaków, od wszelkiej wstrzymując się pomocy, dali oni wyprzedzić się w tej mierze mniej licznym biskupom nieprzyjacielskim, z których wszyscy dostawili po jednej chorągwi wojskom krzyżackim. Po biskupie płockim Jakobie pozostał tylko pokorny list do W. mistrza Ulyka, „czciela sprawiedliwości“, z prośbą o niedozwolenie rabunku w „mnogich“ włościach biskupich. Krotofilny zaś biskup kujawski, Jan Kropidło, zbył króla polskiego nadesłaniem prorocstwa, które dowodziło z apokalipsy św. Jana, iż Polacy odniosą tryumf.

Największą atoli potęgą zbrojną wsparli Koronę najmniejsi panowie świeccy. Podczas gdy z pospolitego ruszenia wszystkiej szlachty ziem polskich stanęło tylko 17 proporców, dwudziestu dwóch panów magnatów koronnych uzbroiło swoim kosztem 22 chorągwi. Nie doczekali się tego zaszczytu owi panowie krakowscy z Melsztyna, z Szubina, z Kurozwek, z Goraja i t. d., których u wstępu i w połowie powieści naszej widzieliśmy tak gorliwie pracujących nad obecną pomyślnością królestwa, po większej części już w grobie. Za niektórych przecież nadsięgnęły pod Grunwald chorągwie synów i wnuków, jak np. 27-ma, wojewody krak. Jana z Tarnowa; 33-cia, kasztelana wojnickiego Andrzeja z Tęczy-na; 39-ta, Spytka jarosławskiego, Leliwy.

Zresztą świeciły teraz po największej części chorągwie nowych ulubieńców fortuny, nowych Korony dzisiejszej dygnitarzy, jak np. 26-ta „pana krakowskiego“ Krystyna, 28-ma wojew. sędom. Mikołaja z Michałowa, 34-ta Zbigniewa z Brzezia marszałka, 42-ga Krystyna z Kozichgłów kasztelana sandeck. i t. d. Wiele chorągwi przystawili magnaci skromnego potąd imienia w dziejach, lecz tem głośniejsi w wiekach następnych, jak np. 30-tą—wojewoda sieradzki Jakób na Koniecpolu, 32-gą—wojewoda łęczycki Jan Ligęza z Bobrku, 38-mą—Dobiesław Oleśnicki, 45-tą—Mikołaj Kmita, 47-mą—Zaklika i t. d. Kilka znaków zawdzięczała Korona takim imionom pańskim, które ani przeszłością, ani przyszłością nieutrwalone, zajaśniały tylko blaskiem chwili przelotnej, jak np. 31-szą, nadesłaną przez jakiegoś magnata „z Obichowa“, i 40-tą przez pana Marcina z Sławska.

Pod dwoma osobnemi chorągwiami skupili się sami „stryjeowic“ dwóch starodawnych rodów herbowych, pod 46-tą szlachetni bracia Gryfci, prowadzeni przez Zygmunta z Bobowy, podsędka krakowsk., pod 48-mą bracia herbu i zawołania Kózlerogi. Ostatnią wreszcie chorągiew polską wyprawił dawny powiernik Wilhelmów i Jagiełłów a oszczereca Jadwigi, p. Gniewosz z Dalewic, teraz podstoli krakowski. Stała jego rota u szarego końca chorągwi polskich, jakoby wzgardzona przez rycerstwo krajowe, okryta wyłącznie żołdactwem cudzoziemcem, najętem za niedość zanie nabyty grosz.

Od następnego po niej znaku 51-go zaczynało się prawe skrzydło litewskie. Tam nad rotami nierównie rzadszemi i gorzej uzbrojonemi powiewało 40 chorągwi o jednym i tymże samym herbie t. j. o pogoni litewskiej, różniącej się tylko różnemi barwy pola. Z tej czterdziestki—ośmnaście stanęło pospolitem uzbrojeniem bojarstwa różnych ziem litewskich i ruskich, mianowicie trockiej, wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, lidzkiej i t. p. Reszta składała się z hufców książąt hołdownych i posiłków tatarskich. Dodać jeszcze należy dawną ilość artylerji ówczesnej, która wszakże, jak już w wzmiance poprzedniej okazała się nam znacznie późniejszą od pruskiej, tak też uszła wcale uwagi kronik.

Co do ogólnej liczby wojsk polskich i litewskich, tę można oznaczyć najlepiej według liczby chorągwi, sposobem następującym. Każda chorągiew ówczesna zawierała najwięcej 200 kopji czyli jeźdźców rycerskich i czterekroć tylu pieszaków z łukiem lub kuszą, razem 200 koni, a około 1000 ludzi. Powszechnie atoli szła na jedną chorągiew zaledwie połowa tej ilości. Choćbyśmy więc przyjęli największą pełń chorągwi, nie doliczylibyśmy się pod wszystkimi, polskimi i litewskimi znakami więcej nad 90,000 ludzi, a z dodatkiem reszty przyborów i tłumów obozowych, więcej nad 100,000.

Jakoż sama lesistość miejsca, zajętego przez wojska polsko-litewskie, nie dozwalała rozwinąć znaczniejszych sił, zwłaszcza w p o ś r o d k u borów i gajów. Gdyż jak powiedziano, armia Jagiełły i Witolda stała po największej części w ukryciu lasów, niewidoma Krzyżakom, a tylko mały jej oddział, głównie z Litwy i Tatarów złożony, świecił oczom wojsk pruskich, zdawał się całą armią. Toż i owe trzy hufy czyli rzędy bojowe, uformowane przez wszystkie chorągwie polsko-litewskie, a tworzące ową podwójną „ulicę“ Witołdową, dopiero po wystąpieniu wszystkich znaków z obrębu przestrzeni leśnej odsłoniły się w całej okazałości.

Teraz z mniejszą rozkoszą oka a większym pożytkiem rzeczywistym działały się wszystkie przygotowania wojenne w skromnej omroczy i cieśni lasów, lecz działały się nie mniej sierzdście i żywo. Wszelkie uczucia przychylności, jakie w głównym sprawie tych przygotowań, w Witołdzie, postrzegano niekiedy dla zakonu, zostały teraz przygłuszone szczękiem oręża, rozbudzonemi wspomnieniami dawnych uraz i krzywd. Pomiędzy rycerstwem krzyżackiem miał Witołd wielu osobistych nieprzyjaciół, śmiertelnemi względem niego obarczonych winami. Jeden z Krzyżaków, niejaki Sonnenberg, rodem z Rakuz, otruł mu dwóch w zakładzie w Królewcu pozostawionych synów w wieku dziecinnym; drugi, konitur brandenburski Markward Salebach, nazwał go niegdyś zdrajcą i matkę sromotnemi słowy mu zelżył.

Wszyscy w ogólności Krzyżacy swoją butą rycerską, swoją teraz pogardą dla Korony i Litwy, obrażali śmiertelnie naszych książąt. Tylko pobożna powściągliwość króla Ja-

giełły mogła w obecnej chwili oddawać się nabożeństwu; Witold i rycerstwo polsko-litewskie wrzało niecierpliwem żądaniem bitwy. Pobożny zaś Jagiełło w istocie ciągle jeszcze modlił się w kaplicy nad jeziorem, a wszystkie wyprawiane doń posiłki z prośbą o wydanie hasła do boju przynosiły zawsze tensam rozkaz czekania. Już południe mijało, a wojska polskie stały wciąż w tejsamej gnuśnej na pozór nieruchomości.

Zwłoka ta przyniosła niemałą korzyść sprawie królewskiej. Podniosła bowiem do najwyższego stopnia zaślepienie Krzyżaków co do łatwości zwycięztwa nad Polakami. Zagrzani już tą nadzieją od chwili cofnięcia się króla z przed Drwęcy, rzucili się byli Krzyżacy czempredzej w poprzek dalszej drogi wojsk polskich, i znaleźli się dzisiaj niespodzianie w obliczu nieprzyjaciela. Aby się z nim nie rozminąć, dążył W. mistrz Ulryk z tak niecierpliwym pospiechem na spotkanie Polaków, iż wielka część armji pruskiej ubiegła dnia dzisiejszego trzy „niemieckie mile“ od rana, i była bardzo znużona. Lekceważąc oddawna potęgę nieprzyjacielską, nie mając dokładniejszych o niej doniesień, ujrzeli Krzyżacy teraz niewielkie wojsko pod lasem i popadli w śmiertelny dla siebie błąd, iż widzą armję.

Widziano ją prócz tego w pozycji niekorzystnej, w nizinie, w cieśni, podczas gdy wojska pruskie, rozłożone na wzgórzach od Grunwaldu do Tannenberga, zajęły szeroką, roztworzystą wyżynę, miały wyborne miejsce do uderzenia „z góry“. Nad to wszystko stała ta nieliczna, źle umieszczona, cofająca się armja, przez kilka godzin nieczynnie w obeszyskujących się nieprzyjaciół. W. mistrz Ulryk zajął wygodnie stanowisko dowolne, ściągnął corychlej resztę ku Grunwaldowi nadchodzących chorągwi, zatoczył działa, poczynił wszelkie przygotowania do bitwy, a wojsko królewskie nie śmiało mu w niczem przeszkodzić, zachowało się nieruchomo. Przy terażniejszej zarozumiałości Krzyżactwa niepodobna mu było oprzeć się myśli, że armja zakonna ścisnęła Polaków w trudnej do działania pozycji.

Wzbudzona tem uciecha podwoiła niewątpliwą pewność zwycięztwa. Niepoślednia też potęga rzeczywista, niepośle-

dnie siły orężne czekały rozkazów W. mistrza. W kilku uszykowanych do boju rzędach czyli hufach krzyżackich liczone przeszło 50 różnych chorągwi, z których niejedna, jak np. oleśnicka ze Szlązka i szczecińska z nadobrzańskiego Pomorza, wcale niezwyčajnym wówczas przykładem liczyła po 600 kopij rycerskich i z czterekroć tyleż knechtów. Wszystkie chorągwie razem, według obliczenia samych Krzyżaków, starających się później okazać swoje siły nader szczupłemi, dostarczały Polakom 83,000 przeciwników.

Była to niezmierna na owe czasy liczba, jakiej żadne z najślawniejszych zwycięstw tamtowiekowych, wywalczanych zwyczajnie trzecią częścią tej siły, nie miawało na swe rozkazy. W tak niezwyčajnie ogromnej armji współubiegało się z sobą najzawołansze rycerstwo wszystkich krajów zachodnich. Z rycerzami niższego rzędu acz głośniejszawy sławv szli w zawody możni książęta panujący, jak np. młody książę na Oleśnicy Konrad, młody książę szczeciński Kazimierz, szczęśliwi nadzieją uczestniczenia w chwale dnia tego. Zebrana z tylu różnych oddziałów armja, tłumna osobliwie żolnierstwem różnych ziem pruskich, nierażąca bynajmniej jednostajnością habitów mniszych, odznaczała się, owszem, najprstrzejszą różnaitością kolorów i narodów, przedstawiała w małym obrazie cały zachód europejski.

Krzatające się pomiędzy rotami białe płaszcze krzyżackie, właściwi bracia zakonni, odgrywali tylko rolę dowódców i gospodarzy. Było ich jak w całych Prusiech tak i na bojowisku grunwaldzkim najwięcej do 700. Świecące na ich białej odzieży czarne krzyże zakonu, liczne krzyże różnego kształtu na rozwiniętych chorągwiach, nadawały całemu wojsku tem słuszniej cechę armji krzyżowej, iż znaczna część wojsk przeciwnych składała się z prawdziwych lub mniemanych niewiernych, z Tatarstwa i „kacerstwa“. Ów naczelnv wódz armji polskiej, W. książę litewski, Witold, któremu przed laty jedenastu samiz Krzyżacy jako wodzowi wielkiej chrześcijańskiej krucjaty przeciw Tatarom nadesłali pomoc zbrojną nad Worskłę, uchodził dziś za wodza armji pogańskiej, owszem za „poganina“ we własnej osobie.

Jakoż nie inaczej, jak tylko do boju krzyżowego, do

walki z niewiernymi, pod opieką owych cudotwórczych relikwji, stawało teraz Krzyżactwo pod Grunwaldem. W takim zaś religijnem podniesieniu umysłów, acz wcale dziwną przewrotnością ducha wzbudzonem, nie brakło Krzyżactwu dnia dzisiejszego rysów prawdziwej heroicznosci. Grzeszyła wprawdzie zarozumiałość rycerska ślepem lekceważeniem nieprzyjaciela, grzeszyła terażniejsza kawalerskość zakonu zbyt światową ochotą do strojów, płasów, bankietów, gwoli którym np. i teraz pod Grunwald towarzyszyły rycerstwu przemnożone beczki z winem. Lecz żywo zarazem rozplomieniona rycerskość skora była do cudów, odwagi w czasie bitwy i do wzgardy śmierci po bitwie, a iluzja religijności dbała o jak najjaśniejszą czystość, niepodstępność, niefortelność oczekiwanej z pewnością palmy zwycięstwa.

Tuż przed zacząciem bitwy opuścił jeden z zaciągniętych przez Jagiellę oddziałów czeskiej armji polsko-litewską, i przeszedł do obozu Krzyżaków. Dowodzący nim rycerz z „Trocznowa“ stanął przed W. mistrzem Ulrykiem, ofiarując pomoc 300 orężów. Rycerski Ulryk odpowiedział mu hardo: „Jam nie Chrystus; nie potrzebuję Judasza!“ Wzgardzony zmiennik wrócił nazad do obozu polskiego. Goręcej niż zdrajców podobnych pragnęli teraz Krzyżacy wystąpienia armji polskiej na równinę do boju. Bez takiego bowiem wyjścia Polaków z pod lasu nie było podobieństwa do bitwy, której rycerskość zachodnia nie lubiła i nie umiała staczać w miejscach nierównych lub zarosłych. Ponieważ bowiem broń rycerstwa europejskiego, kopja rycerska, mogła działać głównie w polu otwartem, przeto wprawiała się i zasmakowała szwalerja przedewszystkiem w boju na równinie, na koniu.

Stało się to tak powszechną właściwością rycerstwa wszystkich krajów, że ilekroć nieprzyjaciele stanu nierycerskiego, do innej włożeni broni, bądźto np. chłopci szwajcarscy, bądź też chłopci fryzyjscy, bądź wreszcie Wołochowie późniejsi wywabili szwalerję niemiecką do boju w parowach górskich pod Sempach, albo szwalerję Holandji na bagniska fryzyjskie, lub późniejszą szlachtę polską w podcięte lasy na Bukowinie, zawsze rycerstwo śmiertelną ponosi klęskę. Ztąd, do nieudol-

ności ręki w podobnym rodzaju wojny utrwaliła się jeszcze w głowach rycerskich powszechna opinja o niezaszczytności walki pokątnej, o jedynej chlubie boju w otwartem polu. Taka też nieudolność i opinja, pomimo wszelką ochotę do najprędszego starcia się z Polakami, wstrzymywała wojska krzyżackie od wstępnego uderzenia na leśne stanowiska polsko-litewskie.

Tymczasem obok niecierpliwości wojennej dały się uczuć jeszcze różne inne niedogodne następstwa przydłuższej zwłoki. Upał południa lipcowego doskwierał bardziej na wzgórzach otworzystych, niż na nizinie pod lasem. Unużenie z kilkumilowej drogi wzmagało się pod ciężarem zbroi żelaznej, dźwiganej ciągle od kilku godzin. Nie mając zaś sposobności do bitwy, nie mogła armja krzyżacka użyć także spoczynku, gdyż lada chwila należało spodziewać się szturmowi Polaków. W tak przykrem położeniu zgromadziło się najprzedniejsze rycerstwo krzyżackie pod przewodnictwem W. marszałka zakonu Fryderyka Wallenroda, rodzzonego brata Konradowego, na walną naradę nad pytaniem, jakby położyć koniec tej zwłoce.

Wtedy kilku najdoświadczeńszych rycerzy, obeznanych z dawnymi zwyczajami wojennymi, mianowicie kilku biegłych w procedurze wojny heroldów, ozwało się przed zgromadzeniem, iż w razie przydłuższego niewystępowania jednej z armii nieprzyjacielskich, unużającego stronę przeciwną, bywało i jest w zwyczaju, przesać dwa nagie miecze jako godło natychmiastowego wyzwania w szranki, po którym nie godziło się zwlekać. Podobala się ta rada zgromadzeniu, i postanowiono wyprawić natychmiast dwóch heroldów z mieczami. W terażniejszym rycersko-kawalerskiem uniesieniu Krzyżactwa stanęła nawet uchwała, iżby wojska krzyżackie ustąpiły ściśnionym wojskom polskim cokolwiek miejsca do posunięcia się naprzód, o czem heroldowie donieść mieli nieprzyjaciołom.

Przeznaczył brat Konrada Wallenroda do tej posyłki dwóch najprzedniejszych w armji pruskiej heroldów, t. j. herolda króla węgierskiego Zygmunta, teraz także nieprzyjaciela Polaków, imieniem Ramryka, z heroldem księcia

szczecińskiego, Kazimierza. Według zwyczajnego stroju heroldów miał kaźden z nich wyhaftowaną na piersiach duŹą tarczê herbową, z herbem pana swojego, Ramryk czarnego orła w złotem polu, herb Niemiec; herold Kazimierzów czerwonego gryfa w białem polu, klejnot Pomorza. Obaj wzięli po jednym nagim mieczu, i udali się ku stanowiskom polskim pod lasem.

Władysław Jagiełło modlił się jeszcze w kaplicy. Oznajmiono przybycie dwóch heroldów z armji W. mistrza. Poboźny monarcha Polski mniemał, iż wysłańcy krzyźacy niosą warunki zgody. Dla uroczystego wysłuchania onych stanęli u boku królewskiego W. książe litewski Witold, podkanclerzy koronny Mikołaj Trąba, pan Jan Mążyk z Dąbrowy, późniejszy wojewoda lwowski, Zbigniew z Oleśnicy młody sekretarz królewski i kilku innych panów. Znajdowała się też przy Jagielle część przybocznej straźy królewskiej, pod przełożenstwem młodego ksiąźcia mazowieckiego Aleksandra. Opodal stali trzej giermkowie królewscy, Zbigniew Czajka z Nowego Dworu z kopją królewską, Mikołaj Morawczyk z proporczykiem, Daniłko Rusinek z łukiem i sajdkiem królewskim.

Wprowadzeni heroldowie nie umieli innego języka prócz niemieckiego. Pan Jan Mążyk z Dąbrowy podjął się być tłumaczem. Przełożone przezeń oświadczenie heroldów opiewało dosłownie: „Przynosimy w imieniu W. mistrza, W. marszałka i całej braci zakonu, tobie królu i tobie książe Witoldzie, te oto dwa miecze nagie, w pomoc i zachetę do boju, który dziś stoczyć macie. I pozwalają wam oraz ciź panowie zakonni wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dla tego nie trwońcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie chowajcie się małodusznie, nie strońcie od walki, której uniknąć nie możecie.“ W czasie tej mowy postrzegli Polacy jakiś ruch w armji pruskiej na wzgórzach, i ujrzeli zdziwieni, że wojska krzyźackie w istocie cofnęły się o „niemałą“ odległość wstecz, robiąc miejsce wojskom królewskim.

Król Władysław Jagiełło upadł żałośnie w swoich nadziejach zgody i pojednania. Łzy mu zabłyśły w oczach,

gdy usłyszał harde słowa heroldów „podniecające do rozlewu krwi ludzkiej“. Pocieszając się atoli nieomylną nigdy mądrością pokory chrześcijańskiej, odpowiedział król łagodnie za siebie i za Witolda: „Pomocy nie szukamy u nikogo innego jak tylko u Pana Boga. W jego też imieniu przyjmujemy te miecze, i chcemy niezwłocznie rozprawić się z wami walką orężną. Lecz miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wytacza plac boju. On go wam i nam już oznaczył.“ Poczem wziął król oba miecze z rąk heroldów i oddał je panom za sobą. Chowano je przez długie lata w królewskim skarbcu w Krakowie; śpiewano o nich przez długie lata w pieśni. Heroldowie zostali poruczeni straży Dziwosza Marzackiego herbu Jelita. Wojskom zaś nakazano mieć się do bitwy za pierwszym odgłosem trąb.

Nastąpiły ostatnie rozporządzenia, ostatnie hasła. Armja królewska miała uderzać nie razem, lecz pojedynczemi oddziałami czyli hufami, naprzód Litwini, Ruś i Tatarzy na prawem skrzydle, następnie chorągwie polskie na lewem, w końcu rotę zaciężną, czyli tak zwani „goście“. Znaczna siła każdego z tych trzech działów sprawiła, że kolejne występowanie coraz nowych hufców do coraz nowej walki wydawało Krzyżakom właściwie kilka bitew jedną po drugiej. Przy płochem uprzedzeniu Krzyżactwa o niewielkiej liczbie wojska polskiego, wprowadzającym je w zgubne mniemanie, że każdego z nowopojawiających się hufów polskich jest już całą armją królewską, groziło to ostateczną zagładą wojskom zakonnym.

Brali się przecież Polacy z niezmierną ostrożnością do dzieła, i byli już na wiele mil rozstawione „żartkie rumaki“, któreby w razie niebezpieczeństwa uniosły króla z pobojowiska. Na czas bitwy otoczono osobę królewską poczem 60-ciu kopij rycerskich, w którym wraz z litewskimi synowcami Jagielly Zygmuntem Korybutem i księżciem Fieduszkciem, tudzież z mazowieckim siostrzeńcem Aleksandrem, znajdowali się: podkancelerzy Mikołaj, młody sekretarz Zbigniew, pan Jan Mążyk z Dąbrowy, czeski baron Żoława, drugi Czech Sokoł, Bieniasz Wierusz ochmistrz dworzan królewskich, Piotr Medyolański i inni. Żadną strażą przyboczną nieosłonięty

Witold, przebiegał wciąż szeregi, zmieniając raz po raz konia, przyspieszając wykonanie ostatnich zleceń, zachęcając do męstwa.

Nie ustępował mu w tem i Władysław Jagiełło, sławiony z umiejętności dodawania zachęty, nieomylnie zawsze skutecznej. Coraz wojenniejszym ożywiając się duchem, coraz niecierpliwse swoim grubym głosem rozsyłając rozkazy, przydział się Jagiełło od stóp do głowy w zbroję świecąca i wyjechał na jeden z najwyższych wzgórków, skąd można było zmierzyć okiem siłę nieprzyjacielską. Po częściowem postąpieniu prawej ściany litewskiej ku przodowi pobojuwiska umniejszyła się rozległość między obudwoma wojskami. Tylko owa dolina o zielonej kępie sześciu dębów z ubocza rozdzielała armje przeciwne. Na dębach, pomiędzy rozłożystemi konary, usadowiła się zgraja nienależących do walki widzów krzyżackich czy polskich ciurów, ciekawych widoku bitwy.

Za powrotem króla ze wzgóрка spotkała go drużyna innych śmiałków, proszących o pasowanie rycerskie. Dopełniwszy tego obrzędu, przemówił król do rycerstwa krótko, lecz jędrnie. Poczem książd podkanclerzy Mikołaj wysłuchał go po raz drugi spowiedzi i przyprowadzono mu innego wierzchowca, „z tysiąca wybranego“, cisawej maści, z małą łysinką na czole. Na tym udał się król z swoją strażą na wyznaczone przez radę wojenną stanowisko, przy lewem skrzydle polskiem, z ubocza od zgiełku bitwy. Było już około trzeciej godziny z południa; lekki wiatr od lasu powiał kurzem w oczy Krzyżakom. W tej chwili zagrały trąby i cała linja bojowa zabrzmiała pieśnią „Bogarodzica!“ Prawe skrzydło litewskie ruszyło na spotkanie nieprzyjaciela.

Niemcy uderzyli z niezmierną gwałtownością. Pęd z góry potroił siłę natarcia. Zagrzmiął zarazem ogień rozstawionych po wzgórzach dział. Na wiele mil miał się rozledez odgłos pierwszego szturmu. Niemcy runęli od razu całym ogromem swojego wojska, z wyjątkiem kilkunastu znaków odwodu. Głośna w średniowiecznych dziejach „furja teutońska“ spadła niepowstrzymaną burzą na Litwę.

Wstępne uderzenie było jak zwyczajnie na kopie. Po

zwarcu się szeregów, pokruszyły się kopie, umilkł huk dział. Wszczęły się zapasy w bezpośredniem pobliżu krzyżackim mieczem, litewskim oszczepem, tatarską szablą. W coraz ciśniejszem zwarcu natarły na się topory czyli berdysze, straszna broń owych czasów. Gorzej uzbrojona tłuszcza godziła w siebie maczugą, pałką okutą.

Przez całą godzinę mocowały się szyki w ten sposób. Przez całą godzinę nie ustępował jeden drugiemu. Wreszcie zachwiała się rozkołatana ściana litewska. Parta coraz sroższym naciskiem Niemców, cofnęła się Litwa i Ruś -z Tatarstwem cokolwiek w bok, na prawo, ku jeziorowi lubeńskiemu. Tam zatrzymano się jeszcze, i jeszcze wznowił się opór. Rychło atoli przedarli Niemcy nawskróś linię litewską, rozerwaną w dwie ustępujące połowy. Nierównie liczniejsza połowa prawa, w najznacniejszej części z Litwy i Tatarstwa złożona, pierzchnęła w stronę jeziora.

Uradowani zwycięstwem Niemcy puścili się w pogon zapamiętałe. Nastąpiła sroga rzeź w uciekających. Niektóre oddziały litewskie tak dziki ogarnął popłoch, iż nie oglądając się poza siebie, miały przez wiele uciekać dni, dostać się aż do Litwy, rozsiewając tam wieść o przegranej. Innym oddziałom, zwłaszcza tatarskim, straszniejszym (jak wiadomo) w odwrocie niż w zaczepce, przyniosła ucieczka nie tyle szkody i sromu. Unosząc na swoich karkach nieprzyjaciela, nużąc go pogonią i łupieżą, były one gotowe zwrócić się lada chwila do boju, tem groźniejszego wtedy wrogowi.

Również niezupełnie bez nadziei walczył tymczasem lewy odłam rozgromionej linii litewskiej. Stały tam pułki ruskie, mianowicie trzy bohaterskie rotы Smoleńszczan. Odcięte przez zwyciężkich Niemców od reszty wojsk litewskich, zdzierżyło rycerstwo ruskie na sobie ogromną przemoc nieprzyjaciela, i lubo prawie w pień wycięte pod jednym znakiem, przedarło się nakoniec ku stojącemu opodal skrzydłu Polaków.

Zachowywało się toż lewe skrzydło polskie dotychczas bez czynnego udziału w bitwie, mając wystąpić później. Terazniejsze połączenie się z niem Rusi walczącej pociągnęło je w bój. Walęczny Witold, nie zdoławszy utrzymać spr-

wy w skrzydle litewskim, zawezwał Polaków coprędzej na plac bitwy. Upojeni tryumfem Niemcy mniemali się pogromcami całej armii koronnej, a tu po pierwszej bitwie litewskiej, stoczonej na pochyłości wzgórzów, przyszło staczać drugą bitwę, w nizinie, pod lasem, z Polakami.

Ogromne tumany kurzu wzniosły się po uciekającej Litwie i Ordzie. Ciągły od lasu wiatr miótł je w oczy Krzyżakom. Wreszcie puścił się drobny deszczyk i oczyścił powietrze. W blasku nowej wkrótce pogody rozwinęła się nad uderzającym wojskiem polskim wielka chorągiew państwa, z białym orłem w koronie. Król Władysław Jagiełło stał na wzgórzu z ubocza, niecierpliwie przypatrując się bitwie. Zachęceni jego okiem i rozkazami Zyndramowie, Zawisze, Nałęcz, Habdanki, Sulimczykowie, Jelici itd., najwaleczniejsi, z rycerzów „wschodnich“, uderzyli z niepoślednią od teutońskiej natarczywością.

Ale rozgorzałe szczęśliwym bojem Krzyżactwo nie znało już żadnej tamy. Pod ciężkim szturmem Niemców zachwiała się ława polska, upadła wielka chorągiew państwa. Wszczęła się zacięta walka o sztandar. Rozgorzała w najwyższym stopniu wściekłość dwóch nieprzyjaciół odwiecznych, zwartych teraz śmiertelnym bojem o godło poświęcenia dla jednych, nienawiści dla drugich. W obopólnem się wytężeniu chwiały się z osobliwą zmiennością szale. Już szczęśliwie z rąk krzyżackich wydarta, podniosła się znowu wielka chorągiew o białym orle. Już nową otuchą zagrzane rycerstwo polskie coraz pomyślniej parło nieprzyjaciela. Wtem okazują się na pobojowisku dawne pułki krzyżackie, wracające wesoło z pogoni za Litwą i Tatarami. Widząc swoich w opale, rzucają zdobyte na Litwie łupy, i niosą nową zamieszkuje w szeregi polskie.

Jednocześnie zagroziła naszym jeszcze sroższa burza zkadinał. Wysunął się z ostatniej linii krzyżackiej zastęp szesnastu obwodowych chorągwi, głównie chełmińskich, przeznaczonych zadać ostatni cios Polakom. Stanął na ich czele sam W. mistrz Uryk Jungingen, zamierzając uderzyć z boku. Najwyższe niebezpieczeństwo zawisło nad armią i sprawą polską. Pędząca pod W. mistrzem chmura krzy-

żacka zagroziła swoim prądem samegoż króla Jagiełłę. Stał on tuż obok drogi, którą Ulryk chciał oskrzydlić Polaków. Coraz bliższy zastęp chełmiński mógł łatwo otrzeć się o ustronny hufiec królewski.

W tem niebezpiecznem położeniu wyprawił król sekretarza Zbigniewa do najbliższej chorągwi polskiej po zasłonę czempreńską. Wszakże zawezwany o to Nałęcz Kielbasa ofuknął młodego Zbiszka, wskazując na cwałujące w tę stronę Chełmińczyki. Ustąpić przed nimi, znaczyłoby podać się w pozór i tysięczne niebezpieczeństwa ucieczki. Musiano więc na tym jedynym środku ostrożności poprzestać, iż zwinęto corychlej rozpostarty nad orszakiem królewskim mały proporzec, który znamieniem swoim zdradzić mógł Krzyżakom osobę króla polskiego.

Król Władysław tymczasem napierał się niecierpliwie w zgiełk bitwy, potrzebniejszy tam z jakimkolwiek posiłkiem zbrojnym niż tu na celu jawnej przemocy nieprzyjacielskiej. Już nawet spał konia ostrogami, rwąc się koniecznie w bój, w pomoc swoim. Czecha Żoławę, który konia królewskiego chwycił za cugle, uderzył Jagiełło kopią, aby go puścił. Usilnemi przecież prośbami i zaklęciami zdołano zatrzymać go na miejscu.

W tej właśnie chwili cwałujący pod W. mistrzem Chełmianie przelatywali zdaleka mimo stanowisko królewskie, w pędzie ku flance naszej. Na widok małej garstki Polaków na uboczu, wyskoczył jakiś rycerz zpod chorągwi chełmińskiej, i w chęci popisu rycerskiego puścił się ku niej z kopią złożoną. Siedział hardo na gniadym koniu w pełnej zbroi, w białym na niej kaftanie czyli „jace“ niemieckiej, o szerokim pasie złocistym. Cały zastęp chełmiński wylepił ciekawie oczy w junaka. Dyppold Kiekierzyc *von Dieber* (takie było miano rycerza), Niemiec z Luzacyi, ochotnik w wojsku krzyżackiem, nie wiedząc z kim harcu szuka, tylko bogatą zbroją królewską uderzony, wymierzył kopię przeciw królowi.

Król nawzajem po rycersku złożył się kopią, a młody sekretarz Zbizek pchnął Niemca ułomkiem czyli „koczanem“ kopii tak silnie w bok, że Dyppold spadł. Na ziemi ugodzi-

ła go kopia królewska w obnażone z przyłbicy czoło, i dobiła go straż. Co widząc, porwało się rycerstwo chełmińskie pomścić śmierć towarzysza. Lecz dowódca krzyżacki, sam W. mistrz Ulryk Jungingen, zaskoczył mu gniewnie drogę, chcąc przeszkodzić harcom bezużytecznym. Nie luźny hufiec na stronie, lecz chwiejąca się już ława wojska polskiego była stosownym celem ataku.

Sam Ulryk tedy kopią i krzykiem „*Herum! Herum!*“ powstrzymał swoich od natarcia na króla, i pognął natomiast z chorągwiami w tłum bitwy. Z głowy szczęśliwie ocalonego króla stoczyło się niebezpieczeństwo na jego coraz bardziej sciskaną armję. Znalazła się ona teraz w ostatniej cieśni. Z przodu parło zwyciężkie czoło nieprzyjacielskie, z prawa gniotły powracające z litewskiej pogoni pułki, z lewa uderzał sam mistrz W. z całe świeżem rycerstwem.

Zaatakowana przez W. mistrza część armji polskiej straciła na chwilę ducha. Tłomaczono się później, iż uderzające hufce chełmińskie miały podobieństwo do wojsk litewskich, jakoby powracających z początkowej rozsypki. Dlatego ociągnęła się kolumna polska z należytem onych przyjęciem, podobna tem w oczach krzyżackich do wojska mającego się poddać. Uszczęśliwieni tem Niemcy, równie szczęśliwi na innych punktach, mniemali się po raz drugi panami bitwy. Wzdłuż całej linii bojowej zagrzmiała zwyciężka pieśń Krzyżactwa *Christ ist erstanden!* Cieszymy się bracia w Bogu, że przytarł poganom rogu! Chrystus zmartwychwstał!

Wtedy wystąpił z lasu ostatni huf królewski. Składały go w znacznej części rotы zaciężne, „goście“ rycerscy. Uchodziły one w oczach rycerstwa polskiego za tłum pośledniejszy, „lud tańszy“. Dzięki jednak rozumowi wojennej rady polskiej, z której natchnienia toczono bitwę nie po krzyżacku całym od razu wojskiem, lecz pojedynczemi oddziałami, stał się obcy żołnierz nader zbawienną pomocą w niebezpieczeństwie. Uderzyły nowe hufce polskie na Krzyżaków z ukosa. Niespodziewane natarcie świeżego nieprzyjaciela zbiło panów pruskich z przedwczesnej pychy tryumfu. Dwakroć zwycięzcy Niemcy ujrzeli przed sobą potrzebę stoczenia trzeciej bitwy.

Widok pożądanego wsparcia ciężkiej kluby Krzyżactwa, podwoił ducha w walczących dotąd Polakach. Owa zaatakowana przez Chełmińczyków kolumna polska uderzyła wreszcie na zastęp W. mistrza. Wzbudził ją ku temu osobliwie rycerski czyn sławnego harcerza koronnego, Dobka z Oleśnicy klejnotu Dębno. W chwili zawahania się kolumny wyskoczył Dobek z szeregów polskich, i sam jeden z kopją złożoną rozpędził się ku W. mistrzowi na czele znaków.

Zawiązał się harc rycerski między mistrzem Ulrykiem a zuchwałym szermierzem polskim. Uniknął Ulryk kopji Dobkowej, lecz nacierając wzajem na Lacha, zraniwszy mu rumaka, zagnał się zbyt daleko ku hufcom polskim. Rycerstwo polskie rzuciło się w pomoc Dobkowi, a za cofającym się W. mistrzem runęła cała ława polska na Chełmian.

Wszczął się ostatni „śmiertelny“ zapas nowopokrzepionych Polaków z nieunużonem jeszcze wojskiem chełmińskim. Posiłkowany jednoczesną walką na innych punktach, mianowicie flankowym atakiem zaciężnych znaków polskich, brał on coraz pomyślniejszy dla króla obrót. Uzupełnił do reszty zmianę losów oddawna spodziewany powrót Litwy i Tatarstwa na pole boju. Podczas gdy na lewem skrzydle dogrzewały Niemcom rotę zaciężne, pojawiła się na prawem znaczna część zbiegłej Litwy i Ordy, równie łatwo powracającej do walki jak pierzchającej.

Nadeszła chwila stanowcza, w której *wszystkie* oddziały armii polskiej walczyły z potęgą nieprzyjacielską, Liczbowa przewaga królewskich wojsk, zręczne wyprowadzanie coraz nowych zastępów na plac boju, wreszcie leśne korzyści położenia, niweczyły wszelką furję „teutońską“. Odwodowe chorągwie polskie z lewego flanku, Litwini i Tatarzy z prawego, parli oba narożniki krzyżackie przemocnie ku środkowi. Bądźto poniewolnie ustępując w tę matnię, bądź też zwyczajem niemieckim umyślnie w potężną kłębiąc się *kupę*, ścisnęło się całe wojsko krzyżackie wokoło chełmińskiego zastępu pod W. mistrzem, w pośrodku między Grunwaldem a Tannenbergiem.

Już prawie z okoła w szerokie ramiona armii polskiej objęci, padali Niemcy niezmiernie gęstym trupem. A prze-

myślnością najbardziej nadrabiając, nie tracili nasi żadnego ciosu napróżno. Polska i Litwa godziła przedewszystkiem w białe płaszcze zakonne, po których upadku musiała sama przez się upaść też bitwa; Tatarstwo swoją z nad Worskli znaną nam sztuką ubijało głównie konie rycerstwu. W powiększającym się z każdą chwilą nacisku obudwóch skrzydeł polskich, w zwężającej się z każdą chwilą cieśni teutońskiej, zniknęła Krzyżactwu wszelka nadzieja zwycięstwa.

Natenczas podniósł się przeciw niemu jeszcze jeden wróg nowy—zdrada! Uderzyło w zakon odstępstwo własnych poddanych, własnego rycerstwa krajowego. Uciemżone oddawna przez W. mistrzów, nieskore dać za nich gardło, ujrzało teraz ziemiaństwo pruskie możliwość pomśzczenia się na swoich ciemiężcach, na swoich „krzyżownikach“. Nie czekając tedy zapadnięcia ostatniej klamki ratunku, poobalała sama szlachta pruska, zwłaszcza chełmińska, resztę powiewających jeszcze sztandarów krzyżackich, i albo złożyła broń, albo pierzchnęła.

Przerzedzona kupa Krzyżactwa musiała w tem ściślej-szy zwinąć się kłęb. Okrążająca go *tęcza* wojsk polskich i litewskich w tem ciaśniejsze garnęła Niemców objęcia. Przed ostatecznem zawarciem się „saku“ w koło Krzyżactwa, radzono W. mistrzowi ustąpić ze szczytami niedobitków. Ale rycerski mistrz Ulryk, strącony dziś dwukrotnie z szczytu zwycięstwa, wściekły tryumfem wzgardzonej przez siebie „tłuszczy“, tknięty w samo serce odstępstwem swoich, za wszystkie poprzedników występki ukarany dzisiejszym dniem, nie widział już zbawienia dla siebie i dla zakonu. „Nie daj Boże!“—zawołał po rycersku—„abym ujechał z pola, na którym tyłu padło walecznych!“

Małoco później dosięgnął go miecz nieprzyjacielski w pobliżu wsi Tannenberga. W tym samym czasie poległ W. marszałek zakonu Wallenrod pod Grunwaldem. Wraz z nimi padła prawie wszystka bracia zakonna. Z siedmiuset „białych płaszczów“ ocalało tylko piętnastu. Od chwili zdrady Chełmian wszystko prawie wojsko krzyżackie już to zaścieliło trupem pobojowisko, już to zwyczajem wieku *przyklekło*, prosząc o łaskę. Zaledwie garstka rozbitków, rzucając broń

i chorągwie, zdołała umknąć drogą ku taborowi W. mistrza, aby ją wskazać swoim pogromcom.

Po skończonem już dziele na polu bitwy rozbiegły się wojska zwycięzkie w pogoń po okolicy. O pół mili na zachód od Grunwaldu popadł im w ręce cały tabor krzyżacki. Oprócz schronionych tam niedobitków znaleziono w nim „wiele tysięcy“ wozów z zapasami wszelkich potrzeb wojennych. Zdziwiły osobliwie wozy z mnóstwem pochodni smolnych i żagwi do wzniesienia pożarów. Nie brakło nawet wozów z łańcuchami i pęty na przyszłych jeńców polskich. Przydały się one teraz na pojmanyh panów zakonnych.

Do przyszłej uczty zwycięztwa nad Polakami stały w krzyżackich namiotach i na wozach krzyżackich ogromne beczki z winem, z których teraz chłodzili się Polacy. Aby wojska zwycięzkie nie upoiły się niem, kazał król Jagiełło coprędzej pozbijać obręcze z beczek, i wytoczyć wino na ziemię. Spływając ze wzgórzów ku łąkom wsi Grunwaldu, zmieszało się wino z płynącą tamtędy posoką ludzi i koni. Więzy spodziewanej niewoli wojsk królewskich zacieżyły teraz na samychże Krzyżakach, a wino spodziewanej radości Niemców płynęło wespół z ich krwią.

Tymczasem słońce zniżyło się na niebie. Cała „wielka wojna“ grunwaldzka nie trwała dłużej nad trzy do czterech godzin. Przed nieco chmurnym zachodem słońca wyjechał król Jagiełło na jednym z najwyższych wzgórków pobojowiska. Spotkał go tam główny sprawca tryumfu Witold. Przez wszystkie czas walki uganiał się on między szeregami polskimi, wskazując każdemu kolej i drogę uderzania, kierując wszystkimi ruchami bitwy. Toż i król Władysław Jagiełło nie był dzisiaj bezczynnym. Witold zajeżdżał kilka koni, a Władysław *zachrypl* od wydawania rozkazów. Teraz powitawszy się wzajem, przypatrywali się obaj długo całemu polu zwycięztwa, polu krwawo rozstrzygniętego „sądu bożego“.

Świejące na niem w południowych godzinach szyki krzyżackie leżały teraz zżętem na niwie kłosem. Zgraje ciurów polskich zbierały łupy z poległych, rozeznawały ciała przedniejszych nieprzyjaciół. Po wszystkich krańcach pobojowiska ścigano resztki rozbitków, przetrząsano zakąty leśne,

zdarzały się dziwne zajścia. Tam w jednym lasku znaleziono siedm w ziemię zatkniętych sztandarów nieprzyjacielskich, które natychmiast przyniesiono królowi. Ówdzie zdradliwy połysk słońca na zbrojach uciekającej lasem garstki niemieckiej, odkrył ją oczom pogoni polskiej, która pędząc za nią wpadła na jakieś trzęsawiska, lecz dopadłszy wreszcie Krzyżaków, musiała zostawić wszystkich przy życiu. Gdzieindziej, pod wsią Wielgniwem, dognano i ubito owego komtura tuchońskiego Henryka, coto ślubem rycerskim kazał nosić przed sobą dwa gołe miecze, aby je w polskiej zrumienić jusze.

Dla powściągnięcia bezużytecznej śrogości zalecił król wstrzymać się już od wszelkiego przelewu krwi. Niezmierną też liczbę nieprzyjaciół wzięto żywcem w pogoni. Jeszcze większa popadła w niewolę podczas bitwy. Znaleźli się w tej liczbie obaj posiłkujący panów pruskich xiążęta, Kazimierz szczeciński i Konrad oleśnicki, tamten wzięty przez Skarbka z Gór, ten przez jednego z rycerzy czeskich. Takiegoż losu doznał naczelnik rycerskich „gości“ zakonu, Jerzy Gersdorf, pojmany z czterdziestu towarzyszami przez Przedpełka Kopidłowskiego Dryje.

Gdy nieco później nastąpiło okazywanie jeńców przed królem, i zaczęto rozpodzielać onych według narodów, utworzyło się dwadzieścia dwa różnonarodowych oddziałów, a sześciu notarjuszów królewskich spisywało imiona. Największej części pozwolił ludzki Jagiełło wrócić natychmiast na słowo do dom. Resztę, mianowicie braci zakonnych, porosyła do różnych zamków królewskich, jakoto do Łęczycy, Sieradza, Tęczyna, Lublina, Sędomierza, Lwowa, Przemyśla. Pozostało nawet podanie, iż wielu z jeńców osiadło na ziemi polskiej, załudniło w szczególności okolice Podgórze krakowskiego.

Nie bylito przecież właściwi bracia zakonni, którzy zamiast trybem tych jeńców uprawiać ziemię polską, stali się owszem tem wścieklejszymi odtąd nieprzyjaciółmi wszelkiej przyjaznej spółki z narodem. Dzień dzisiejszy rozjuszył ich w istnych bohaterów nienawiści, gotowych raczej zginąć w kajdanach niż zaprzecić się swojej złości, swojej groźby i nadziei odwetu. Pomiędzy innymi jeńcami postrzegł W.

książę litewski także onych dwóch wrogów osobistych, Markwarda Salzbacha potwarcę matki, i Szomberga zabójcę dzieci. „*Bis du hi Markward!* Tuś Markwardzie!” — zawołał Witold, nie myśląc zresztą o zemście, i już nawet przebaczywszy mu w duchu. „Jam tu dzisiaj” — odrzekł hardy komtur z pogroźką — „a ciebie jutro tensam los czeka gdzieindziej!”

Tymsamym co Markward duchem wrzało wszystko niedobite Krzyżactwo. Cały zakon runął dziś na zawsze pod mieczem kary, a małego później, dysząc resztkami życia, marzą niedobite szczenięta hydry krzyżackiej o zupełnem wytępieniu narodu zwycięzkiego, o chwili „kiedyto stary obyczaj polski i złość polska zostaną tak gruntownie wyrwane z ziemi z korzeniem, iżby już nigdy zazielenić się więcej nie mogły”. Zawiodły te marzenia o blizkiem wytępieniu narodu, i zawiodła pogroźka Markwardowa względem Witolda; nieugięty zaś Markward z Szobergiem przypłacili gardłem zuchwalstwo.

Niemniej zuchwali i rozjątrzeni spółtowarzysze obu dwóch straconych jeńców szli z równą pogardą na pewną śmierć w czasie samejże walki. Pod niektórymi chorągwiemi dało rycerstwo pruskie raczej wyciąć się w pień, niż skłonić się do ustąpienia. Ztąd liczba poległych w bitwie była jeszcze większą niż liczba jeńców. Oprócz W. mistrza i W. marszałka leżeli na poboju W. komtur, W. szatny, W. skarbnik zakonu, tudzież kilkudziesięciu komturów z pośledniejszymi urzędnikami zakonu. Razem dochodziła ilość trupów krzyżackich według najumiarkowanego szacunku do ośmnastu tysięcy, według innych zaś obliczeń do pięćdziesięciu.

Żywcem miano wziąć około 40,000. Chorągwi zdobyto 51 t. j. wszystkie, ile ich było. Z wyjątkiem kilku zwiastunów kłęski, zbiegłych do krzyżackiej twierdzy i stolicy Malborka, aby tam ostatnich czekać wyroków, nie zostało po całym ogromie wyprowadzonej pod Grunwald potęgi pruskiej. „Jeden dzień grunwaldzki” — biadają dziejopisowie krzyżacy — „zniszczył wszystką chwałę i potęgę zakonu”. — „Było dzień” — skarżą się oni dalej — „jego najwyższej sławy rycerskiej i męstwa bohaterskiego, lecz

oraz ostatni dzień pomyślności i szczęścia. Od jutra miały się zacząć dni jego niedoli, jego hańby, jego upadku po wszystkie czasy“.

Leżała teraz cała ta niedola rozpostarta na szerokim polu pobojuwiska, przed okiem przypatrującego mu się króla Jagiełły. Leżał przed nim widok tak stanowczego, tak bezprzykładnego w dziejach tryumfu, jakim może żadnemu z zwycięzców nie dano było nasycić wzroku i dumy. I znowuż szczęśliwy syn Olgierdów okazuje się ubłogosławionym pewną niezwykłą łaską przeznaczeń, które do tylu różnych wienców dorzuciły mu także wieniec bezprzykładnej chwały wojennej.

Nie kosztowała ona prócz tego żadnej prawie straty we własnym ludzie. Tylko rozgromiona z początku Litwa i Orda doznały uszczerbku w ludziach. „Naszych“ — pisze król Władysław tegoż samego dnia zpod Grunwaldu do jednego z biskupów polskich — „bardzo mało zginęło; ze znacznie-szych zaś nikt.“ Jakoż samo obojętne dla Jagiełły oko dziejopisarza, któremu winniśmy obszerny acz surowy opis jego charakteru i czynów, a który zwyczajnie nie zwraca uwagi na tę osobliwszą fortunność życia Jagiełłowego, czuje się tym razem uderzone jego szczególną łaską u Boga.

„Za zrządzeniem fortuny“ — prawi zdziwiony dniem grunwaldzkim kronikarz — „nie śmiał nieprzyjaciół rozpocząć bitwy pierwej, aż póki wszystkie szyki królewskie w należytym nie stanęły porządku. Toż i przed bitwą i podczas bitwy i po bitwie sprzyjało wszystko królowi, sprzyjał mu nawet wiatr, niosący kurzawę w oczy nieprzyjacielskie. Preto nie bez słuszności można zastosować do niego słowa poety:

O ulubieńcze Bogów! tobie na zawołanie

Stawa niebo do boju, i spieszą wiatry w zawody,

Dąc w zagle twoje!

Po obejrzeniu pobojuwiska wyszły rozkazy dalszego ścigania niedobitków. Rozciągnęła się pogoń na cztery mile dookoła. Sam król wyruszył za pierchającymi resztkami Niemców, i posunął się o dwie mile od pobojuwiska. Postępując z tysamsym dalej pośpiechem, można było już trzeciego lub czwartego dnia stanąć w stolicy pruskiej, w Malborgu. W śre-

dnich atoli wiekach, im świetniejszym miało być jakie zwycięstwo, tem dłużej powinien był zwycięzca pozostać na polu walki. Okazywał on przez to gotowość do powtórzenia boju z każdym nowym nieprzyjacielem, do utwierdzenia swojej sprawiedliwości powtórnym sądem bożym.

Ztąd główny zwycięzca turniejowy, jak np. dzisiejszy bohater Dobek z Oleśnicy przed sześcią laty w Toruniu, pozostawał zwyczajnie do północy i później w szrankach, czuwał sam jeden pociemku do dnia białego, popisując się gotowością do nowej acz wcale nieprawdopodobnej już walki. W zbytecznem uwzględnieniu tego rycerskiego ceremoniału postanowiła polska rada wojenna, aby król przez całe trzy doby pozostał na placu chwały. Powrócił więc Jagiełło z dwumilowej pogoni nazad na miejsce bitwy, i aż do dnia trzeciego zatrzymał się w okolicy pobojowiska.

W tym czasie zajęto się z niezwykłą ludzkością pielegnowaniem rannych bez różnicy narodu, grzebaniem ciał poległych obojej strony, zaopatrzeniem jeńców w odzież i żywność na drogę do domu lub do Polski. Odszukane nazajutrz zwłoki W. mistrza i głównych urzędników zakonu kazał król na bogato ustrojonym wozie żałobnym odstawić uczciwie do Malborka. Pośledniejsze ciała pruskie i polskie pogrzebiono na cmentarzu kościoła tannenberskiego. Odbyło się w obliczu całej armii polskiej wielkie nabożeństwo żałobne i dziękczynne, przyozdobione widokiem mnogich sztandarów nieprzyjacielskich. Poustawiane dokoła kaplicy obozowej, wydawały one razem głośny szelest w powiewie wiatru.

Po nabożeństwie nastąpiła uczta wspaniała, przy której oprócz króla i głównych książąt i wodzów polskich zasiedli także obaj książęta w niewolę wzięci, Konrad i Kazimierz, niebawem wolno puszczeni. Podczas uczty otrzymał król osobliwsze podziękowanie za zwycięstwo wczorajsze. Wystąpił z koła biesiadników najstarszy z książąt Mazowsza, Janusz na Czersku i Warszawie, tak sromotnie przed laty kilku skrzywdzony przez Krzyżaków. Teraz z całym rycerstwem swoim rzucił się na kolana przed Władysławem Jagiełłą, wołając w głos: „Tobie Panie Boże w niebiesiech, mścicielu

krzywd, i tobie najjaśniejszy królu Polski Władysławie, bądź wieczna wdzięczność i cześć, żeście nas uwolnili od nieprzyjaciół krzyżackich, którzy z winy praszczura mojego tak długo ciężyli na nas, a teraz tak świetnie pogromieni zostali, za co ja i wszyscy potomkowie moi chcemy wiecznie błogosławić i służyć koronie twojej!"

Ze strony starodawnego rodu Piastów, pozbawionego przez Jagiełłę widoków tronu polskiego, było to najokazalszem uznaniem zbawienności wypadków, które koronę polską z upośledzeniem dawnego szczepu królów rzuciły w objęcia wcale obcej dynastji, wcale nowego porządku rzeczy. A również jak na potomków dawnej rodziny Piastów, tak i na wiele innych spraw i stosunków narodowych wywarł dzień grunwaldzki niezmiernie ważne, długotrwałe wrażenie. Obaczym to bliżej w obrazie dalszego wiekopomnego wypadku, którym zamkniemy opowiadanie nasze.

Tymczasem wypadło rozgłosić powszędy wiadomość o „wielkiej wojnie“ grunwaldzkiej. W braku późniejszych „relacji“ drukowanych, w braku dzisiejszego rozgłosu dziennikarskiego, a przy równie żywej potrzebie wygłaszania czynów swoich przed światem, służył temu celowi jedyny środek pisemnej korespondencji. Mnodzy też pisarze i „kancelarzyści“ królewscy zasiedli teraz do pisania i rozsyłania na wszystkie strony listów z doniesieniami o dniu wczorajszym. Rozeszły się takie doniesienia do królowej, do arcybiskupa Mikołaja z Kurowa, do panów, strzegących zamku w Krakowie, do magistratu miasta Krakowa, do akademji krakowskiej.

Odebrali jeszcze pisma podobne biskup poznański Wojciech, wszyscy zapewne królowie zagraniczni, niektóre z znaczniejszych miast zagranicznych jak np. Frankfurt nad Menem, nawet pojedynczy panowie zagraniczni jak np. czeski baron Henryk de Rosis. Jednocześnie ułożono i rozesłano odezwy do wszystkich miast krzyżackich, upominające do poddania się królowi zwyciężkiemu, przyrzekające łaskę królewską. W tropy za nimi wyruszył wreszcie i król Władysław Jagiełło, we czwartek dnia 17 lipca, ku stolicy Malborskiej.

Wszystkie zamki i miasta spieszyły z poddaniem się

Polakom. W przeciągu dni kilkunastu znalazły się całe Prusy z wyjątkiem stołecznego Malbarga w ręku Jagiełły. Stołeczna atoli twierdza pod naczelnictwem niezłomnego komtura z Świecia, Henryka Plauen, ogłoszonego wkrótce W. mistrzem zakonu, nadstawiła czoło królowi i oblegającym ją wojskom polskim. Skoro zaś przyszło do kończenia wojny przy dłuższem oblężaniu, musiała wojna zakończyć się niezupełnie po myśli oblegających.

Pomyślna walka oblężnicza jest dopiero nowszych wieków owocem. Za czasów oblężenia Malbarga, nie znających ani takiej organizacji wojska, któraby zdołała utrzymać je długo na jednym miejscu, ani takiej ekonomii publicznej, któraby umiała przez czas dłuższy zaopatrywać je w żywność i żołd, ani wreszcie dostatecznej wytrwałości do znoszenia trudów jesiennych i zimowych, kaźden warowniejszy z natury gród, broniony uporczywiej, był grodem niezdobytym.

Do tych przeszkód ogólnych przybyła w razie obecnym pewna nader ważna przeszkoda poszczególna. W ciągu oblężenia powiodło się Krzyżakom, mianowicie przyspieszającym w pomoc dostojnikom inflanckim, zobojeźnić Witolda względem zupełnego wytępienia Zakonu, owszem przedstawić mu takowe niebezpiecznem dla samej Litwy. Zdawierendawna przychylny w pewnej mierze Krzyżactwu, dał on nazbyt snadnie ucha podszeptom, iż tak niezwyčajnie szczęśliwa Polska—opanowawszy ziemię krzyżacką, stawszy się przeto również ciężką Litwie z północy, jak już ciężka nad nią z zachodu i południa — weźmie zbyt stanowczą górę nad Litwą, zamieni ją w swoją poddaną, pozbawi Witolda korony wielkksiążęcej.

Obudziła się ztąd w Witoldzie chęć utrzymania równowagi między Polską a Litwą. Opanowany tą myślą, „nie dał teraz skłonić się do wytępienia zakonu.“ W kilka tygodni po rozpoczęciu oblężenia ustąpili srodze przerzedzeni Litwini zpod Malbarga. Za ich przykładem poszli także obaj książęta mazowieccy. Tymczasem węgierski sprzymierzeniec Krzyżaków Zygmunt wyprawił rzeczywiście oddział wojsk przez Karpaty do Polski, który pustoszył ziemię krakowską. Mimo najusilniejszych chęci króla Jagiełły, mimo serdecznego żalu

sprzyjających mu miast i wszystkiej ludności kraju, musieli Polacy ustąpić spod stolicy zakonnej.

Z niedobytych Malborkiem utrzymały się także resztki niedogiębionego Zakonu, utrzymał się do czasu pozor jego panowania nad Wisłą. Zawartym wkrótce pokojem toruńskim (1 lutego 1411) uzyskała Polska i Litwa jedynie ziemię dobrzyńską, żmudzka i sto tysięcy groszy okupu.

Ale to wszystko nie ocaliło Krzyżactwa. Dzień grunwaldzki nie pozbył swojej chwały zwyciężkiej. Zadany wtedy cios pozostał zawsze śmiertelnym. Odwłoka ostatecznego upadku spowodowała tylko mniej okazały w końcu upadek, odjęła mu niezasłużoną świetność wojenną. Byłby zakon zginął nad zasługę wspaniale, gdyby mu dano było zginąć od miecza. Zaczyna śmierć na pobojuwisku rycerskiem zdała się dziejom zbyt zaszczytną dla teutonizmu pruskiego. Nieubłagana mścicielka wszelkich jawnych i tajnych win, kazała historja ginąć Krzyżactwu śmiercią potworną, śmiercią naj-sromotniejszą, bo nienawiścią i zdradą własnego ludu.

Jakoż ten bezprzykładnie szpetny rodzaj upadku miał objawić najgłośniej całą występność braci teutońskich, niemoralność całego ich panowania, fałszywość faryzejskiej spowiedzi, którą niegdyś brat poległego teraz mistrza Ulryka, W. mistrz Konrad chwalił się z grzechów swoich przed Bogiem. Toć przypominamy sobie owe pyszno - obłudne słowa krzyżackie, przytoczone w początkach powieści naszej: „My szanowaliśmy zawsze prawo i sprawiedliwość; czciliśmy słusność i równość, — my nie gnębimy nikogo, nie nakładamy zbyt ciężarów, nie pożądamy cudzej własności; wszystkie nasze miasta i gminy żyją według przepisów dobrej policji, prałaci, szlachta i lud prosty mają spokój i sprawiedliwość, wszyscy przy łasce bożej pożywają owoce panującej u nas słusności, równości, sprawiedliwości!“

Nie więcej jak lat cztery upłynęło od tych obłudnych słów, a już w tak krótkim przeciągu czasu dało im niebo straszną odpowiedź. Już w cztery lata ziściła się owa groźba prorocza, którą z widzeń św. Brygidy przeciwstawiliśmy niegdyś spowiedniej pysze W. mistrza Konrada. Już w tych niewielu latach nadszedł według przepowiedni pobożnej

czas. że wyłamane zostały zęby wilkom krzyżackim, i została ucięta im ręka prawa, i prawa noga im ochromiała, aby żyli i uznali występki swoje. I jakżeto wówczas owi prałaci, szlachta, lud prosty, miasta i gminy przyświadczyli prawdzie świętokradzkiego samochwalstwa zakonu?

Oto wszystko wyrzekło się Krzyżaków. Wszystko rzuciło się z radością w objęcia ich wrogów i pogromców, Polaków, błogosławiąc krwawemu dniu, który wszystkim rozwiązał usta i serca, pozwolił okazać nienawiść ciemieżcom swoim, przychylność ich pogromcom.

Wielki lament—pisze zboląły ziomek i rówieśnik owego obłudnego mistrza Konrada—przyszedł po tannenberskiej bitwie na zakon. Wszystka bowiem szlachta i gmin i wszystkie miasta pruskie wdarły się do zamków zakonnych, i poddały je królowi polskiemu, i zaprzysięgły mu wszelkie poddaństwo i wierność wszelką... A jak ciż szlachta i gmin i mieszczenie powstali na panów swoich, tak też sprzeniewierzyli się im biskupi, prałaci, zakonnicy, zakonnice, ludzie wszelkiego stanu, którzy wszyscy przeszli na stronę króla polskiego, i wzięli go sobie za pana. I stała się tak wielka zdrada w państwie zakonnem, i tak nagła zmiana serc w całym Prusiech, jakiej nie było jeszcze przykładu w żadnym kraju...

Po niedługim czasie zagnieździła się zdrada, zagnieździły się wszelkie plagi niezgody, nienawiści, zamieszki, w samemże łonie Krzyżactwa. Ów chwilowy zbawca zakonu, W. wistrz Henryk Plauen, został już we trzy lata po katastrofie grunwaldzkiej ze sromem zepchnięty z godności wielkomistrzowskiej. W domiar wszelkiej klęski i hańby teutonizmu musiał złożony mistrz Plauen według samegoż wyrażenia się dzisiejszych chwalców zakonu uznać, iż zbestwiona horda krzyżacka niegodna była istnienia, i że lud pruski poczyta sobie za szczęście uwolnić się z pod ich władzy.

Zniewoliło to niedawnego zbawcę, a teraz zdrajcę zakonu do zawiązania tajnych porozumień z królem Jagiełłą, w celu poddania mu całej ziemi krzyżackiej. Spetłł wprawdzie na niczem wcześniej odkryty zamysł Plauena, ale co

nie przyszło do skutku niebawem po Grunwaldzie za pomocą mistrza Plauena, tego w mało co dłuższym przeciągu czasu sam lud pruski dokonał. W 44 lat po wielkim dniu grunwaldzkim najpiękniejsza część państwa pruskiego, staropolskie Pomorze, otrzymało się z jarzma Krzyżaków i połączyło się z Polską. Ochromiony ten zakon utracił według owej przepowiedni istotnie rękę prawą i nogę prawą — lecz nie uznał występków swoich. Owszem, aż do schyłku dni również fałszem i zdradą tchnące, skończyło Krzyżactwo niemieckie zupełnem odstępstwem od wiary, której miało być tarczą — odszczepieństwem od kościoła, z którego wzięło początek — przyjęciem sekty witemberskiej, złutrzaniem.

Resztką krajów zakonnych przeszła wtedy pod hołdownictwo korony polskiej. Dzięki zwycięztwu grunwaldzkiemu, upadło na kilka wieków niebezpieczeństwo wielkiego państwa teutońskiego nad Bałtykiem. Cała Słowiańszczyzna nadbałtycka odetchnęła swobodniej. Dzień wielkiej bitwy został podniesiony do rzędu świąt narodowych. Zdobyte pod Grunwaldem chorągwie powiewały przez dwieście lat w stołecznej katedrze polskiej. Niejedną świątynię wiejską ozdobiły trofeje wielkiej potrzeby, a starożytny kościół Piotra Dunina w Kijach szczylił się ornatem z białą arasowej delji rycerskiej, w której poległ W. mistrz Ulryk.

Na ścianach zamku krakowskiego świecił przechodniom wiersz łaciński na cześć tryumfu grunwaldzkiego. Jakitaki miłośnik chwały ojezystej czcił go wierszem własnego pióra, w języku obcym i polskim. Przez długie lata brzmiały o nim pieśni w narodzie. Na poboju grunwaldzkim stanęła wielka kaplica z gronem sześciu kapłanów do odprawiania nabożeństwa żałobnego. Z, właściwą onym wiekom obojętnością o ścisłość prawdy historycznej, umieszczono na niej napis: „Pamięci stu tysięcy poległych“.

Ale najwspanialszym pomnikiem chwały grunwaldzkiej mniemamy wielką uroczystość nowoutwierdzonej unji obudwóch ludów zwycięskich, która już we trzy lata po wielkiej bitwie odbyła się w nadbużańskim Horodle.



Plac Ś-go Piotra w chwili ostatniego błogosławieństwa, udzielonego przez Papieża Piusa IX „urbi et orbi” w 1870 roku.

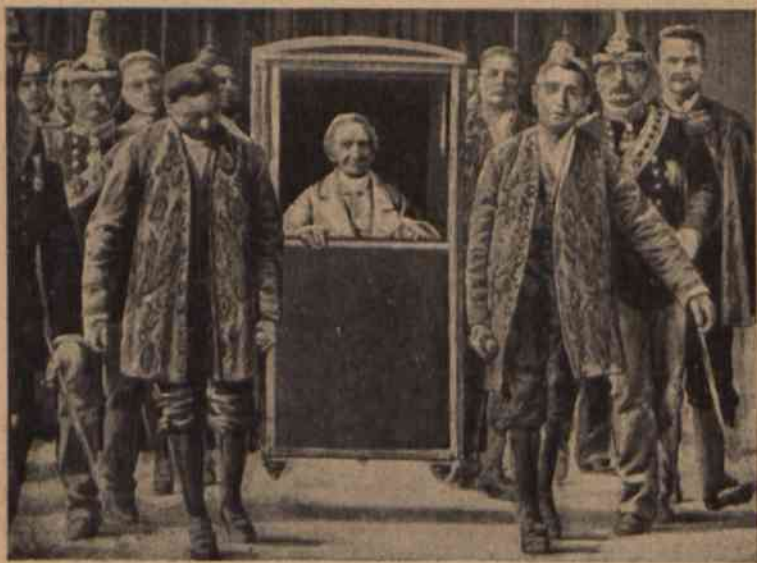
Uroczystości w Watykanie.

W roku bieżącym pociągną do Rzymu многие zastępy pielgrzymów pobożnych, pragnących widzieć i wziąć udział w uroczystościach „roku świętego”. Ceremonje będą liczne a pełne majestatu. Ojciec Św. zezjdzie do kościoła Ś-go Piotra i tam odprawi nabożeństwo, w jednej z kaplic Watykanu, przyozdobionej najrzadszemi arcydziełami sztuki, wkładać będzie na głowę nowo wybranych książąt Kościoła kapelusz kardynalski. Odbędą się okazałe obrządki beatyfikacji „błogosławionych”. Wszędzie obecność Ojca Św., powaga miejsca przemawia do duszy widza szeptem tajemnicy świętej i wywoła dreszcz zarazem grozy i rozkoszy.

Czerpiąc wiadomości z autentycznych dokumentów, podujemy czytelnikom naszym dokładny opis regulaminu uroczystości watykańskich w całym ich blasku i doniosłości tradycyjnego ich znaczenia.

W pośrodku dwustu ośmdziesięciu czterech kolumn, tworzących wspaniałe półkole, w którego głębi wznosi się kościół Ś-go Piotra, corocznie snują się niezliczone tłumy po-

bożnych. Chociaż widać, że niecierpliwość nimi włada, posuwają się zwolna, nie tłocząc się bezładnie na placu, prowadzącym do świątyni. Z okien Watykanu Ojciec Św. widzieć może tych ludzi, dążących tak tłumnie po to jedynie, aby ujrzeć przez krótką chwilę oblicze Jego, usłyszeć głos Jego z pod sklepień kościoła rozchodzący się dalekiem echem po świecie katolickim. Bazylika Ś-go Piotra jest punktem zbornym, ogniwem, łączącym papieża z całym społeczeństwem wiernych.



„Bussolanti”, niosący Papieża pod eskortą gwardji w małej lektyce („sedia”, lub „portativa”).

Niegdyś, przed 1870 rokiem zetknięcie bezpośrednie tego, społeczeństwa z Ojcem Św. było częstsze i sposobność do niego łatwiejsza. Pius IX chętnie odbywał wycieczki po ulicach Rzymu, przewodniczył uroczystościom kościelnym, koronacji obrazów i posągów Matki Boskiej, instalacji proboszczów i t. p.; względy polityki nie zmuszały go do zamykania się w obrębie murów swego pałacu, nie broniły mu ukazywania się mieszkańcom wiecznego miasta, rozmawiania

z nimi swobodnie. Odkąd jednak Rzym przestał być własnością Papieża, On widzi się zmuszony zamykać się w Watykanie i tam zniewoleni są szukać Go wierni, pragnący oglądać oblicze Jego. Sposobność zaś widzenia Ojca Św. znajdują katolicy tylko podczas uroczystości, odbywanych w kościele Ś-go Piotra lub w Watykanie.

W miarę podeszlejszego wieku Leona XIII ceremonje te, zbyt uciążliwe dla 89-letniego starca, coraz rzadszemi się stają. Odbywają się one zwykle w trzech wypadkach: podczas przyjęcia liczniejszej, przybywającej z Włoch lub z dalszych stron pielgrzymki, podczas posiedzeń Rady papiejskiej, zwanej Świętem Kolegium, w celu mianowania nowych kardynałów, lub wreszcie podczas ceremonji towarzyszących beatyfikacji „błogosławionych“.

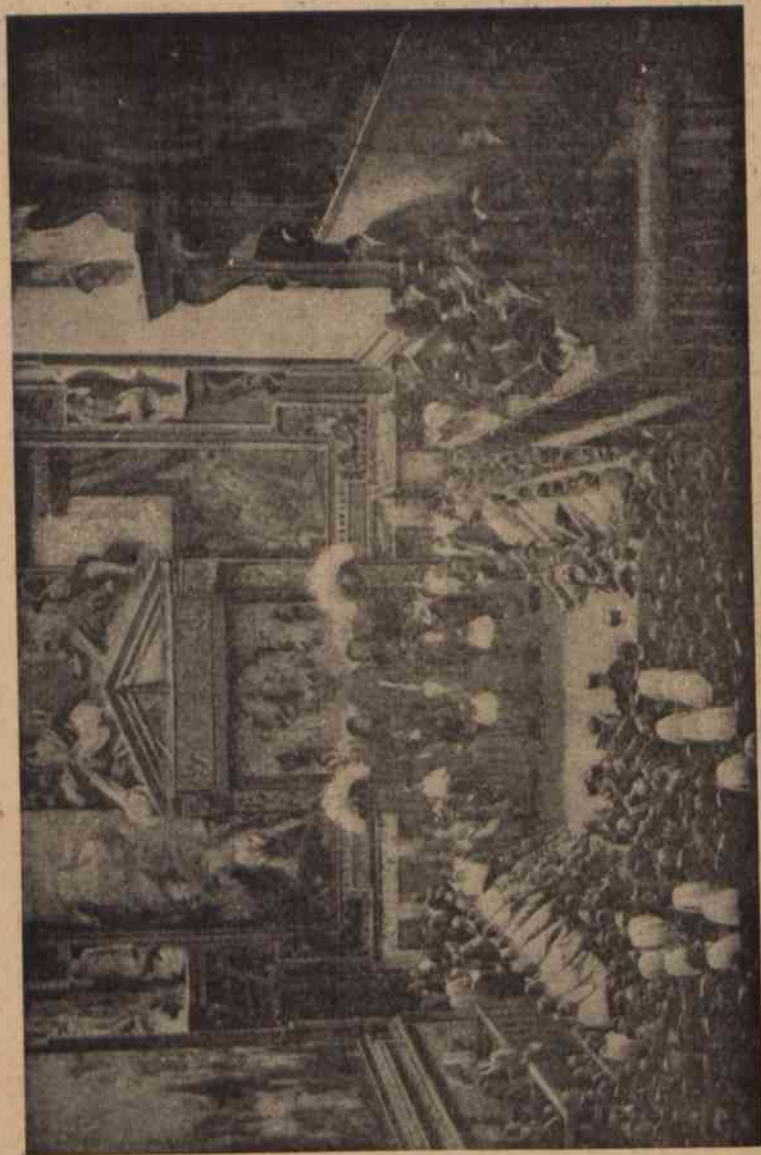
Pielgrzymki przyjmowane bywają zazwyczaj w kościele Ś-go Piotra; konsystorze, na których mianują nowych kardynałów, miewają posiedzenia w salach Watykanu, a beatyfikacja błogosławionych odbywa się czasami w kościele Ś-go Piotra, a częściej w obszernych kaplicach watykańskich.

Wojskowa eskorta papieaska.

Dla towarzyszenia Papieżowi, mającemu uczestniczyć w jakiej uroczystości bądź w kościele Ś-go Piotra, bądź w Watykanie, 500 ludzi różnej broni staje w szeregach. Z koszar zbudowanych przez Borgiów, występuje 200 gwardzistów Szwajcarów, w pstrych czarno-czerwonozółtych mundurach; kaski ich strojne w białe pióropusze, na ramieniu trzymają stalowe halabardy, a mniejszymi oddziałami zajmują posterunki przy drzwiach, któremi Papież wychodzi, oraz na schodach głównych i korytarzach.

Ta gwardja szwajcarska istnieje od początku XVI wieku; kantony katolickie Szwajcarji pełnienie służby przy Papieżu poczytują za zaszczyt. Sto dwadzieścia ludzi owej gwardji czuwa dniem i nocą nad bezpieczeństwem Ojca Św. na schodach i przy drzwiach Jego apartamentów.

Gwardja pałacowa, nie tak świetnie przybrana jak szwajcarska, składa się z ochotników, wybieranych ze sfery drob-



Konsystorz, odbyty 24 Marca 1898 roku.

Adwokaci konsystorscy na kłęczkach przed Papieżem odczytują streszczenie życiorysu Joanny d'Arc. Po obu stronach na ławach zasiadają Kardynałowie.

nego mieszczaństwa; noszą podczas uroczystości mundur niebieski. Na posterunek dla nich wyznaczono wielki dziedziniec watykański, gdzie stać muszą z bronią przy boku, czekając przejścia Papieża. Obowiązkiem ich jest tworzyć szpaler, gdy orszak papieski przeciąga, aby powstrzymać cisnącą się publiczność.

Gwardja pałacowa nie pobiera żołdu i nie rości też pretensji do awansów; stanowi niejako rezerwę wojska papieskiego. Liczy około czterystu ludzi; zapisany w ich szeregi rzemieślnik przychodzi mniej więcej co trzy tygodnie odbywać wartę w przedpokoju papieskim, lub pełnić straż honorową.



Pratut i Szambelan.

Bardziej marsową postawę mają żandarmi papiescy, w niebieskich mundurach o białych wyłogach, w butach z miękkiej skóry, spodniach jelonkowych, z dużymi, włóczącymi się pałaszami i w olbrzymich bermycach z połyskującej pilśni, co ich czyni podobnymi do grenadierów francuskich pierwszego cesarstwa; strójjich jednak dawniej-

szej sięga epoki, wzór bowiem do niego dał sławny snycerz Michał Anioł. Żandarmi ci o poważnym wyrazie twarzy, z pałaszem przy boku, wąsami w górę zakręconymi, w zastępstwie policji strzegą porządku i bezpieczeństwa na schodach pałacowych, w ogrodach i po korytarzach.

Gwardję przyboczną papieską, złożoną z dwustu członków, tworzy młodzież szlachecka najznakomitszych rodów

rzymskich. Noszą czerwone mundury, białe spodnie, buty z ostrogami, złożony hełm z powiewającą kitą, i otaczają w czasie uroczystego pochodu lektykę papieską.

Przed nimi i za nimi w orszaku idą szambelani papiescy w czarnym jedwabnym ubraniu, w berecie nasuniętym na ucho, w karbowanej fryzie, w krótkich spodniach, cienkich, płtykch trzewikach, ze szpadą przy boku. Jest to w niczem niezmieniony strój, którego wzór narysował niegdyś Rafael dla szambelanów Papieża Juljusza II.

Ceremonjal przy schodzeniu Papieża do kościoła Ś-go Piotra.

Gdy Papież o 10-ej rano ma zejść do kościoła, już od 8-ej robią się przygotowania, aby towarzyszący mu orszak odpowiedni był majestatowi Ojca Św.

Pochód jednak nie może odbywać się z dawną okazałością i Papież bocznemi drzwiami, jakby pokryjomu, przechodzi z pałaców watykańskich do bazyliki Ś-go Piotra.

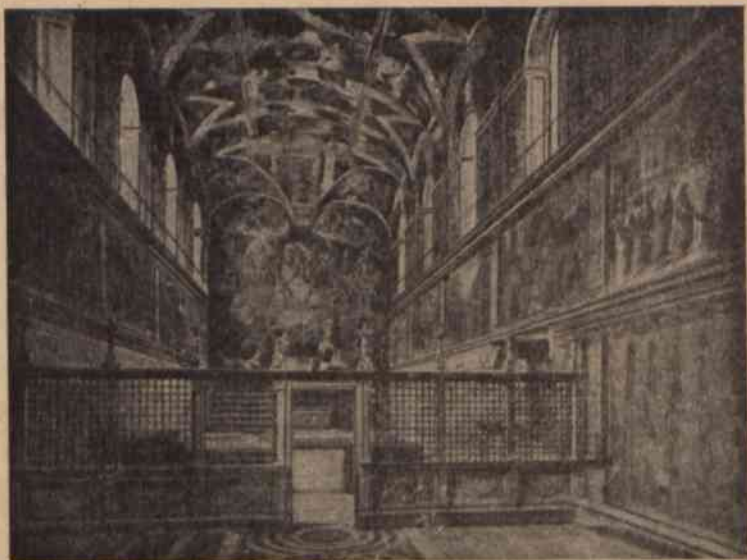
Szwajcarzy, żandarmi, gwardja szlachecka rozpoczynają ten pochód; za nimi idą woźni papiescy, przybrani w fijolety; są to niejako spadkobiercy dawnych li-



Gwardja, żandarmi i szambelanowie.

ktorów rzymskich z czasów pogańskich z tą różnicą, że liktorzy nieśli w rękę topory, jako symbol władzy życia i śmierci kroczą-

cych za nimi dygnitarzy państwa, gdy woźni papiescy niosą na krzyż złożone klucze Ś-go Piotra. Za woźnymi postępują szambelani, a za tymi „książęta asystenci“, członkowie najarystokratyczniejszych rodzin, w czarnym ubraniu, w czarnych rękawiczkach, krótkich spodniach, płaszczu hiszpańskim, ze szpadą o srebrnej rękojeści u pasa. W końcu idzie Św. Kolegium: kardynałowie w purpurowych sutannach, każdy mając za sobą dwóch niższych stopni asystentów, jeden fioletowo, drugi czarno przybranych.



Kaplica Sykstyńska.

W głębi wielki fresk Michała Anioła „Sąd ostateczny“; w Kaplicy tej odbywają się niektóre uroczyste nabożeństwa.

Po pewnej przerwie w szeregach orszaku następują znowu osoby w czerwonym stroju, są to bussolanti; bussola nazywają się podwójne drzwi, wyściełane i obite czerwoną materją, a prowadzące do prywatnego mieszkania Papieża; strzegący tych drzwi bussolanti są niejako odźwiernymi Leona XIII i towarzyszą Mu podczas uroczystych pochodów; jedni niosą wielkie wachlarze z piór strusich, okrążające gło-

wę Papieża, drudzy dźwigają na ramionach krzesło przenośne (sedia gestatoria), na którym spoczywa wątle Jego ciało. Krzesło papieskie posuwa się zwolna wśród tłumu wiernych, Ojciec Św. odczuwa niejako ciężar i dolegliwość każdego



Kawaler Mustafa w Kaplicy Sykstyńskiej.

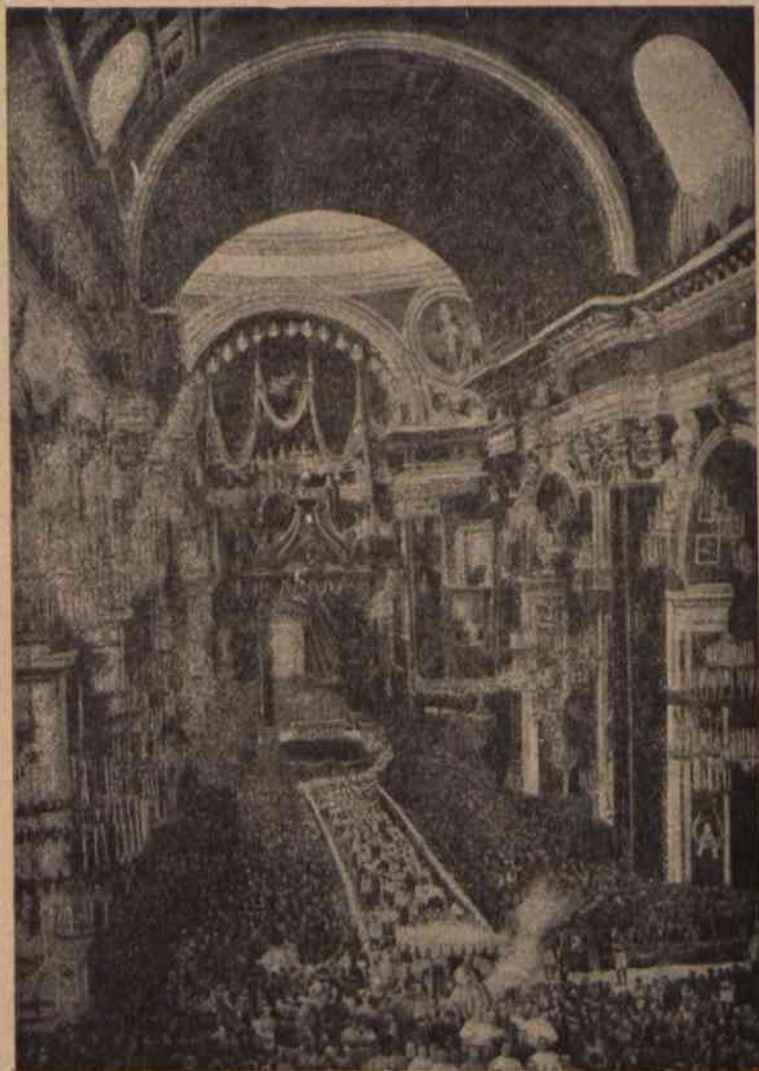
drgnięcia ramion niosących go ludzi. Leon XII, obnoszony na „sedii“, doznawał wrażenia choroby morskiej; Leona XIII męczy niemniej pochód podobny. Oczy zebranych tłumów utkwione w Papieża, śledzą najlżejsze poruszenie Jego, każde wyprostowanie lub pochylenie figury zmęczonego starca,

każde podniesienie Jego ręki, błogosławiącej zebrany. Urok niezrównanej muzyki ustępuje przed urokiem widoku tej wzniosłej postaci. Żadna jednak muzyka nie może równać się w piękności z muzyką kościelną papieską, występującą w czasie uroczystych obchodów u Ś-go Piotra lub w Watykanie. Dwudziestu dziewięciu śpiewaków, noszących tonsurę i suknie duchowne, tworzy tak zwaną kapelę papieską. Śpiewają, czytając nuty z rękopisu, bez towarzyszenia organów. U Ś-go Piotra, zarówno jak w kaplicy sykstyńskiej, mają oddzielną trybunę, wybitą czerwonym sukniem i złożoną kratę oddzieloną od publiczności, dla której śpiewacy pozostają niewidzialni. Dyryguje kapelą dziewięćdziesięcioletni starzec, kawaler Mustafa, a jako jego następcę wymieniają znanego powszechnie kompozytora Lorenza Perosi. Z oczami zwróconymi na pałeczkę dyrektora, śpiewacy wykonują odrębny zupełnie rodzaj muzyki, nie słyszanej gdzieindziej na świecie. Przez cały czas obrzędów religijnych, których rytuał niczem nie różni się od nabożeństw, odprawianych w najskromniejszych Kościołkach wiejskich (Papież składa cześć Bogu w ten sam sposób, co najpokorniejszy kapłan), cudowna melodia rozlega się wśród murów bazyliki, dodając wiele uroku uroczystościom papieskim.

Mianowanie kardynałów.

Inny zupełnie charakter mają posiedzenia konsystorskie, na których Papież mianuje kardynałów, uzupełniając luki przez śmierć poczynione.

Każda taka promocja kardynalska zajmuje dwa posiedzenia: jedno tajne, na którym Papież udziela powołanemu na nowe dostojęstwo prałatowi beret czerwony jako oznakę jego przyszłej godności, drugie publiczne, na którym nakłada mu na głowę kapelusz kardynalski. W pierwszym zebraniu z osób świeckich jedynie monarchowie mają przywilej brania udziału; na drugie przeciwnie dopuszczani bywają i zbierają się zazwyczaj licznie dyplomaci, mieszkańcy Rzymu i wierni różnej narodowości.



Papież w Kościele Ś-go Pawła w wielkiej lektyce.

W głębi grób księcia apostołów. Bazylika Ś-go Piotra wynosi 186 metrów długości, główna nawą ma 28 metrów szerokości. Kościół ten może pomieścić 54 tysiące osób.

Świetne te zgromadzenia odbywają się w jednej z sal Watykanu, zwanej salą królewską. Kardynałowie, obecni w Rzymie, wysiadłszy z karety, przywdziewają strój odpowiedni uroczystości i oczekują przybycia Papieża w sali zwanej „ozdobną“, której ściany pokryte przepysznyimi gobelinami d' Arras (Arazzi), przedstawiającymi sceny biblijne nowego i starego testamentu. Wpatrzeni w te obrazy kardynałowie oddają się rozmyślaniom porannym.

Zjawia się wreszcie wojsko papieskie z halabardami i gołymi mieczami w rękach, za niem idą sekretarze Kongregacji rzymskich, potem służba pałacowa, w końcu purpurowa ze złotymi ozdobami lektyka, z której wysiada Leon XIII, bierze na siebie kapę i mitrę (nie tjare) i zajmuje miejsce na tronie. Ponieważ sala królewska nie może pomieścić tłumu ciekawych, część publiczności gromadzi się w sali książęcej, aby widzieć Papieża w przejściu do konsystorza.

Tron papieski stoi w głębi sali na wyniesieniu, 60 centymetrów wysokim o trzech stopniach, pokryty materją fjołkową w złote rzuty. Dwa lwy, wypukłe, odstające od wspaniałych gobelinów, stoją jakby na straży po dwóch stronach tronu. Ławki z lewej i z prawej strony ciągną się do środka sali. Siedzący na nich kardynałowie z rozpoczęciem obrad Kongregacji wstają kolejno i przyklękając, całują rękę Papieża.

— Niech się zbliżą—woła głos jakiś.

Wychodzą fjołkowo przybrani lektorzy, i czytają Papieżowi referaty, tyżące się zamierzonej w przyszłości beatyfikacji „błogosławionych“; gdy Ojciec Św. uzna, iż rzecz dostatecznie wyświetlona, znakiem przerywa czytanie, znowu odzywa się głos rozkazujący:

— Niech się oddalą!

I odchodzą nie tylko lektorzy, ale i kardynałowie, udają się do kaplicy Sykstyńskiej po nowomianowanych kolegów swoich. Po chwili wraca orszak i nowi członkowie św. Kolegium, każdy mając obok siebie dwóch starszych kardynałów, zbliżają się do Papieża, składają przed Nim trzy pokłony, całują najpierw nogę, potem rękę Jego Świątobliwości i odbierają od Ojca Św. uścisk dwukrotny, następnie z sie-

dzącymi w ławkach pięćdziesięciu do sześćdziesięciu kardynałami, z którymi już stoją na stopie koleżeństwa, wymieniają również braterskie uściski. Ceremonje te, z rytuałem ściśle określonym, mają symboliczne znaczenie: Kościół domaga się, aby ci, którzy brać będą udział w jego rządach, choć różniący się w tendencjach i przekonaniach politycznych, z chwilą, gdy zostają powołani do pełnienia ważnych obowiązków, przewodników duchownych, bratnim uściskiem połączyli się ku wspólności dążeń i celów.

Następnie nowi kardynałowie przystępują kolejno do Papieża, który nakłada im duże czerwone, podbite czerwona również materją, ozdobione sznurami i kutasami kapelusze, o szerokich rondach i tak płaskie, że utrzymać się na głowie nie mogą. Inne też mają przeznaczenie: przechowywane starannie, ukazują się dopiero po śmierci kardynała, składane u stóp jego, gdy ciało leży na katafalku, a następnie zawieszane w kościele nad kamieniem grobowym zmarłego dostojnika duchownego. Taką jest



Kapa i mitra złota,

noszone przez Papieża podczas wielkich uroczystości.

oznaka godności kardynalskiej; gdy Papież kładzie ją na głowę kardynałowi, przemawia do niego w te słowa: „Kapelusz ten świadczy o gotowości przelania choćby ostatniej kropli krwi za wiarę, za spokój i zgodę ludów chrześcijańskich, za szerzenie światła Ewangelji S-ej.”

W ten sposób kardynałowie w dniu, stanowiącym tak ważną epokę w ich życiu, odbierają naukę: o potrzebie zje-

dnoczenia się w pracy wspólnej dla dobra Kościoła i o obowiązku poniesienia choćby męczeństwa dla obrony chrześcijaństwa i szczęścia ludzkości.

Nie znajdujemy też czezej formalistyki w ceremonjach Watykanu; przemawiają one do duszy zarówno jak i do zmysłów człowieka, a wywierając głębokie wrażenie moralne, oczom dostarczają niezrównanych rozkoszy.



Orszak pontyfikalny,
udający się jedną z górnych galerji do watykańskich kaplic. Z okien tej galerji
rociąga się śliczny widok na Rzym.

Beatyfikacja „błogosławionych” przez Papieża.

Takich wrażeń i takich rozkoszy doświadczamy również, gdy z łoży, umieszczonej nad frontonem kościoła Ś-go

Piotra, przypatrujemy się uroczystości beatyfikacji „błogosławionych“.

Przez długie lata, czasami nawet przez całe wieki, pralaci Kongregacji „obrzędów“, mając sobie zlecone zbadanie, czy jakaś osoba, zmarła już naturalnie, posiadała tak wysokie cnoty, aby zasługiwała na zaliczenie jej w poczet „błogosławionych“ Kościoła, zbierają cierpliwie dokument za dokumentem, rozprawę za rozprawą. Gdy wreszcie uznają, że beatyfikacja nastąpić może, to jest świadectwa przemawiają,



Wnętrze kościoła Ś-go Piotra przed uroczystością pontyfikalną.

iz osoba, której życie roztrząsano, może stać się przedmiotem czci powszechnej, wówczas Papież zwołuje wiernych na wielką z tego powodu uroczystość.

W dniu oznaczonym Ojciec Święty zasiada na tronie; sekretarz Kongregacji „obrzędów“ czyta dekret, nakazujący beatyfikację, poczem przy towarzystwie śpiewów kapeli papieskiej, odprawia się solenna msza. Przed jej rozpoczęciem, przed tym ołtarzem rozwija się naraz płótno, umieszczone w górze z wizerunkiem błogosławionego w apoteozie,

co znaczy, że od tej chwili pobożni cześć jej w modlitwach swoich oddawać mogą.

Zaraz jednak potem Mustafa intonuje „Gloria“ jakby na



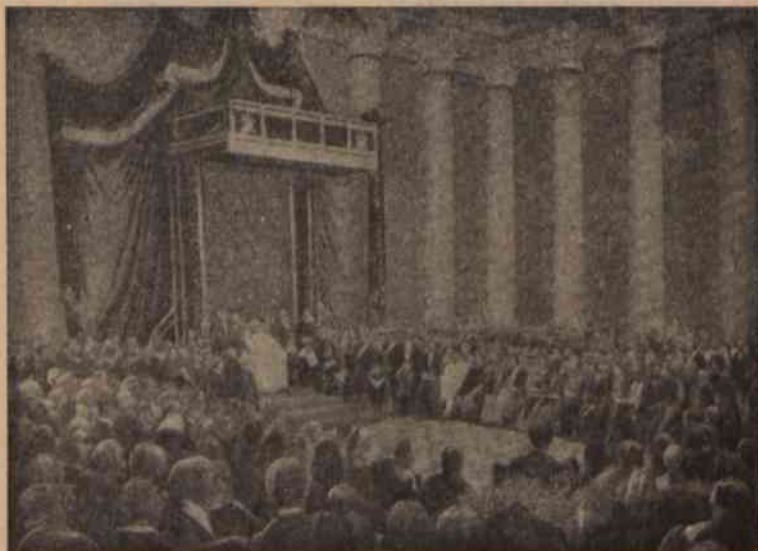
przypomnienie, że po czci oddawanej „błogosławionym pańskim“ należy składać chwałę Bogu.

Orszak pontyfikalny wchodzi do Sali Rafaela.

Błogosławienstwo „Urbi et orbi”.

Nigdzie tak żywo, jak w kościele Ś-go Piotra nie staje w pamięci wspomnienie ceremonji, zaniechanych od lat trzydziestu, których szczegóły opowiadają z żalem, tęskniący za nimi mieszkańcy wiecznego miasta.

Gdy Rzym był własnością papieży, Ojciec Św. w dniach wielkich uroczystości stawał na balkonie obszernej loży, wychodzącej na plac Ś-go Piotra i ztamtąd błogosławił miastu i światu całemu: „Urbi et orbi”.



Papież przyjmuje pielgrzymów.

Wojsko wtedy zajmowało środek placu, a tłum wierznych cisnął się na stopniach bazyliki i wśród kolumnady. Ponsowe sukno, rozwieszone nad balkonem, było jedyną ozdobą, dozwoloną przez papieży i pod tem suknem gromadził się zwolna orszak cały.

Naraz pośród placu dźwięk wydobywanych z pochew pałaszy zwiastował wzruszonym tłumom ukazanie się na balkonie „białego starca”.

— Prezentuj broń! — komenderowali generałowie oficerom, a oficerowie żołnierzom.

— Et benedictio Dei descendat super vos — brzmiało donośnie z wysokości balkonu po całym dokoła placu. A setki tysięcy głów chyliły się kornie przed błogosławiącą krzyżem świętym dłonią Głowy Kościoła. Po odejściu Papieża zdejmowano z balkonu sukno czerwone, co było znakiem ukończenia ceremonji.



Żołnierze włoscy, utrzymujący porządek przed Kościołem Ś-go Piotra podczas uroczystości.

Leon XIII, zostawszy papieżem, wahał się, czy ma przywrócić zwyczaj udzielania takiego błogosławieństwa tłumom. Pius IX od r. 1870, to jest od chwili zajęcia Rzymu przez Piemontczyków, zaniechał tej ceremonji; Leon XIII zdecydował się iść jego śladem, aby tym sposobem zaświadczyć, że i on uważa się za więźnia w Watykanie.

W chrześcijańskim Rzymie; gdzie wszystko jest symbolem, nawet usunięcie ceremonji kościelnej miało znaczenie symboliczne. Położony nacisk na to słowo: symbol, określa ono dokładnie charakter odbywanych ceremonji w Watykanie. Przywodzi również na pamięć niektóre pojęcia religijne, zewnętrzną wystawnością obrządków głębiej w umysł wra-

żane. Są one jakby snującym się nieprzerwanym wątkiem dalekiej przeszłości, w ciągu której Kościół rozwijał się, pozostając zawsze wiernym, niewzruszonym zasadom swoim.

Obrządki te mają doniosłe znaczenie tak ze względu na wywierany wpływ, jak przechowywanie tradycji historycznych, ukrywają pod zewnętrzną archaiczną szatą pełne żywotności zasady; ukazujące się zaś wśród tych okazałych ceremonji oblicze Papieża, zwracające na siebie ogólną uwagę, wytwarza w tych wspaniałych obrazach, mimo mnogości szczegółów, jedność podniosłych celów.

Ks. Franc.

Piśmiennictwo.

Pierwszy miesięcznik w Polsce.

Kartka bibliograficzno-literacka.

Dlaczego „pierwszy w Polsce“, a nie poprostu: „pierwszy polski“? Bo protoplasta „Biblioteki Warszawskiej“, „Ateneum“ oraz „Miesięcznika Kurjera Polskiego“, choć wychodził w Polsce, polskim nie był. Wydawano go po francusku, nosił zaś tytuł: „*Journal Polonais*“.

Z kolei, nadchodzi drugie pytanie: czemu dla pisma polskiego i polskość swą, w tytule głoszącego, wybrano język cudzoziemski? Wystarczyłoby odpowiedzieć: tak chciała moda, pani wszechwładna, której tylko najdzielniejsi mają odwagę opierać się. Redakcja powołuje się w przedmowie na pisma: „*Mercur de Danie*“ i „*Spectatrice Danoise*“, wychodzące w Danji; na „*Bibliothèque Hollandaise*“, drukowaną w Amsterdamie na „*Journal Anglais*“, którego redakcja znajdowała się w Londynie. Te wszystkie dzienniki, choć pisane językiem zamiejscowym, pomieszczały prace, przygotowane na miejscu—i ten ich charakter zasadniczy miał być obowiązującym i dla naszego miesięcznika.

Istniały wszakże dwa powody, natury bardziej prywatnej, które ten wybór czyniły nieuniknionym: narodowość redaktora i kupieckie wyrachowanie wydawcy. Wydawcą był Michał Groell; redaktorem—Dusert. O wydawcy, utrzymującym księgarnię w Marywilu „pod znakiem Poetów“, wiemy aż nadto wiele; redaktor jest nam prawie zupełnie obcy.

O tym ostatnim z dwóch miejsc przedmowy dowiadujemy się tyle tylko, że w chwili rozpoczęcia wydawnictwa, od sześciu lat przebywa w Polsce i że społeczeństwu polskiemu był swój zawdzięcza. Wynika stąd, że zjawił się w Warszawie razem ze wstąpieniem na tron Stanisława — w którym też prawdopodobnie znalazł opiekuna i protektora. Podobnych mu nigdy prawie w dawnej Polsce nie brakło.

Wspomniana przedmowa jest pod wielu względami znamienna. W tonie ogólnym przypomina niektóre z dzisiejszych prospektów, gdzie pod kwiatami społeczno-obywatelsko-naukowych trazesów kryje się najzwyczajniejszy potrzask na... prenumeratora. Ale ma i odrębne znamiona, w których odbija się epoka i jej właściwości.

Według zapowiedzi redakcyjnej, *Journal Polonais* miał na celu: łączyć naukę z rozrywką, przyteczne z przyjemnem. „Wszystkie rodzaje utworów—czytamy w przedmowie—naukowych, literackich, ekonomicznych; wszystko zgoła, co zwraca uwagę znawców, czy to swą użytecznością, czy wdziękiem, będzie miało prawo do miejsca w naszym piśmie“...

Co miesiąc, ukazywać się miał zeszyt w rodzaju dziennika paryskiego „*Mercur de France*“. Redakcja zastrzegła sobie prawo sądzenia nadesłanych artykułów — co było, jak się zdaje, nieznaną jeszcze wówczas nowością. „O dostarczonych nam pracach, o ile zajdzie potrzeba, wypowiemy swe zdanie *pro viribus*, grzecznie i powściągliwie, lecz zarazem z filozoficzną swobodą sądu, o której mówi klasyk: „*Librum si malus est, neques laudare*“. Nie obawiamy się, aby szczerść nasza zadrasnęła którego z prawdziwych mędrców—tym bowiem wiadomo, że krytyka jest dla dzieł ducha kamieniem probierczym i że niezbyt wysokie pojęcie wypada mieć o autorach, którzy jej się obawiają“...

Różga krytyczna została wywieszona jedynie dla postrachu. Przez cały—nieślugi zresztą—okres wychodzenia pisma nikogo w niem nie ochłostano.

Stwierdzając, że pomysł miesięcznika jest w Polsce zupełnie nowy, że nie poprzedziło go nic w ściśle tym samym rodzaju, redakcja aż nadto wyraźnie wypowiada swe projekty i nadzieje. „Z pomysłu naszego—mówi—wyniknąć może z czasem korzyść i zaszczyt dla Polski, jeśli znajdziemy poparcie u tych, którym zamożność pozwoli podtrzymywać stronę materjalną wydawnictwa, a talent — dodawać mu wartości wewnętrznej i zajęcia“...

Byłoby zresztą wszystko w porządku, gdyby nie jeden

punkt programu, który nawet nam, przywykłym do nadzwyczajnych wybryków reklamy prospektowej, wydaje się czemś niesłychanem. Po całej litanji wezwań i prośb do zgromadzeń klasztornych, zakładów wychowawczych, biur wojskowych i t. p. o dostarczanie materiału informacyjnego, redakcja wystosowywa następną, zdumiewającą odezwę pod adresem „jaśnie oświeconych“ i „jaśnie wielmożnych“:

„Gdyby magnaci (*grands Seigneurs*) raczyli łaskawie zawiadamić nas o zdarzeniach, obchodzących nie tylko ich rodzinę, ale budzących też żywe zajęcie wśród szerokiego ogółu, takich mianowicie jak: zawieranie małżeństw, narodziny, przyjmowanie urzędów, otrzymywanie beneficjów, oznak honorowych i t. p., z przyjemnością oddalibyśmy łamy naszego pisma na ich usługi“...

To już *zanadto* wyraźne!

Na szczęście, skończyło się na wezwaniu i zapowiedzi. Osobliwym zaprawdę w dziejach dziennikarstwa trafem, pismo okazało się lepszem od prospektu. Miesięcznik nie splamił się ani razu lokajskim służalstwem. Przypisać to zapewne trzeba stosunkom, jakie łączyły księgarnię Groella z najpoważniejszymi pisarzami naszymi. Zbyt ruchliwy wydawca powstrzymany został przez nich w porę od kroku, ubliżającego powadze piśmiennictwa. *Journal Polonais* wychodził od stycznia do kwietnia 1770 roku. Był drukowany ozdobnie, w formacie małej ósemki, na papierze czerpanym i odznaczał się zewnętrzną powabną, jak prawie wszystkie ówczesne druki Groella. Formatem i całym wyglądem przypominał pierwsze wydania „Bajek“, „Satyr“ i „Wierszy“ Krasickiego.

Zeszyty miesięczne były ładnymi choć niewielkimi zeszytami, liczącymi po sto kilkanaście stronnic. Treść ich przejrzymy pokrótce, gdyż jest pod niejednym względem ciekawa.

Artykuły, zamieszczone w *Journal Polonais* są, z bardzo małym wyjątkiem, bezimienne. Z małym też bardzo wyjątkiem wyszły wszystkie z pod piór miejscowych. Dowcip, nazywający Polaków „Francuzami Połnocy“, znalazł i w tym razie potwierdzenie. Okazało się, że w społeczeństwie, nie posiadającym bynajmniej nadmiaru pisarzy oryginalnych, nietrudno było o talenty, umiejące wcale pięknie wysławiać się po francusku.

Odsłonięcie owych anonimów stanowiłoby ciekawy przyczynek do dziejów piśmiennictwa naszego w wieku XVII-ym. O klucz do tych zagadek literackich prosić by trzeba Estreichera—podobno wszakże i ten wielki erudyta dostarczyłby

go nie mógł. *Journal Polonais* był efemerydą, żył chwilkę, śladu po sobie trwalszego nie pozostawił, a usunawszy z programu politykę, która wówczas pierwsze miejsce w życiu naszym trzymała, skazał się dobrowolnie na zapomnienie.

Zaraz w pierwszym tomiku spotykamy udatny wiersz p. t. „Na przekór losowi“ (*Dépit contre la fortune*). Odznacza się on nastrojem pogodnym i niezależnością ducha, właściwą wszystkim lepszym umysłom tamtego stulecia. Utwór ten, niepodpisany, opatrzyła redakcja uwagą: „W wierszu powyższym znajduje się, naszym zdaniem, dużo filozofji oraz piękny morał, tem skuteczniejszy, że obleczony w formę pełną wdzięku. Przedewszystkiem wierszowanie wydało się nam płynnem i harmonijnem. Zwracamy się przeto do autora z prośbą, aby częściej tekę swą otwierał dla z bogacenia naszego dziennika płodami swej Muzy“.

Łatwiej było na miejscu o zgrabne i dźwięczne wiersze, o fejetonowe rozprawki i o anegdoty, niż o prace ściśle naukowe. Po te ostatnie musiała redakcja sięgnąć do źródeł obcych. Dwa poważne artykuły: „O przesądzie, piętnującym hańbą rodziny przestępców“, oraz „Uwagi o wychowaniu“ zostały przedrukowane z *Mercure de France*.

Produktem miejscowym jest rozprawa p. t. „O wyższości, jaką posiadają u kobiet zalety duchowe nad cielesnymi“. Jest to doskonały fejeton, pisany lekko, ale bynajmniej nie płytko, pełen erudycji naukowej, cytat z pisarzy żyjących i zmarłych, jednym słowem rzecz, ułożona nie tylko w języku, ale i w duchu najzupełniej francuskim. Kończy się ta rozprawka przytoczeniem wiersza panny Scuderi „Piękność, Rozum, Cnota“. Ostatnia strofka wiersza brzmi sceptycznie:

La verts, zeul bien véritable,
 Nous suit au-delà du trépas:
 Mais ce bien, solide et durable,
 Hélas! on ne le cherche pas! *)

Z francuzczyzną miesza się w miesięczniku łacina. Mamy tu zagadki, ułożone w mowie Wergilego; mamy tłumaczenia wierszy klasycznych z przytoczeniem oryginałów; mamy wreszcie dwa poemaciki, skreślone wierszami łacińskimi.

*) Cnota, jedyne dobro prawdziwe, towarzyszy nam po za mogiłę; ale niestety! tego dobra stałego i trwałego nikt nie szuka.

Pierwszy z poemacików traktuje o „metempsychozie“, wedle zasad Pitagoresa; drugi, będący osobliwością w swoim rodzaju, wyklada wierszami teorię doktora Meada o wściekliwości u ludzi i zwierząt, o jej objawach i środkach jej leczenia.

Dla niezwykłości przedmiotu, załączam początek ostatniego:

Unde cani blandae rabies, quo sidere pestem
Morsibus inspiret, quae vulnera signa sequantur,
Quaequae salus nascentem comprimat ignem
Expeditam. *)

Redakcja objaśnia w dopisku, że obydwia poematy są dziełem jednego autora i że tym autorem: czeigodny cudzoziemiec (nie wiemy, czy ma to znaczyć: Polak?), powszechnie w Stolicy tej (w Warszawie) znany i poważany, i spełniający zaszczytną służbę publiczną. Przypuszczamy, że przygodny poeta był z zawodu lekarzem — choć w takim razie, tem dziwniejszym wydaje się opiewany przezeń środek leczenia wściekliczny przez... zanurzanie chorego w morzu. Zapomniał widocznie „czeigodny cudzoziemiec“, że nie zawsze ma się morze pod ręką...

Na resztę zeszytu składają się krótkie artykuły literackie, wiadomości z dziedziny literatury i nauki, ciekawsze jeszcze dla nas niż dla współczesnych, prospekty wydawnictw Groella; wreszcie—anegdoty.

Ostatnie, prócz zwykłych conceptów dla śmiechu, zawierają fakty potoczne i historyczne, bliżej nas obchodzące i godne zapamiętania. Przytaczamy dwa dla przykładu:

„Pewien rycerz, w obecności Zygmunta I-go, wysławiał zasność i użyteczność stanu wojskowego i wyrażał się z lekceważeniem o ludziach pełniących urzędy cywilne. Król zgromił go, mówiąc:— Czyż nie wiesz, zarozumiałcze, że gdybyśmy mieli zupełnie dobrych urzędników, wy nie byłibyście nam zupełnie potrzebni!“...

„Gdy Sobieski powracał z pod Wiednia, mówca jeden przyrównał go w panegiryku do Cezara.— Jak ów władca rzymski—mówił—tak i ty, najjaśniejszy panie, przybyłeś, zobaczyłeś i zwyciężyłeś.— To jest tylko w dwóch trzecich prawdą— rzekł na to król— Jam przybył tu i ja zobaczyłem: zwyciężył jednak— Bóg“.

*) Skąd psów domowych bierze się wściekliczna,
Przez ukąszenie jad zaszczepiająca
I czem przytłumić trawiący jej ogień,
Tu wytłomaczą.

Pomiędzy anegdotami zapisano też co następuje: „Andrzej Załuski mawiał, że nauka uczy młodych życia skromnego, starcom przynosi pociechę, biednych z bogaca, a bogaczom świętości dodaje“.

Egzemplarz miesięcznika, który posiadam, należał niegdyś do tegoż samego Załuskiego (Józefa Andrzeja, biskupa referendarza wielkiego koronnego, bibliofila, oraz twórcy i ofiarodawcy sławnego księgozbioru). Zasłużony ten mąż, który, podobnie jak Kraszewski, wszystko czytał i o wszystkim sąd własny posiadał, zwyczajem swym, zapełniał marginesy dziennika licznymi uwagami. Przy powyższej anegdotce napisał własnoręcznie: „To jest moja inskrypcja, ale łacińska, w Biblijotece, nad salą“.

Znaleźliśmy wreszcie wśród anegdot wiadomość nader ważną, dotyczącą księdza Baudouin'a i znanej powszechnie legendy o policzku. *Journal*, zamieściwszy tę legendę, otrzymał niebawem następujący, listowny do niej komentarz — którego, jak się zdaje, sama redakcja zażądała:

„ 16 stycznia 1770 r.

Do podanej przez pana redaktora wiadomości nie mam nic więcej do nadmienienia prócz tego, że fakt przypisywany ojcu Baudouin'owi i który przyniósłby mu niezawodnie wiele zaszczytu, nigdy nie istniał w rzeczywistości. Jest to stara dykteryjka (*historiette*), której bohaterem miał być jakiś ksiądz sabaudzki w Turynie. Tę dykteryjkę opowiedział mi i księdzu Baudouin'owi generał Monet, podówczas nauczyciel księcia Adama Czartoryskiego.

Pozostaje itd.

Śliwicki.”

Jakkolwiek ani przy podpisie, ani w objaśnieniu redakcji nie została wskazana osobistość autora listu, odgadujemy bez trudu, że był nim ksiądz Piotr Hijacynt Śliwicki, uczony i świętobliwy prokurator warszawskiego zgromadzenia Misjonarzy, a w epoce pisania listu, wizytator generalny. Okoliczność, że zasięgano zdania ks. Śliwickiego w omawianej sprawie tłómaczy się łatwo tem, że dwoma laty wcześniej wydał on książkę, poświęconą w całości „ojcu sierot“, p. t. „Opisanie pobożnego życia i zgonu Piotra Gabryjela Baudouin'a“.

Żał nam każdej legendy rozwianej... godzimy się też w zupełności na uwagę, jaką do listu ks. u. dodała redakcja.

„Pomieszciliśmy — czytamy tam — anegdotę o księdzu Baudouin'ie na wiarę osoby szanownej i godnej zaufania — nie będziemy

się jednak o prawdziwość jej spierali. Zresztą, jeśli fakt sam w sobie jest piękny i dobry, po co wdawać się w pedantyczne spory o miejsce, w którym się wydarzył!..

Duch czasu odcisnął swe znamię na następnych zeszytach miesięcznika pod formą dwojaką. Pomiedzy artykuły poważne i utwory poetyckie, nastrojone dość wysoko, wciśnięły się tam, najpierw, wierszyki niezupełnie skromne i nie całkiem przyzwoite, następnie—rymowane panegiryki.

O rodzaju tych ostatnich dadzą pojęcie tytuły, których kilka na próbę przytaczam: „*Vers à S. E. Mgr. le C. O. G. P. G. de Lith. au jour de S. André dont S. porte le nom*“; „*Etrennes à S. A. Mgr. le P. A. C. * * * G. D. P etc. etc. etc.*“ (do księcia Adama Czartoryskiego), „*Vers à S. E. Me, la Comtesse Starostine O O****“

Widocznie kilkotygodniowe doświadczenie nauczyło redaktora i wydawcę, że bez tego balastu balon dziennikarski szybować na żądanej wysokości nie zdoła...

Miesięcznik, choć po francusku zatytułowany, stawał się zwolna—poliglotycznym. Już zeszyt lutowy mieści w sobie artykuły w czterech językach: francuskim, łacińskim, polskim i włoskim.

Wielki wylew poezji panegirycznej spowodowało narozdzenie się potomka męskiego książęcej parze: Adamowi Czartoryskiemu, „Jenerałowi Ziemi Podolskich“ i Izabelli z Flemmingów. Tym razem nie popełniono wyjątkowo służalczej omyłki; dziecko, dla którego stroił swą lirę Apollo, wyrosło na męża, Apollinowych pieśni godnego.

Dwoma hymnami łacińskimi, jednym polskim, jednym francuskim, upamiętnia miesięcznik przyjście na świat znakomitego Adasia. Oto jak wita niemowlę polski rympis:

Książę! gdybym chciał u twych pieluch sypać kwiatki,
 Hybla-by mię swoimi przemogła dostatki;
 Gdybym perły kosztowne, droższymi klejnoty,
 Obdarzył-by cię Paktol albo Ganges złoty.
 Lecz masz dzieła Ojcowskie i cnych Dziadów czyny,
 Nad które kosztowniejszej świat nie zna daniny.
 Te niemowlejk kolebki, tymczasem, ozdoby,
 Niech będą; wkrótce chwałę własnej twej osoby.
 Tak się jednak z mej ręki wziętym ciesz zaszczytem,
 Żebyś go twym potomkom wypłacił z profitem.

Ten panegiryk jest bezimienny; przy francuskim jednak wypisano wyraźnie: *Vers... présentés de la part de Messieurs Moriski, Fils de Mgr. le Custellan de Léopol.*

Wszystko tu dziwne: i to, że utwór szesnastowerszowy kleciło aż dwóch „poetów“, i to, że panowie Morscy postępowali się językiem francuskim, i to, że przy nazwisku autorów został wymieniony tytuł ich ojca. Wszystko to dziwne... dla nas—ale czytelnikom z roku 1770 wydawało się z pewnością zupełnie naturalnem.

Z objaśnienia redakcji dowiadujemy się, że rymujący młodzieńcy byli uczniami Szkoły Kadetów (założonej przez ks. Czartoryskiego). „Dziś — czytamy tam — przynoszą oni zaszczyt swej szkole; w przyszłości, będą zaszczytem Polski całej“.

Historja literatury polskiej nie daje nam potwierdzenia ostatniej przepowiedni—choć zapisała (co prawda, na marginesie tylko), imię Tadeusza Morskiego, urodzonego 1752, zmarłego 1825 r., który wierszem dość zręcznym przełożył żartobliwy poemat Greszeta: „Vert-Vert, szpak klasztornego chowu“. Być może, iż to jeden z owych dwóch panegirystów. Zresztą pisał on więcej w rodzaju polityczno - społecznym, czyli, po dzisiejszemu mówiąc: publicystycznym.

Był to czas powszechnego okadzania się. Nie tylko mali kadzili wielkim, ale i wielcy podrzucali sobie wzajemnie pod nos wonne trybularze. W tymże samym naprzykład zeszytzie znajdujemy wiadomość o trzydziestu dwóch epigramatach łacińskich, oraz jednej takiejże odzie, ułożonych przez Jego Ekscelencję Anioła Marję Duriniego, nuncjusza Papieskiego, z okazji... haftów, wykonanych na krosnach przez hrabiankę Urszulę Zamoyską, córkę ordynata. Czytelnik spodziewa się czegoś żartobliwego — spotyka napuszoną powagę, z Olimpijską na czole zmarszczką. Do łacińskich wypracowań dołączono polski ich przekład przez Minasowicza, gładkiego acz płytkiego wierszopisa, którego protegował i nad miarę wychwalał biskup Andrzej Załuski.

Do nuncjuszowych zachwyty nad „robótkami“ hrabianki, dodał jakiś *abbè* F. także zachwyty nad samą hrabianką. Wyrażone są rymami włoskimi, i noszą tytuł „*La Vera Felicità*“.

Przy bardzo rozumnej i psychologicznie sprawiedliwej rozprawie o wychowaniu, gdzie autor zaleca jaknajusilniej łagodność w postępowaniu z dziećmi, dziwnie wygląda wybrana z wielu innych i postawiona jakby dla przykładu następująca anegdota historyczna:

„Gdy przed królem Kazimierzem Jagiellończykiem uskarżała się małżonka na zbyt surowe obchodzenie się Długosza z królewiczami, odpowiedział monarcha, że najmilszą

dla jego uszu muzyką jest: płacz synów, chłostanych przez nauczyciela“.

Nieocenione to są przyczynki do obrazu owej epoki, zarówno pod względem literackim, jak społecznym i obyczajowym.

Z nazwiskiem nuncjusza papieskiego spotykamy się raz jeszcze. Miesięcznik podaje wiadomość, wraz z cytataми o wydanym przezeń zbiorze pieśni na cześć wspomnianego już potomka Czartoryskich. Inni rzucali temu dziecięciu po jednym kwiatku; arcybiskup Ancyrański uczcił je całym bukietem...

Stanowiło to widocznie, jeśli nie specjalność, to przynajmniej najmiłą zabawkę legata, bo redakcja miesięcznika pisze: „Brakłoby najcenniejszego klejnotu w djademie, który Polska uczona i literacka, w uniesieniu radości i zachwytu, kładzie na czoło młodego księcia Czartoryskiego, gdyby do chóru, witającego tę piękną odrośl jednej z najpierwszych rodzin Królestwa, nie przyłączył swego głosu J. Eksceleńcja nuncjusz Durini“.

Ten nowy zbiór był koncertowym popisem kapłana-poety. Narodziny książątka opisał nuncjusz wszystkimi formami poetyckimi, jakich używano nie tylko za jego czasów, lecz jeszcze w klasycznej Romie i Helladzie. Między innymi, umitrowanemu dziecku zostały poświęcone trzy, czy cztery „hendekasyłaby“—jakiś nadzwyczajny rodzaj wiersza, o którym piszący to nigdy nie słyszał, choć miewa niekiedy do czynienia z rymami. O „hendekasyłabie“ możeby potrafili coś powiedzieć bieglejsi oden w tym przedmiocie koledzy: Zagórski, Lange lub Miriam.

Krytyka, którą *Journal Polonais* rymom nuncjusza poświęca, stoi na wysokości hierarchicznego stanowiska autora. Sprawozdawca załatwia się z nimi krótko, twierdząc, że wiersze bohaterskie Duriniego posiadają moc i ogień Wergiljusza; jego ody—wzniosłość i wdzień Horacego; epigramaty—zwięzłość i ciętość Marcjalisa, a hendekasyłaby—niezrównaną słodycz Katulla. Takim stylem pisuje się dziś już tylko o—Paderewskich.

Na szczęście dla siebie i dla nas, książdż Durini, podczas swego pobytu w Polsce nie zajmował się wyłącznie pisaniem rymowanych powinszowań. Poza tem uprawiał on rozumną politykę—czem naraził się nawet królowi—oraz drukował książki pożyteczne. W liczbie ostatnich, główne miejsce trzyma wydanie dzieł Szymona Szymonowicza Berdońskiego (Symonidesa).

Jeden z braci Morskich (Onufry), raz jeszcze wystąpił

w miesięczniku, w tejże samej, co poprzednio, roli -- która mu widocznie przypadła do smaku. Tym razem przedmiotem jego natchnienia stał się nowonarodzony synek Jędrzeja Zamoyskiego, maleńki Jaś. Za jego sprawą, rymujący kadet przypominał sobie nawet, kim jest i wyśpiewał swój hymn po polsku.

W tym hymnie, zmrzonemu snem pocie, ukazuje się starzec-wróżbita z wyrazem niezmiernej radości na twarzy.

Cały utwór, z dwudziestuośmiu wierszy złożony, posiada dwa tylko rymy: na *ony* i na *awie*. Niewiadomo, co w nim bardziej podziwiać: czy zręczność rymopisa, czy też bujność fantazji marzyciela...

Journal Polonais, pomnąc na prospektową zapowiedź łączenia rzeczy naukowych z lekkimi, zamieszczał artykuły -- które zespalać miały naukę i rozrywkę, a w których nie było właściwie ani jednej, ani drugiej.

Do tego rodzaju prac, niewiadomo do jakiego działu odnoszących się, należała naprzykład: „Dyssertacja o Początku kłaniania się lub życzenia zdrowia kichającym“. Tę dziwną rozprawę, traktowaną poważnie i historycznej erudycji pełną, wydrukował miesięcznik najpierw w polskim oryginale, następnie w przekładzie francuskim. Autor nie wymieniony -- domyślać się w nim jednak można pisarza gruntośnie wykształconego. Czemuż wiedzy i talentu na rzecz pożyteczniejszą nie użył!

A może kto ciekawy jego wywodów? Streścić-by je można w zdaniu, że: kichanie znane już było w najgłębszej starożytności... Wedle jednych, kichającym zaczęto życzyć zdrowia w roku 591 po narodzeniu Chrystusa, gdy ludzi sprzątała ze świata straszna epidemja „polegająca na tak gwałtownem kichaniu, że o śmierć przyprawiało“, Wedle innych, początek życzeniom dali żydzi, którzy dotąd kichającym współwyznawcom mówią: „*chaim*“, co znaczy: „życzę ci zdrowia“. Dlaczego zaś tak mówią? Oto dla tego, że wedle Talmudu „od początku świata kichnienie było w ludziach znakiem śmierci, póki Jakób nie otrzymał od Boga, że ta ustala kara“. O życzeniu zdrowia kichającym wspomina także Apuleusz, w księdze IX-tej swej księgi p. t. „Złoty Osieł“. Pliniusz stawia pytanie: „*Cur sternuantes salutamus?*“ (dlaczego kłaniamy się kichającym?) i nie rozwiązując go, wspomina tylko Tyberjusza, który nigdy o tym zwyczaju nie zapominał.

Antor w zapale poszukiwań sięga nawet do „Zenda-Westy“... i w ostatecznym wyniku nie umie niczem pozytywnem rozpatrywanego faktu wyjaśnić.

W zeszytce kwietniowym (który miał być ostatnim), miesza się również język polski z francuzczyzną i łacina. Kadzidła dymią i tu na cześć bogów, półbogów i zwykłych śmiertelników. Artykuły są bezimienne, lecz pod niektórymi wierszami znajdujemy litery: J. P. S. J.; to znów J. B. P., to wreszcie O. M., K. J. S. itd. Pod zagadkami i logogryfami—bo i o tem nie zapominało pismo, łączące naukę z rozrywką — widnieją podpisy: *Mademoiselle Ls.*, *Th. K.* Kilka z nich podpisał całym nazwiskiem: *Michel Borch*. Ostatni jest znany jako autor całego poematu, na chwałę Stanisława Augusta p. t. „*La Stanislade*“.

Do najpożyteczniejszych i najbardziej pouczających działów miesięcznika należały sprawozdania z nowych dzieł polskich i obcych. Znaleźć tam można szczegóły, które uchodziły dotąd uwagi historyków literatury i bibliografów.

Nie trzeba jednak określenia „nowe dzieło“ brać w ścisłym, dzisiejszem znaczeniu tego słowa. Dziś pismo, mówiąc o nowościach, uwzględnia jedynie książki, opatrzone rokiem bieżącym; *Journal Polonais* nie wahał się w rubryce „Nowiny literackie“ pisać o dziele, które wyszło przed... piętnastu laty. I stało się to z korzyścią dla czytelnika z roku 1900-go, który ze wspomnianego artykułu dowiaduje się rzeczy ciekawych o wydawnictwie zbiorowem, nauce i literaturze poświęconem, a w r. 1755 drukowanem p. t. „*Acta Litteraria Regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae*“.

Wśród wierszy polskich wyróżnia się prawdziwą pięknnością następujący:

DEFINICJA HISTORJI.

Jest to Teatrum wielkie, jest to widok nowy,
W którym umarli, kamień podnosząc grobowy,
Przybywają na Scenę sławną i prawdziwą,
Nam o sobie uczynić myśl istną i żywą.
Tam, od surowej czekać muszą powszechności,
Pokorni Aktorowie wyroku ścisłości
Tam swe przypominając przeszłe wykraczania,
Czyny, rozmowy, myśli i postępowania,
Wszelkiego stanu ludziom przychodzą dyktować:
Czego mają unikać, co zaś naśladować,
Co każdy, podług stanu, w którym się znajduje,
Czyni i rozeznawa, myśli i pojmuje,
A gdy onych przykłady tyłą sposobami,
Stają się szlachetnemi dla wszystkich lekcjami,

Mogą więc Prawodawcy, Rycerze, Królowie,
 Prości obywatele, nakoniec Panowie,
 W tem to zwierciedle szczerem doznanej wierności,
 Czytać oraz się uczyć własnych powinności.

Kwietniowy zeszyt miesięcznika był, jak już wspomniałem, zeszytem ostatnim. Wydawnictwo, rozpoczęte w styczniu r. 1770, po czterech miesiącach istnieć przestało. Oto w jakich słowach redakcja doniosła o tem swym czytelnikom.

„Zawiadomienie. Wypadki, zakłócające w tej chwili spokój naszej ojczyzny, stanowią niezwalczoną przeszkodę do wydawania pisma perjodycznego; zmuszeni przeto jesteśmy zawiesić swe wydawnictwo aż do chwili pomyślniejszej. O wznowieniu wydawnictwa, ogół w czasie właściwym zostanie zawiadomiony“.

Ogół zawiadomienia nie otrzymał, gdyż wydawnictwo nie zostało wznowione; wydawnictwa nie wznowiono, gdyż chwila pomyślniejsza nie nadeszła.

Dopiero w kilkadziesiąt lat później wznowiono myśl wydawania pisma miesięcznego, poświęconego nauce i literaturze. Tem pismem był „Pamiętnik Warszawski“, redagowany przez Feliksa Bentkowskiego.

Stało się przeto zadość przysłowiu narodowemu: „Pierwsze koty za płoty“.

Wiktor Gomulicki.

WIZERUNKI LITERACKIE.

Karol Szajnocha.



Dziwne są to dzieje żywota tego szerególnego pisarza.

Był synem *mandatarjusza* w Galicji! Na szczęście nie wszystkie kraje znały takiego dygnitarza, obecnie, chwała Bogu, już go nigdzie nie ma; Mandatarjuszem nazywał się rodzaj policjanta, rodzaj sędziego, który z ramienia dziedzica gnębił włościan. Mandatarjusz był to klin, pomysłu austriackiego, do rozsadzania budowy społecznej: znieprawiał i zohydzał dziedzica, obdzierał chłopą, wszczepiał weń dzikość. Wśród mandatarjuszów było dużo Niemców, dużo Czechów, przysłanych z wielką misją germanizowania Galicji.

Takiego działacza, choć z innym już tytułem unieśmiertelnił w osobie Precliczka Lam w powieści „Wielki świat Capowic“.

Ojciec Szajnochy był nieco od innych mandatarjuszów odmienny. Pisał się *Scheinoha Wtelensky*, ożenił się z Polką, mówił dobrze po polsku, a nawet miał zamiłowanie do książek. Cała jednak dosyć bogata biblioteka jego składała się z dzieł wyłącznie niemieckich.

Karol Szajnocha urodził się w wiosce Komornie pod Samborem 20 listopada 1818 roku.

Do szkół chodził w Samborze, potem we Lwowie. Uczył się dobrze, jedynie z polskiego miewał stopnie mierne. Z tego hjoografowie Szajnochy wyciągają wniosek, że poczucie narodowe zbudziło się dopiero później w przyszłym autorze dzieła „Jadwiga i Jagiełło”. Ale to nie jest dowód. Historia dostarcza wielu przykładów, że szkoła nie potrafiła dożyć i ocenić materiału w swoich wybitnych wychowaucach. Ważniejszym dowodem, iż dopiero życie koleżeńskie i wpływ społeczeństwa zdecydowały o narodowości Szajnochy, jest fakt, iż jeszcze w klasie czwartej, w 1833 roku pisał się na początku „Scheynoha de Wtelensky“, a w końcu roku już pisownię spolszczył i przeszedł na „*Szejnocha*“. Wpływ pewien miała na Karola matka, Łozińska z domu.

W r. 1835 za jakiś wierszyk i za udział w towarzystwie archeologicznem wsadzono Szajnochę do kozy we Lwowie. „Gdy wszedł do celi, stróż z latarnią popchnął go do środka, wskazał goły siennik na ogromnym tapczanie, konewkę z wodą, zatrzasnął drzwi i zamknął je dwoma olbrzymimi kłodami. Zaledwie więzień wyszedł z ostupienia, otwarły się drzwi na nowo i założono mu kajdanki na ręce i nogi.“ Łatwo sobie dorysować w wyobraźni resztę obrazu. Więzienia austriackie słynęły na świat cały: głód, ciemność, wilgoć, smród, brud, robactwo, a na dobitkę wszelkie udręczenia moralne. W takim więzieniu spędził Karol Szajnocha półtora roku. Wpłynęło to na jego zdrowie i na usposobienie, nabył kilka cierpień, stał się małomówny, zamknięty w sobie. „Uśmiech bywał rzadkim gościem na bladej twarzy i ledwo bym nie rzekł, iż sprawiał przykre wrażenie. Zartów słuchał chłodno i bez zajęcia“ (Leszek Borkowski).

Po wyjściu z więzienia (w czasie którego stracił ojca) rozpoczyna się dla Szajnochy ciężka, całe życie niemal trwająca walka o kawałek chleba powszedniego. Zdobywa go naprzód nauczycielką, za którą w biednym, zapuszczonym wówczas Lwowie płacą malutko. Kołacze do dziennikarstwa, ale wtedy honorarja autorskie nie były jeszcze znane.

Podczas tych wszystkich przejść w Szajnosze występuje ciągle wybitna żyłka do literatury. Gdy tylko może—

pisze. Jest surowym sędzią dla siebie, więc niedojrzałemi płodami talentu nie rączy nikogo, lecz je pali. Zaczyna—jak większość piszących—od wierszyków, powiastek, dramatów. Drukować rozpoczyna swe prace (powiastki) dopiero w r. 1840 w „Dzienniku mód“. Utworów takich historyk nasz napisał sporo (Kontrakty, Starościanka i t. d.). Dramat „Staś“ (1843 r.) probowano wciągnąć na scenę, usiłował wielki Dawison, potem Ładnowski—nadaremnie.

Z biegiem czasu, pod wpływem ludzi i wypadków, Szajnocha przechodzi do publicystyki, zostaje współpracownikiem i redaktorem paru pism i przemawia do ogółu o potrzebach życia bieżącego, o obowiązkach obywatelskich—to jest drugi stopień jego kariery pisarskiej. A że Szajnocha był bardzo pracowity, miał upodobanie do gruntowności, więc szukał podstawy do artykułów, do sądów o teraźniejszości w dziejach—to go wprowadziło do okresu trzeciego, najważniejszego, stał się dziejopisem.

Powaga myśli, popęd sięgania do gruntu, wykształcenie historyczne wyróżniały zdanie Szajnochy jako publicysty wśród powierzchownych sądów współczesności. Był to moment uniesień, i zuchwałych złudzeń; politycy byli poetami, poeci politykami. Szajnocha przestrzegał ogół przed skutkami takiego stanu rzeczy, gromił mistycyzm wierszokletów, „majaki poezji w półsennym mroku wyobraźni“, „fałsz o anielskich skrzydłach natchnienia, głupstwa w wieńcu laurowym“. Szajnocha pisał: „Natchnienia fałszywych proroków, kierowane przewagą obrazu rzeczy nad rzeczą samą, optycznym mgły odległej złudzeniem, słabością do śmiałego, niezwyčajnego rymu, pogładając z pogardą na każdą łatwą do uskutecznienia pospolitość, potrafi niewątpliwie swoim półsennym zawrotem głowy resztę gnuśnych dusz do *czynu*, który w jednej chwili więcej obali niż wszelki rozum w ciągu nowego półwiecza odbudować jest zdolny... Jeśli ich pisane złe rymy bywają udręczeniem redakcji, ich złe rymy działane gubią nieraz kraj cały... Obalamucenie uczuciowości fantazją, odurzenie rozumu zawrotem serca, rozprężenie wszelkiego hartu charakterów—to owoc barwistego kwiatu wierszomanji, fałszywej poetyczności w rymie i w życiu.“ Szajnocha wzywał społeczeństwo, aby przeszło „od złego rymu do prozy, od naśladowania natchnienia i entuzjazmu, do oryginalnej rozwagi i trzeźwości“.

Kiedy wśród wypadków europejskich r. 1848 w Galicji płonęły głowy, Szajnocha na pośmiewisko wskazywał radykalnych „Filipów z konopi“, którzy, nic nie wiedząc i nic nie myśląc, wyskakiwali do polityki, narzucając się narodowi na

przywódców. Ostrzegał przed „terrorystyczną przewagą do-
brych chęci nad rozsądkiem“, upominał, aby nie dać sobie
wytrącić z ręki broni „spokoju i powściągliwości“.

Takim był Szajnocha—publicysta.

W tym czasie rodzi się Szajnocha—historyk. Pierwsza
praca tego rodzaju nosi tytuł „Bolesław Chrobry“. Tu już
znać rękę mistrza. Potem idzie „Pierwsze odrodzenie się
Polski“.

Do pracy nad dziełem największem, „Jadwiga i Jagieł-
ło“ przystąpił w 1850 roku. Ale ciężka robota na skromne
życie zabierała czas najdroższy. Coraz wyraźniej czuć się
dawało, że więzienie nadwątlilo zdrowie, reumatyzm doku-
czał, wzrok słabł. Niewiadomo też, co by się stało, gdyby
nie posada pomocnika kustosa w Zakładzie im. Ossolińskich,
którą dostał Szajnocha w pierwszych dniach 1853 roku. Pen-
sja wynosiła 600 guldenów rocznie! Była jednak ratunkiem.

Wr. 1855 Szajnocha oddał drukarni początek trzyto-
mowego dzieła „Jadwiga i Jagiełło“. Publiczność książkę
przyjęła gorąco, nazwisko autora stało się głośnem wśród
uczonych i wśród ogółu.

W tymże 1855 roku Szajnocha ożenił się z panną Bi-
lińską i znalazł w niej ducha opiekuńczego. A potrzebował
go bardzo! Na wiosnę 1857 roku spadło na pisarza jedno
z najcięższych kalectw: ślepotą! „Nowonarodzonego syna
zobaczył już tylko przez mgłę, zasuwaną gasnące źrenice.“

Trzeba było ustąpić z posady. Zostawiono tylko pół
pensji. I było by przyszło do nędzy ostatniej, gdyby nie
szlachetna, delikatna pomoc Włod. Dzieduszyckiego. Cho-
ciaż teraz już i wydawcy zaczęli się zgłaszać. („Jadwigę
i Jagiełłę“ wydano niebawem po raz drugi).

Ale Szajnocha nie przestał pracować. „Jak dobry go-
spodarz, zbierający w dniach urodzaju zapasy na czarne go-
dziny niedostatku, posiadał Szajnocha — pisze K. Kantecki—
tak wielkie zasoby nauki, nagromadzone w dawniejszych la-
tach, iż mógł z nich czerpać długo“. Używał tylko pomocy
lektora. W r. 1858 wyszedł „Lechicki początek polski“. Je-
dnocześnie Szajnocha zamierzał wydać wielkie dzieło o Ja-
nie Sobieskim, ale zdążył wykończyć tylko część pierwszą
„Mściciel“. Ostatniem dziełem Szajnochy był wspaniały obraz
„Dwa lata dziejów naszych“ (1646 i 1648).

Zmarł 10 stycznia 1868 roku.

Pomimo postępów wiedzy historycznej, pomimo lic-
nych badań nowych, dzieła Szajnochy nie utraciły do dziś
wartości naukowej. Prócz tego mają one wartość literacką—
język pomnikowy. Języka tego przed 40-ma, 30-ma laty nie

mogli się ludzie dosyć nachwalić. Poznałeś świeżo, czytelniku, ustęp z najślynniejszego dzieła „Jadwiga i Jagiełło“; czy ci się język Szajnochy również bardzo podoba? Z pewnością zrobisz różne zastrzeżenia—i zarzuty słuszne będą. Ale to nie był błąd ojców naszych; rzeczywiście w r. 1855 i później język Szajnochy był nieporównany. Lecz szły lata, a język żyje, rozrasta się, pięknieje, siły nabiera. Porównanie języka Szajnochy do dzisiejszych naszych wymagań przekonywa dowodnie, jak niesłusznie ludzie, lubiący zrędzić, narzekają na zepsucie mowy przez nowe pokolenia pisarzy. Język nasz pod piórem Sienkiewicza, Prusa i innych nabrał uroku, przezroczystości, barwy i kształtów nowych, doskonalszych. Zasługi Szajnochy to nie zmniejsza: wielkie gmachy społeczne powstają pracą wielu pokoleń i ludzi, Szajnocha przyniósł jedną cenną cegielkę. Za to mu cześć!

Władysław Dobro-Wolski.

Z DZIEDZINY NAUKI.

Zmora minęła!

Dżuma kilkakrotnie za naszej pamięci kotatała do drzwi Europy. Drzwi się nie otworzyły.

W początkach 1879 wybuchnęła na wschodzie we wsi Wielłence gub. Astrachańskiej. W roku zeszłym grasowała na zachodnich krańcach Europy, w nadmorskiem mieście portugalskiem. Ukazała się w Wiedniu i, mówiono, w Krakowie.

Każdym razem opanowano ją szybko, osadzono na miejscu. A jednak to ta sama choroba, która niegdyś szerzyła się z przerażającą uporczywością i łatwością, docierała wszędzie: do miast wielkich i do zakątków ustronnych. Zostały po niej wspomnienia ponure: na ulicach goręły ogniska, ludzie uciekają—nie wiedzą, gdzie uciekać, bo nigdzie niema schronienia, nigdzie bezpieczeństwa; żywi nie mogą się pozbyć umarłych; ubodzy zostawieni bez pomocy, umarli bez pogrzebu.

Więc czemu ta zmora minęła? Czy choroba siłę straciła? Nie, tylko cywilizacja zmieniła świat i ludzi! Wiedza dała rodowi człowieczemu pojęcie do skutecznego zwalczania wrogich sił natury. Postępy medycyny i higieny wzniosły przed dżumą szaniec nieprzebyty.

Przyjrzyjmy się temu pokonanemu wrogowi.

Groza dżumy. Niedola i poświęcenia.

Dawna medycyna nie wiedziała więcej o dżumie nad to, co o niej opowiadają historycy, a nawet, co głoszą poeci. Wynikała z przyczyn nieznanych, szerzyła się, niewiadomo dlaczego i w jaki sposób, spadała na miasta, na kraje, porywała tłumy ofiar. Wszystkim chorobom zaraźliwym, wszystkim epidemjom nadawano jej straszne miano. Ogrom grozy, wzbudzonej przez dżumę, odbił się w literaturze.

Obrazem dżumy rozpoczynają się: „Iliada“ Homera i „Edyp król“ Sofoklesa. Rozgniewany Apollon rzuca plagę. Tak samo jak u Greków, u ludu, wybranego przez Boga, dżuma uważana jest za klęskę, zsyłaną przez gniew Jehowy.

Najwspanialszy opis tej epidemji, nazwany „Dżuma

w Atenach“, zawdzięczamy greckiemu historykowi Tucydydowski. Owa zaraza wybuchła w r. 430 przed Nar. Chr. Pana.

„W pełni zdrowia — pisze historyk — człowiek doświadczał nagle szalonego bólu głowy, potem dostawał zaczerwienienia i zapalenia oczu. Gardło i język były zakrwawione i wydawały technienie wstrętne, cuchnące. Ciało było tak rozpalone, że chorzy nie mogli znieść najłżejszego ubrania, nawet kołdry. Wybiegali na świeże powietrze, znajdując zwłaszcza rozkosz w rzucaniu się do zimnej wody! Kilku mniej strzeżonych wpadło do studni“.



Zaraza w Rzymie

Starożytni wyobrażali sobie morowe powietrze, jako wymiar kary bogów. Wierzyli, iż anioł zniszczenia wskazuje chorobie drzewi, w które uderzyć należy. Tak też to przedstawił malarz francuski Delannay.

Chorzy mrą, stłoczeni do kupy w świątyniach, naokoło studzien, gdzie się wloką, by znaleźć ochłodę. Na ulicach wznoszone są stosy, dymiące hakatomby trupów, do których każdy dorzuca swoich zmarłych.

Wstrętniejszemi jeszcze, jeśli to wogóle możliwe, są nędze moralne, towarzyszące zarazie. Wszystkie pożądliwości, wszystkie występki rozpasują się swobodnie.

Włoski gawędziarz Boccaccio, na czele swego „Dekame-

ronu" podaje niezapomniany opis dżumy, która spustoszyła Florencję w 1347 r.

"Iluż to dzielnych ludzi, ile pięknych dam, ilu młodzieńców urodziwych jadło obiad z rodzicami, towarzyszymi, przyjaciółmi, a wieczerzę spożywało już na tamtym świecie z przodkami".

Dalej Boccaccio szkicuje obraz ogólnego przerażenia:

"Taki strach przenikał do serc ludzkich, że brat porzucał brata, wuj siostrzeńca, siostra brata, a nieraz i żona męża. Co gorsza, co wydaje się nieprawdopodobnem niemal, to, że ojcowie i matki nie chcieli widzieć ani pielęgnować dzieci".

Jeśli jednak dżuma, tak jak wszystkie plagi, obnażające ludzkie serce, powodowała zbyt często rozigranie się samolubstwa, tchórzostwa i barbarzyństwa, to należy dodać, iż nieraz wznicała też szczytne poświęcenia.

Podtrzymany miłością chrześcijańską, taki św. Roch, w czasie „czarnej dżumy“, grasującej we Włoszech, niesie pomoc ofiarom tej strasznej choroby, aż dopóki sam nie pada jej pastwą; św. Karol Boromeusz, arcybiskup Medjolanu i Fryderyk Boromeusz współzawodniczyli ze sobą w niewyczerpanem poświęceniu. W r. 1720, podczas najsilniejszej zarazy, słynny biskup marsylski, Belzunce, przebiega miasto i co chwila życie swe naraża; dzielny kawaler Roze staje na czele galeoników, używanych do oczyszczania ulic z trupów, któremi były zastane, i chcąc ich zagnać do tej ciężkiej pracy, nie waha się grzebać umarłych własnymi rękoma.

W Jaffie w r. 1799, podczas wyprawy na Egipt, dowodzonej przez Bonapartego, naczelnym lekarzem Desgenettes, dla podniecenia odwagi armji, dziesiątkowanej przez dżumę, w szpitalu macza lancet w ropiącym gruczole i tym lancetem nakłuwa się dwukrotnie.

Wogóle lekarze w rozmaitych epidemjach dawali przykłady wzniosłej ofiarności zawodowej. Byli tacy, którzy czując, że już ich zaraza chwyciła i zguba przyjdzie niezawodnie, chcieli, by ich poświęcenie przyniosło korzyść nauce i notowali z całą dokładnością początek i przebieg wypadków.

Morowa zaraza w Polsce.

Od roku 1348, kiedy „czarna śmierć“ po raz pierwszy wtargnęła do Polski, zaraza była bardzo częstym gościem. Przychodziła, jak twierdzą kronikarze, najczęściej z Węgier lub powstawała z głodu i złej żywności. W wieku XIV-ym

szerzyła się sześć razy, w XV-ym dziesięcioleciu, w XVII-ym panowała w latach 1601—1603, 1623—1625, 1627—1632, 1637—1639, 1641, 1652—1654, a zawsze po kilka lat. Klęski, jakie prowadziła za sobą, były ogromne. Za Kazimierza Wielkiego zabrała połowę ludności; od r. 1348—1655 miała ją Polska przez 77 lat u siebie!

„Ona to—pisze Kubala—i napady tatarskie, zabierając ludność i niszcząc pracę, nie pozwalała Polsce wzrosnąć w siłę i dobytek, zagospodarować się, zacisnąć węzły społeczne; ona niszczyła podstawę cywilizacji i nagromadzenie ludności.“

„Dopóki w kraju panował rozum i ład, starano się i umiano usunąć następstwa zarazy, a nawet zapobiegać jej szerzeniu. Złoty wiek potrafił walczyć z zarazą. Znakomite przepisy Umiastowskiego *) mogły by dziś jeszcze zawstydzić niejedyn urząd sanitarny. To też pomór był słaby i prócz roku 1548, w którym, jak mówi Bielski, 200 tysięcy ludzi umarło, nie wiele szkody spowodził. Ale za panowania Wazów oświata upadła, zabrakło ludzi samodzielnego badania, mało ceniono nauki przyrodnicze, rozum publiczny stępsiał, nie umiano korzystać z doświadczeń i rozumu przodków, a gdy nadeszło olbrzymie nieszczęście, Rzeczpospolita była bezwładną, i ta bezwładność była przyczyną, że klęska elementarna wywarła fatalny wpływ na losy kraju.“

Ta klęska, to dżuma, „czarna śmierć“, jak ją wówczas nazywano.

Przyszła 1652 roku.

Pojawiła się ona najprzód w kilku miejscach na Ukrainie wkrótce po bitwie pod Beresteczkiem. Mówili jedni, że z powodu niepochowanych trupów, które tam wzdłuż drogi do Konstantynowa w liczbie 30,000 leżały; inni twierdzili, że powstała z głodu i nędzy pomiędzy ludem pospolitym, które od czasu buntów chłopskich, w czasie wyprawy beresteckiej, coraz bardziej się wzmagały.

Pomór posuwał się z wolna od wschodu na zachód. We Lwowie zjawił się w październiku, w Krakowie stanął dopiero w grudniu, a stamtąd rozszerzał się dorzeczem Wisły na północ.

Jesień była pogodna, ciepło służyło do Gód, a zima, która zwykle zarazę zmraza, była wilgotna i nie zdołała jej powstrzymać. Szerzyła się przez całą zimę bez przerwy, ale słabo i niewiele ludzi zabierała.

Ludność patrzyła na to zupełnie obojętnie. Po miastach

*) Piotr Umiastowski, doktor medycyny i filozofii za Zygmunta III, kształcił się w Krakowie, praktykował w Paryżu. Napisał dzieło: „Książ czworo o przyczynach morowego powietrza.“

nie robiono żadnych przygotowań, aby się pozbyć tego gościa, który, zazwyczaj po kilka lat w kraju bawiąc, przerzucał się z miejsca na miejsce, ale od czasu do czasu nader gwałtowny przybierał charakter.

Lekarzy biegłych nie było. Władze nie miały ani ochoty ani siły. Leczeniem trudniły się kobiety z wielkiem poświęceniem się, ale z małą wiedzą. Używano różnych środków domowych.

Przywątne starania mało co się przydały wobec ogólnej obojętności i wszelkiego braku powszechnego i wspólnego działania po miastach, gdzie, jak wspomniałem, nie robiono nic, aby zarazie przeszkodzić, gdyby się z wiosną zwiększyć miała.

Nie zważano na napomnienia starych i doświadczonych rajców; śmiano się z trwożliwych ludzi, którzy znakomite Umiastowskiego przepisy wprowadzić radzili.

Z początkiem wiosny r. 1654 pomór zupełnie ustawać zaczął. Zdawało się już, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy nagle w maju powietrze po wielu miejscach odrazu z całą gwałtownością wybuchło i zaraz w początkach tak się srożyć zaczęło, że w Krakowie w dzielnicy żydowskiej po 50 żydów dziennie, w samym mieście po 100 chrześcijan, a w okolicach po 250 ludzi tygodniowo umierało.

Na ciele zapowietrzonych występowały czerwone, małe plamki, zwane morówkami, połączone z gorączką wewnętrzną. Ciało było czasem czerwone, czasem sine i krostami narzucione, ale nie zawsze; owszem, niebezpieczeństwo było największe, jeśli się morówki na zewnątrz nie okazały. Zresztą poznawano zaraz po ciężkim bólu głowy, po gorączce, skłonności do wymiotów, po ciężkim oddychaniu, ponurem spojrzeniu, po braku snu, po ociężałości i zbyt niemi spaniu, po guzach pod pachą, dymienicach, wrzodach czarnych i ognistych—to wszystko razem, albo jedno z drugim, albo pojedynczo było znakiem choroby.

Bogaci zaczęli uciekać na wszystkie strony, a w kraju pojawił się niepokój tem większy, że niezwykajne zjawiska i niezwykle bieg natury zdawały się gorsze nieszczęścia zapowiadać i napełniały przerażeniem zabobonne umysły.

Dnia 24 marca było wielkie zaćmienie księżycy, we dwa tygodnie potem widziano zaćmienie słońca. Wiosna i początek lata nie różniły się niczem od zimy. W lipcu mgły, wiatry srogie, wichry z deszczem, pluta i zinnem, przymrozki aż do św. Stanisława, a najbardziej gęsta, plugawa i zapowietrzona mgła, która z początkiem lata spadła na ziemię i całymi tygodniami po trzy godziny dziennie z rana leżała.

Od św. Stanisława począwszy, lał ciągle zimny deszcz, a potem panowały grady i grzmoty; rzeki zaczęły wylewać, woda na Wiśle równo z brzegami stała; ludzie po wsiach dla deszczów ciągłych siał i orać nie mogli.

„W całej Polsce pokazały się oznaki ogólnego moru: choroby szkodliwe z petocjami, z ospą, z odrą, dymienicami, gruzłami i karbunkułami; szkodliwe odejście od rozumu; mnogość myszy, żab, much, gadzin, które się z zatechłości rodzą; zwierzęta uciekały z jam, ryby gęsto pływały w stawach i rzekach.“

Prócz morowego powietrza panował głód, febry, gorączki, kwartanki, puchliny wątroby, zapalenia śledziony, upływ krwi z ust i nosa, ból głowy i żołądka, a wszystko z nagłą i gwałtowną śmiercią.

Powietrze coraz bardziej się srożyło. Już handel i poczty zupełnie ustały, wozy z rozsadzonymi końmi, pełne podróżnych z zakrytą twarzą, przebiegały przez zapowietrzane miasta. Gospody zamknięte, gromady ludu z opuszczonymi rękami błąkały się po ulicach, nie myśląc o niczem, jak o śmierci. Zniżonym głosem donosili sobie o nowych ofiarach, jak gdyby głośnie słowem bali się wywołać zarazę i zwrócić jej uwagę na siebie. Z każdej ulicy wychodził kondukt, cmentarze obłożone trumnami, cały kraj wyglądał jak na pogrzebie. „Mówiono o zatrutych studniach przez żydów i rusinów. Ludzie starwali przed domami szlacheckimi po 100 chłopą, czekając, czy im co nie wyniosą; chodzili po wsiach jak mary, a gdy głód dokuczał, kamienie jeść próbowali.“

Wzmagająca się ciągle gwałtowność zarazy przyprowadzała ludzi do rozpacz i przemieniała bezwładne odrętwienie w szaleństwo, którego objawy były tem groźniejsze, że odejście od rozumu było poniekąd symptomem tej choroby.

Dnia 9 lipca spalono kilka czarownic w Mogile pod Krakowem, które, jak mówi współczesny, „siłę innych powoływały, co się z nimi czarami trudniły“. Był to niezwykajny wypadek w Polsce i nie można go stawiać na równi z podobnymi egzekucjami w sąsiednich Niemczech, gdzie były przez cały wiek XVII na porządku dziennym. „W Nisie, na Śląsku kilkadziesiąt czarownic w tymże czasie spalono, znacznych osób, a piece nie robili jak na wapno“. Scherr (*Deutsche Kultur und Sittengeschichte*, str. 380) donosi, że w temże hrabstwie od roku 1640 do 1651 około 1000 czarownic zginęło.

Dziwne wizje, sny, zjawiska zaczęły grasować po kraju. Widziano morową dziewicę w rozmaitych postaciach, płyną-

cą przez uroczyiska, bagna i cmentarze wiejskie; widziano pochód śmierci zwany *homen*, otoczony dachami zmarłych na zarzę ludzi i zwierząt, które się zewsząd doń zbiegały i wzięwszy na siebie postać pierwszego lepszego przedmiotu: padłego zwierzęcia, trupa ludzkiego, suchej gałęzi i t. p., odprawiały tańce dokoła szkieletu śmierci, okrytej czarną płachtą i jadącej na wozie, zaprzężonym dwoma wołami, własności pierwszego zmarłego kmiecia...

W Korczynie, t. j. Nowem Mieście zaszła plaga sroga na ludzi, że połowę miasta pokusy opętały. Mówiono, że to czary ruskie; inni mówili, że to z dopustu Bożego. Dziwy broili, wrzeszcząc srodze, aż ich Bernardyni zaklęli, aby tak nie wołali, i koło tych ludzi pracowali, uwalniając ich od czarów i pokus...

Większa część ludności rzuciła się do kościołów. Krzyże i figury po drogach stały oświecone dniem i nocą; ludzie modlili się gorąco, śpiewali i płakali. Widziano żydów modlących się w kościołach katolickich. Lud rzucił się przed ołtarze Chrystusa, stamtąd do świętych patronów, a w końcu do Matki Boskiej. Pozostała z owego czasu modlitwa świadczy o dziecinnych pojęciach i gorącej wierze, ale zarazem o rozpacy ludności.

„Miłościwa Panno, Przenajświętsza Marjo, Matko miłosierdzia, Królowo nieba i ziemi, módl się za grzesznymi. Wieleśmy winni Bogu i Synowi Twemu za grzechy nasze. Uproś przecie cokolwiek, a Ty sama nas karz miłościwie, jeśli wola Twoja, bo Syna Twego ciężka i nieznośna reka!...”

Ale zaraza coraz bardziej się wzmagała i coraz gwałtowniej się srożyła. Zdawało się, że już gorzej być nie może — tymczasem to był dopiero początek wielkiego nieszczęścia.

Wilgotny i gorący zaduch sierpniowy rozniecił nadzwyczajną zjadliwość powietrza. Każde dotknięcie, każde zbliżenie się do zapowietrzonego było śmiertelne; jabłkiem, jak pisze Albrecht Radziwiłł, można się było zarazić. Umierał lekarz, ksiądz, grabarz, dzwonnik; nie było komu pielęgnować żywych a umarłych chować. Mianowicie w ziemi chełmskiej, w województwie sandomierskiem i krakowskiem groziło niebezpieczeństwo ogólnego pomoru. Wszystko co żyło osłabło i nosiło w sobie zarody zarazy.

Ludzie padali jak muchy, stojąc lub idąc na drodze — sam wiatr zdawał się przewracać i zabijać. Nieczysta i brzydka mgła leżała bez ustanku na ziemi, a od 15 sierpnia stała się w Krakowie tak gęstą, że jeden drugiego nie widział.

Zdawało się, że dłoń śmiertelnej zarazy przykryła to miasto na znak swojej własności. Trudno było w tej mgłę i tem powietrzem oddychać.

Porzucono teraz modlitwy i kościoły; ludzie zaczęli uciekać w lasy, chowali się po norach zwierząt, tulili się po puszczech, bojąc się spotkać jeden drugiego. Po miastach, miasteczkach i wsiach stały puste domy otworem, trupy leżały jak snopy, a kiedy człowiek szukał mieszkań zwierząt, one do miast i wsi na żer ciała ludzkiego przychodziły.

Pozostała na miejskim bruku ludność nie różniła się niczem od zwierząt. Wszystkie węzły rodzinne i stosunki stargane, groza religji znikła, natura ludzka zdziczała. Bandy obojej płci, oswojone ze śmiercią, rozpoczęły szalone orgje po kościołach, które im się najzdrowszem miejscem zdawały. Rozbestwienie i wściekłość ludzka przeszła granice zwierzęcej natury.

Krzyżacy — tak nazywano grabarzy z powodu białych krzyżów na czarnych płóciennych kamizelkach — dobywali mózg z głowy zapowietrzonych, i nim podwórza i drzwi majątniejszych ludzi smarowali. Był to żart, którego skutków zazwyczaj oni naprzód doświadczali, a który im żadnej, prócz łupów z trumien, nie przynosił korzyści. Nie będziemy przytaczać więcej przykładów potwornej dzikości, wiadomo dobrze, do czego człowiek jest zdolny.

Tymczasem głodny lud, wążając się po lasach i puszczech, zaczął palić i rabować. Zbrojne bandy hultajów włóczęąc się po kraju, po kilku, po kilkunastu zbrojno i na koniach, napadały i rabowały dwory szlacheckie. Żołnierze z po za Dniepru opuścili samowolnie obóz i pod imieniem rozbitków z pod Batoha łączyli się z hultajami, wybierali stacje od chłopów i szlachty, nie dbając na uniwersały królewskie, które na nich 12 lipca 1642 wydano. Czyścili powietrze — jak mówili — paląc dwory, wsie i miasteczka.

Lublin, Kalisz, Częstochowa, Ujście, Kęty, zupełnie zgorzały, w Krakowie kilkakrotnie pożary się pojawiły. Mnóstwo dworów i wsi spalono i zrabowano, mianowicie w województwie krakowskiem, sandomierskiem, poznańskiem, kaliskiem, sieradzkim, łęczyckiem, ruskiem, płockiem, mazowieckiem i w Prusiech, w ziemi dobrzyńskiej. Rabowano w województwie brzesko-kujawskiem, inowrocławskiem i lubelskiem, jak tego deklaracje województw na sejmie 1653 dowodzą. Ciągłe deszcze, powodzie i odłogiem leżące nieuprawione pola, dopełniły klęski, której szkód nikt obliczyć nie jest w stanie.

Około 28 października ustąpiło wreszcie powietrze z Krakowa, a w grudniu w całej niemal Polsce ustało. Ze Śląska,

Węgier, z pod Karpat i ze zdrowych miejsc, gdzie powietrze nie grasowało, a ludność przystępu żydom i ubogim broniła, zaczęli się zjeżdżać do domu szlachta, księża i mieszczaństwo, zaczęto rachować stracony dobytek i pomarłych ludzi.

Ilu ludzi w całej Polsce umarło, niepodobna nawet w przybliżeniu obliczyć. Podobno w samym Krakowie i okolicy zginęło 140 tysięcy ludzi. Że straty były nadzwyczajne, widać ze słów kanclerza Radziwiłła: „powietrze w Polsce wszędzie grasowało, tak że w niektórych miasteczkach ledwie sto ludzi żywych zostało.“

Zaraza trwała w niektórych miejscach aż do 1655 r. W r. 1653 grasowała w Toruniu i Gdańsku, gdzie 11,600 ludzi umarło. W Sieradzu w r. 1654 umarło 2000 mieszkańców, w Poznaniu jeszcze się w r. 1655 pokazała.

Kubala, z którego „Szkieców“ szczegóły powyższe zacytujemy, upewnia:

— „Porównując działanie Rzpłtej w roku przed zarazą z latami po zarazie, niepodobna nie dostrzedz, że stan umysłowy kraju osłabł. Było niemało przyczyn, które na to wpłynęły — ja główną przypisuję zarazie.“

Objawy choroby. Źródła zarazy.

Z pośród rozmaitych rodzajów powietrza morowego, których starożytni nie rozróżniali, medycyna współczesna wyodrębniła dżumę prawdziwą. Charakterystyczną jej cechą jest bubon, (dymienice) t. j. zapalenie ropne gruczołów limfatycznych występujące wraz z innym objawem choroby. Bubon tworzy się zazwyczaj w pachwinie lub pod pachami, czasem też gruczoły szyi nabrzmiewają nagle i formują się bubon.

Dżuma dostaje się do organizmu przez ranę, przez ukłucie lub zadraśnięcie, przez ukąszenie owadu lub innego jakiego stworzenia.

Czasami obrzmienie gruczołów nie ma charakteru wrzodu, lecz objawia się jak antraks: skóra czernieje, jest to bubon węglowy, czyli, jak go nazywali starożytni, węgiel (karbunkul).

W dwa dni po zarażeniu się występuje bubon i przychodzi gwałtowna gorączka. Chory rzuca się, krzyczy, ale niebawem następuje upadek sił.

Zwyczajnie choroba trwa pół pięta dnia, poczem człowiek albo umiera, albo wraca do zdrowia. Występowanie lub brak bubonu pozwala nam dziś orzec, która z epidemij, zapisanych przez historję, była dżumą właściwą. Nie była nią ani zaraza

w Atenach, opisana przez Tucydysesa, ani też epidemia we Frygji, opisana przez Wergiljusza. Pierwsza istotna dżuma grasowała w VI wieku za cesarza Justyniana.

Przez czas długi mniemano, że pierwotnem ogniskiem

*Rzeka Mei-Kong (Indochiny) unosi snopy ofiar zmarłych z dżumy.
Wzrost wszelkim czynnikom higieny, mitskanki promieni Liass praktykowali Indocy, zarzuty
fatalny zrywańi omijania trupów nie wroży, brzęk i t. d. i trawanie w n-ymy rzeki. Indyj, gniły/sy
stawały się straszem trudem morowego powietrza.*

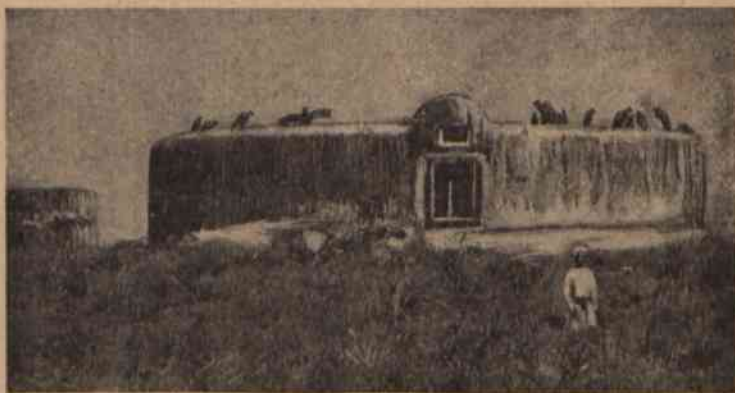


dżumy był Egipt, mianowicie ujście Nilu. I w samej rzeczy wilgotny, niezdrówy grunt dolnego Egiptu przez wieki parował zarazkami morowego powietrza. A brzegami morza śródziemnego szerzyła się zaraza na zachód.

Ztąd przyszła epidemia, która zdziesiątkowała wojska

krzyżowców i sprowadziła śmierć św. Ludwika w r. 1270. Dżuma marsylska została zawleczona do tego miasta w r. 1720 przez okręt kupiecki „Grand Saint Antoine”. To zakażenie ziemi egipskiej skończyło się wreszcie w r. 1844, po piętnastowiekowem, a może i dłuższem trwaniu.

Na nieszczęście, źródła dżumy istniały nie tylko w Egipcie. Najdawniejsze bodaj ze wszystkich znajduje się w Indjach u stóp Himalajów, w Garhwal; drugie—w części kotliny Eufratu; trzecie — w pobliżu jeziora Bajkalskiego. Wreszcie jedno z ognisk istnieje w Afryce w Ugandzie, na drodze przyszłej kolei afrykańskiej. Lecz najstraszniejszym siedliskiem dżumy jest ognisko chińskie, w Yunnan. Tam, od 1870 r. dżuma pojawia się stale w porze deszczów i znika z nastaniem upałów.

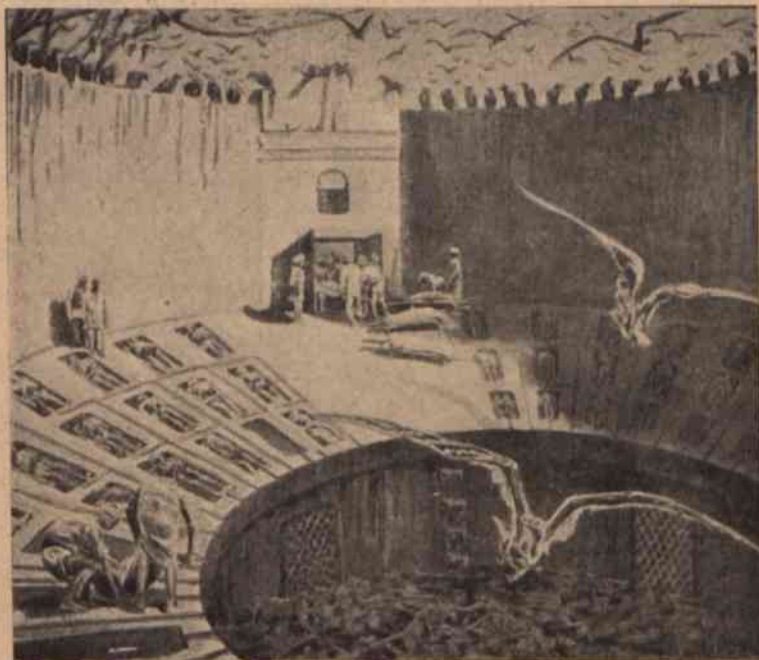


Zewnętrzny widok wieży milczenia.

Ztąd to w r. 1894 wyszła plaga, która trapi świat już od lat kilku. Srożyła się w Indjach, w Bombaju. Okręt, naładowany konopiami indyjskimi, „City of Cork” zawlókł ją, jak się zdaje, w czerwcu r. z. do Oporto; co więcej, woził ją po rozmaitych punktach świata, był z nią nawet w Londynie, ale tu się nie przyjęła.

Ognisko chińskie zasłynęło już najstraszniejszą z epidemji, o jakich wspomina historia. Mówimy o „Czarnej Śmierci”, która spustoszyła świat w XIV wieku. Porwała 50000 ofiar w Paryżu, 60000 we Florencji i Londynie. Wedle obliczeń, zarządzonych przez papieża Klemensa VI, Europa utraciła 25 milionów mieszkańców z ogólnej liczby stu pięciu milionów.

Taki straszny mór już się nie powtórzy. Dżuma w Hong-Kong kładła po 30 ofiar tygodniowo; dżuma w Oporto zmiałała po jednej lub dwie ofiary dziennie.



Wnętrze wieży milczenia, cmentarza sekty indyjskiej Parsów, niedaleko Bombaju.

Słynne te wieże bardzo są liczne w Indjach. Siedem ich wznosi się na przedmieściach Bombaju, najwyższa z nich ma 12 metr. wysokości i 50 metr. średnicy. Tam Parsowie składają w otwory trupy, oddając je wedle przepisów swej religji, na pożarcie sępom. W głębi, w dole widać kości ludzkie. Łatwo zrozumieć, jaką rolę odgrywają te wieże w czasach zarazy.

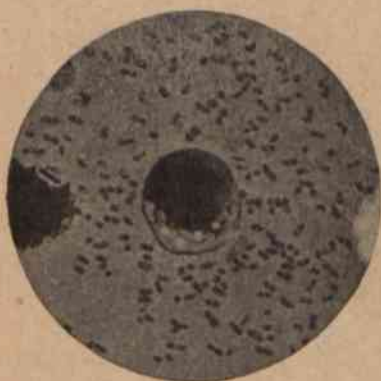
Jak się szerzy morowe powietrze.

Porównywano dżumę do wędrowca, podróżującego pieszo. To ma znaczyć, że się posuwa wolno, krok za krokiem. Zdobywa piędz po piędzi, bez przeskoków, bez omiąć. Desgenettes, słynny lekarz armji egipskiej, powiedział, że rów wystarczy, aby ją zatrzymać. Zarazek jej nie jest lotnym, subtelnym pyłkiem, który wiatr może przerzucić na bardzo daleką przestrzeń. To istota żywa, mikrob, nieruchomy kokobakcył, istniejący w stanie ziarnek pojedynczych lub złączonych łańcuszkowato. Uczony, wysłany przez instytut Pa-

steura dla studjowania epidemji w Hong-Kong, p. Yersin, odkrył ją w r. 1894 w charakterystycznych bubonach. Może się on także znajdować w wydzielinach, we krwi, a tem samem w całym organizmie zakażonego.

Nie wszystkie zwierzęta podlegają dżumie. Nieprawdą jest, że każde stworzenie bywa nią dotknięte, jak pisał La Fontaine. I tak naprzykład kury zaraza się nie chwytą, królik i świnka morska są wobec niej odporne. Większość pozostałych zwierząt podlega morowi: owca, świnia, koza, koń, a między ptakami gołąb. Małpy są dla zarazy tak przystępne jak człowiek. Pośród gryzoniów myszy i szczury jeszcze łatwiej stają się pastwą dżumy.

Ten fakt osobliwej wrażliwości myszy i szczurów jest bardzo doniosły. Na jeden lub dwa dni przed wybuchnięciem moru w danem mieście zwraca uwagę i budzi niepokój następujący, znamienny fakt. W domach, na ulicach, na



Materje z dymienicy z zadżumionego
Chińczyka.



Mikroby dżumy.

placach, wszędzie widać trupy szczurów. Dr. Rennie, lekarz chińskich komór celnych, stwierdza, że podczas zarazy w Kantonie, w r. 1894, jeden tylko strażnik rogatki zachodniej zebrał 22,000 padłych szczurów, które zostały pogrzebane za miastem. To padanie zwierząt zapowiada, iż powietrze morowe u pogru.

W Indjach oraz w Chinach krajowcy wiedzą już, co to znaczy i uciekają natychmiast, opuszczając domy i pola.

W piwnicach miast szerzy się zatem wśród szczurów czuma podziemna, poprzedzająca dżumę wśród ludzi, uprawiająca pod nią jakby grunt przez rozwłóczenie wraz z trupami gryzoniów zarazka choroby.

Można śledzić rozwój epidemji na powierzchni ziemi, badając wędrówki szczurów pod ziemią. Dzielnice, niedostępne dla szczurów, nie podlegają zarazie. Szczur przenosi się tylko po gruncie stałym. Nie może dostać się na wyspę, na ponton. Pierścień wodny stanowi zatem najpewniejszą ochronę. W Londynie w r. 1665, ludność, która się schroniła w łodziach na Tamizie, przez czas długi pozostawała wolną od zarazy.

Przeciwnie zaś, okręt, do którego szczury zdołały przeniknąć wraz z ładunkiem, lub też dostały się po przymocowujących go linach, staje się pastwą i rozsadnikiem dżumy.



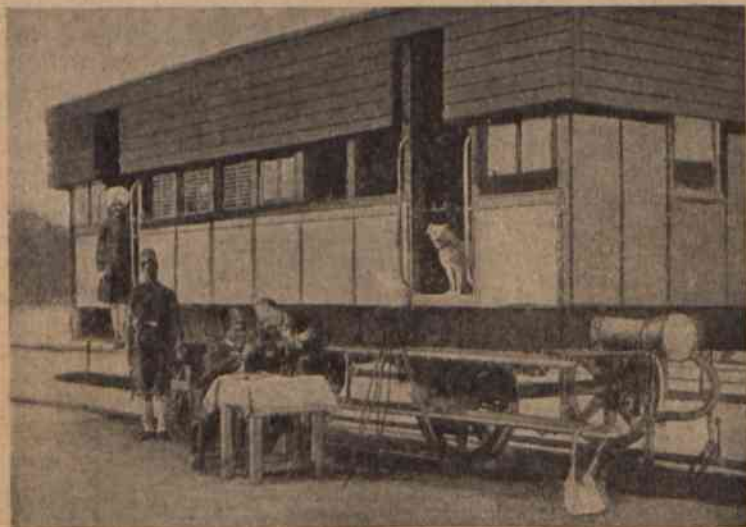
Zaimprovizowana pracownia w okolicach Bombaju.

Gdy się tylko zaraza ukáže, lekarze muszą przedewszystkiem określić rodzaj choroby, rozpoznać wroga, z którym zmuszeni będą walczyć. To też jak najprędzej na samem miejscu walki buduje się czasowo laboratorjum, w którem lekarze badają pod mikroskopem krew, wydzielicy i materję chorego.

Oprócz ładunku wiezie zarazę. W ten to zapewne sposób przenosiła się większość epidemij, które w czasach ubiegłych nękały Europę. Tu też tkwi niebezpieczeństwo na przyszłość.

Aby się wcisnąć do zdrowego organizmu, choroba znaleźć musi drzwi, przez które bakcylny dżumowy zdołałby przeniknąć do wnętrza. Proste zetknięcie nie wystarcza.

Lecz niech zajdzie najłżejsze bodaj zadrzaśnięcie, postać, rzeczy się zmienia. Bakcyclus przenika do naczyń limfatycznych, zatrzymuje się w pierwszych gruczołach, tam się mnoży rozkolonizowuje. Wszczyina się walka pomiędzy napastnikami i białymi kulkami krwi, które, wedle określenia p. Duclaux, pełnią w organizmie rolę policji ochronnej. Występuje bubon, a trucizny, wytworzone przez zwycięzki bakcyclus, niszczą pierwiastki życia. Jaką drogą dostaje się bakcyclus do organizmu człowieka? Wszczepiają go: pchły, pluskwy, muchy i t. d.



Wagon-laboratorjum w Indjach podczas zarazy 1896 roku.

Skoro tylko przyjdzie wiadomość o podejrzanych wypadkach choroby, lekarze udają się natychmiast na miejsce zarazy. Major, Felowes i doktor Mulina dokonywali badań podczas samej drogi.

To tłumaczy upodobanie zarazy do ludności ubogiej. Mieszkania jej są bardziej nawiedzane przez owych krzewicieli zarazy; wówczas gdy domy europejskie, dobrze utrzymane, są przeważnie wolne od plagi pasorzytów.

Zdrowy szczur zwykle bardzo dba o swą toaletę, gorliwie pracuje, aby się pozbyć pasorzytów. Skoro zaś zachwiał się, przestaje dbać o czystość; opada go wtedy niezliczone mnostwo pcheł, wysysa zeń krew i bakcyclusy zarazy. Gdy szczur padnie, pasorzyty porzucają ostygniętego trupa i szukają schronienia na pierwszej lepszej istocie żyjącej, która mu

się nawinie, i roznoszą chorobę. Człowiek, któryby dotknął ciepłego jeszcze trupa zadżumionego szczura, dostanie dżumy niewątpliwie. Przeciwnie zaś, jeśli szczur już zdechł oddawna i ostygł, a tem samem pasorzyty go opuściły, można go dotykać bezkarnie.

Drugą drogą szerzenia się zarazy jest pył powietrzny, z którym bakcyllus dostaje się do narządów oddechowych. Wypadek ten sprowadza najgroźniejszą formę choroby — dżumę pneumoniczną, czyli płucną.

Wtedy nie występuje bubon zwyczajny: dotknięte gruczoły płuc leżą zbyt głęboko, aby je można dostrzedz; z drugiej zaś strony obrażenie płuc nadaje chorobie nową postać. Zdawałoby się, że to inna dżuma, nie ta, którą się znało; przebieg jej szybszy jeszcze i kończy się zawsze śmiercią.

Gdyby zarodki zarazy, wysuszone i pomieszane z pyłem powietrza, mogły wiecznie zachować swą moc zabójczą, ludzkości by nie było. Pierwsza epidemja wytępiłaby rodzaj człowieczy i zwierzęta. Ratuje nas słabość bakcyllusa dżumowego. Straszny ów mikrob nie jest w stanie znieść warunków fizycznych atmosfery. Promienie słońca są dlań szczególnie zabójcze — rozkładają go w niespełną godzinę. Nawet wewnątrz organizmu zarażonego ginie bakcyllus dżumy w ciągu kilku dni; obnażony, znika jeszcze prędzej.

Trzecią formą dżumy jest dżuma krwawa (hemorrhagiczna lub septicemiczna). Zdarza się wtedy, jeśli mikrob przenika bezpośrednio do krwi i wywołuje natychmiastowe jej zakażenie. Objawia się krwotokami, plamami naprzód czerwonymi, potem czarnymi. Dżuma krwawa tak samo jak płucna jest o wiele gorsza od zwyczajnej. Znaczna liczba jej wypadków nadała dżumie z r. 1750 groźny charakter i upamiętniła ją nazwą „Czarnej Śmierci“.

Z zamieszczonego wyżej opisu widzimy, że w Polsce w latach 1652 — 1654 grasowały wszystkie trzy rodzaje dżumy.

Obrona.

Z wiadomości o drogach szerzenia się dżumy wypływa z nich pożyteczna nauka. Przekonywamy się, jak ważną jest rzeczą czystość, co znaczy hygiena prywatna i publiczna. Czystość jest nietylko przyjemnością i elegancją, ale warunkiem zdrowia, a nawet istnienia.

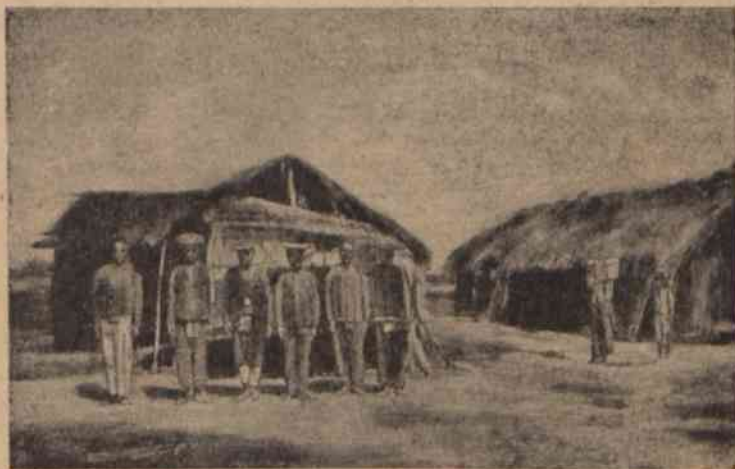
Pasorzyty na ciele i w mieszkaniu, to nietylko obrzydliwość, to także choroba.

Tępienie szczurów jest jednym z pierwszych środków

ostrożności, które przedsięwziąć należy. Trzeba ich tępić wszędzie. Wobec zaś tego, co mówi historia, należy bacznie zwrócić uwagę, aby się nie dostawały na statki zarówno na morzach jak na rzekach; jeśli się tam dostały, należy wygubić je wszelkimi sposobami.

Dla zorganizowania skutecznej obrony od dżumy, trzeba naprzód stłumić ognisko zarazy, a potem na ścieżkach, które się epidemja szerzyć może, wzniesć przeszkody ochronne.

Oto na czem one polegać winny, według dr. Calmesse'a: „skoro tylko zdarzy się wypadek w jakiej ludzkiej siedzibie, należy przenieść chorego do specjalnego szpitala i koniecznie go odosobnić“.



Morowe powietrze w Indo-Chinach.

Żołnierze i oddział sanitarny bronią zetknięcia się chorych ze światem zewnętrznym.

Ktokolwiek miał styczność z zadżumionym lub mieszkał w jednym z nim domu, winien być poddany szczepieniu ochronnemu. „Należy następnie spalić wszystkie przedmioty, które miały styczność z zadżumionym, a nawet jego mieszkanie, jeśli to jest możliwe. Jeśli zaś niemożliwe, w takim razie zdezynfekować, przewietrzyć i opuścić, przynajmniej na dni dwadzieścia, cały dom, w którym wypadek dżumy został stwierdzony“.

Do policji sanitarnej i służby międzynarodowej należy stawiać zapory na drogach, które posuwa się zaraza. Na

nieszczęście, władze te poprzestają na pół-środkach, zupełnie niedostatecznych.



Odosobnienie ludzi podejrzanych o chorobę w Indjach.

Ażeby wedle możliwości zmniejszyć niebezpieczeństwo zarażenia podczas epidemji, w Indjach usuwają ludzi podejrzanych pod względem zdrowia w okolice odległe od siedzib luźkiele i tam poddają ich opiece i badaniom lekarskim.



Pożar wioski zarażonej w Indo-Chinach.

W 1897 r. uciekano się często do tego gwałtownego środka. Palono całe wioski, ażeby splanęły szczury, myszy i wszelkie zwierzęta, mogące roznosić zarazę.

Pozostaje jeszcze jeden sposób walki z dżumą, polegający na użyciu środków naukowych, na szczepieniu i zobjętnianiu. Ludzkość zawdzięcza możność walki zwyciężkiej

z dżumą wielkiemu uczonemu francuskiemu Pasteurowi. On to odkrył istnienie mikrobow i wykazał zgubny ich wpływ na organizm człowieka. Dokonał przewrotu w nauce. Zrozumiano możliwość zwalczania plag, wobec których dotychczas byliśmy bezbronnymi. Skuteczna walka z dżumą jest jedną z najcenniejszych i najpiękniejszych zdobyczy; zawdzięczamy ją temu genialnemu odkryciu.

Znakomity rezultat leczenia krupu, osiągnięty przez Löfflera i Rouxa, natchnął uczonych z Instytutu Pasteura myślą przygotowania przeciw dżumie surowicy podobnej. Udało się to panom Raux, Calmette, Borel i Yersin. Zabezpie-



Dezynfekowanie domów zarażonych w Bombaju w r. 1897.

Przed domami palono ognie z drzewa i siarki, jednocześnie pompa parowa myła je, rzucając strumienie wody.

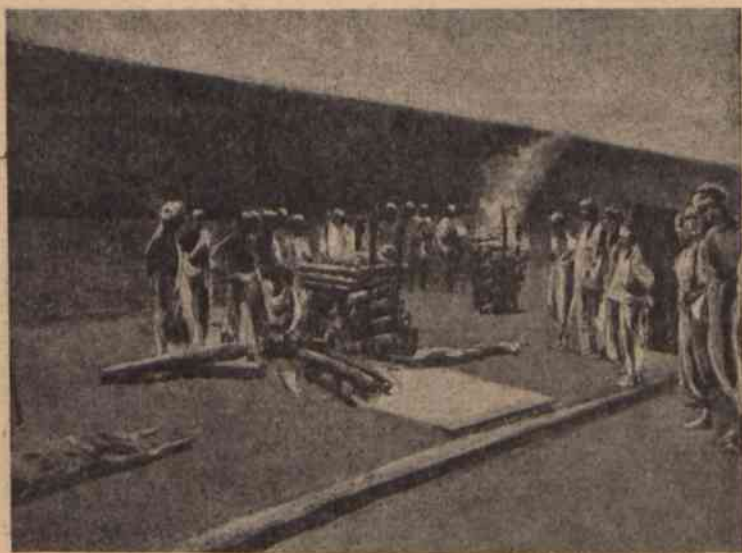
czyli od dżumy konie, których surowica może być następnie użyta dla ludzi. Operacje, mające na celu uchronienie konia od zarazy, są długie i trudne—trwają najmniej półtora roku.

W stajniach w Garches, filji Instytutu Pasteura, stoi cała kawalerja, zabezpieczona tą drogą w przewidywaniu, że dżuma może wtargnąć do Francji.

Surowica zabezpiecza od dżumy, a także leczy już nabytą chorobę. Wstrzyknięcie 20—40 sześciennych centymetrów tego płynu pod skórę jest szczepieniem ochronnem.

Nie może być, naturalnie, mowy o szczepieniu wszystkim ludziom surowicy dżumy, tak jak się szczepi ospę, ale każdy, kto przebywa w siedlisku zarazy, kto mieszka w domu zadżumionym, powinien uciekać się do tego środka. Jedyną słabą stroną tego przeciwdżumnego środka jest krótkotrwałość. Szczepienie na razie zabezpiecza, ale po dniach 20—21 traci siłę i trzeba szczepienie ponawiać.

Dobroczynny płyn nie tylko zabezpiecza od choroby, ale ją leczy. Już Yersin, podczas epidemji w Hong-Kong w r. 1896, epidemji, na którą ginęło 9 chorych na 10, ratował po 24 chorych na 26. Pp. Calmette i Salimbeni, osią-



Palenie ciał ludzi zmarłych na dżumę pod Bombajem.

Palono na stosach z drzewa ułożonego pomiędzy żelaznymi sztabami. Popiół rzucano do morza.

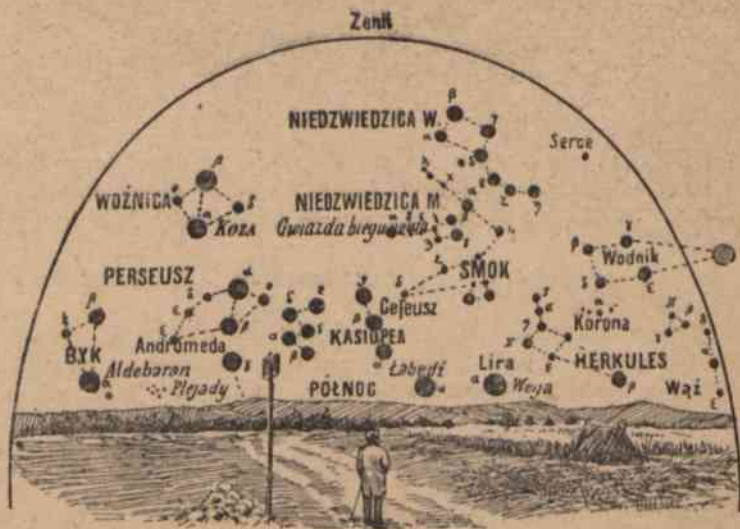
gnęli taki sam zbawienny skutek w Oporto. Przed użyciem surowicy śmiertelność w szpitalach pomiędzy chorymi, dotkniętymi dżumą, wynosiła 33 procent. Po użyciu surowicy, spadła do 13 procent. Jeśli się weźmie pod uwagę, że w wielkich epidemjach współczesnych, które srożyły się w Indjach, na Madagaskarze i w Egipcie, liczba zmarłych dochodziła niekiedy do 95 procent osób, dotkniętych zarazą, to owe rezultaty powinny dodać otuchy. Na 104 chorych, leczonych w szpitalu w Oporto, 90 było uzdrowionych za-

strzykiwaniami surowicy, zaś z małej liczby ofiar większość była leczona za późno, gdy choroba zanadto się już rozwinęła.

* * *

—Dzięki tym cudownym odkryciom, będzie można zorganizować walkę przeciw straszному gościowi. Dotychczas system odosobniania i dezynfekcji nie przynosił pełnych rezultatów, albowiem środki te stosowane były za późno; odtąd staną się one skutecznymi, gdyż rychłe rozpoznanie choroby pozwoli wczas je stosować. A jeśli ta zaraza się zagnieżdzi, to znajdzie się w warunkach, podobnych do innych chorób endemicznych, jak tyfus i ospa. Będziemy ją zwalczać, tak jak ostatnią, przy pomocy surowicy Yersina lub szczepionki Hoffkina. Gwałtowność dżumy zostanie wówczas stępiona. Będzie to dżuma złagodzona, zwyrodniała, oswojona po niekąd i przeznaczona na zagładę, dzięki zaciętej i niebezpiecznej walce dzielnych przedstawicieli ludności. Jest to jeden z wielkich tryumfów nauki. Nie nadciągnie już na kraje cywilizowane zhora, która tyle razy, przez lat tyle zatrąfa życie narodów, wysysała z nich siły, hamowała postęp.

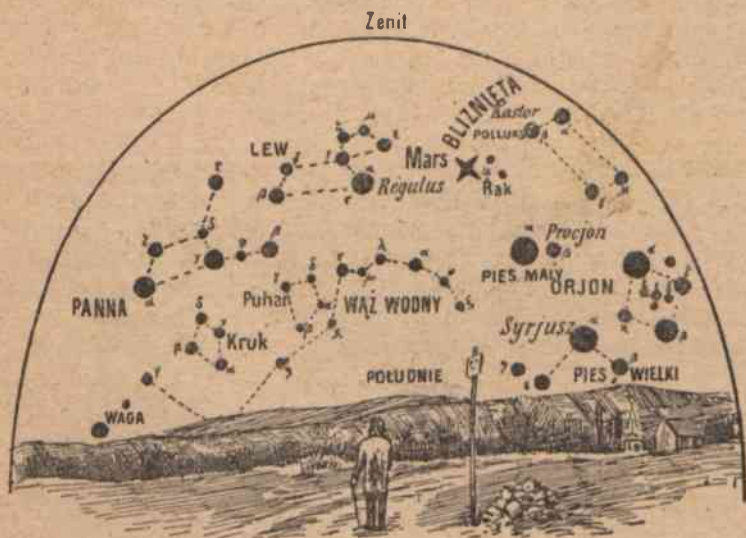
Karta nieba na miesiąc Kwiecień.



Widok nieba od strony północnej.

W miesiącu kwietniu w zenicie naszym nie widzimy żadnej z gwiazd świetniejszych. W kierunku ku horyzontowi spostrzega-

my konstelacje *Niedźwiedzicy małej*, w której godną uwagi jest *Gwiazda Biegunowa*, *Cefeusza*, *Kassiopeę*, w której gwiazdy tworzą kształt greckiej litery sigmy i, prawie tuż nad horyzontem, jedną z najpiękniejszych gwiazd, *Łabędzia*. Zwracając wzrok na lewo, napotykamy gwiazdozbiory *Ważnicy*, *Perseusza*, *Andromedy*, *Byka* z *Aldebaranem*, i *Plejady*. Na prawo widzimy *Niedźwiedzicę wielką*, *Smoka* i *Lirę* z piękną gwiazdą *Wega*, *Wodnika*, *Korone*, dalej *Her-*



Widok nieba od strony południowej.

kulesa i *Węża*. Zwróciwszy się na *południe*, spostrzegamy blisko *Zenitu* gwiazdozbiór *Lwa* z gwiazdą pierwszorzędną *Regulusem*, niżej *Węża Wodnego* i *Puchar*. Na prawo znajdujemy *Bliznięta*, *Psa wielkiego*, *Psa małego* i *Orjona*.

Na lewo spotykamy *Pannę* i nad samym horyzontem konstelacje *Kruka* i *Wagi*.

Z planet *Merkury*, zbyt jeszcze zbliżony do słońca, widzialny jest od 10-go. Wspaniała *Wenus* świeci w początkach nocy, po północy widzimy *Jowisza* i wreszcie *Saturna*. *Mars* jest jeszcze *niewidzialny*.

— **Niebezpieczna mucha.** Na hodowców bydła w Afryce południowej największym wrogiem jest mały owad, zwany przez krajowców muchą ce-ce. Mucha ta, nie tylko, że żywi się krwią swych ofiar, lecz i skazuje je na pewną zgubę, a człowiek dumny ze swych zdobyczy na polu naukowem i przemysłowem, czuje się bezsilnym

wobec marnego owadu Zbliżając się do kraju Matabelów, leżącego na północ od Transwaalu, podróżny musi zsiadać z konia i wyprześć woły, jeżeli nie chce stracić tych pożytecznych i cennych zwierząt. Ukąszenie muchy ce-ce u człowieka sprawia tylko miejscowe podrażnienie skóry, u zwierząt sprowadza jednak niechybną śmierć. A cóż wart osadnik, pozbawiony tych pożytecznych pomocników! Tym sposobem cywilizacja opóźnia swój tryumfalny pochód i omija miejscowości, zamieszkane przez muchę ce-ce. Miejscowości takie są dotąd prawie niezbadane, i odwiedzają je jedynie słonie, szukające schronienia przed ścigającymi je myśliwymi. Gruboskóre nie obawiają się ukąszenia muchy, gdy tymczasem konni myśliwi wracają nazad, nie chcąc tracić niezbędnych dla nich koni.

Głowa muchy ce-ce, nie przedstawia powierzchownie żadnej osobliwości, przy bliższym jednak badaniu okazuje się, że głowa ta zaopatrzona jest w przyrządy, potrzebne do nacinania i przekłuwania skóry, do ssania i do zastrzykiwania. Mucha lata bardzo szybko, lecz cicho i tylko przy rozpoczęciu krwawej biesiady bzyka z zadowo-



lenia. Na upatrzoną zdobycz rzuca się ce-ce tak szybko, że okiem dostrzedz jej prawie niemożna. Następnie mały potwór postępuje, jak doświadczony chirurg, gdyż po przekłuciu skóry, zastrzykuje w ranę płyn znieczulający i odfruva nasycona, a wtedy dopiero lekkie swędzenie w ranie ostrzega ofiarę o niebezpieczeństwie, lecz już zapóźno. Biedne zwierzę pada, a głównymi symptomatami choroby są: gorączka, osłabienie, zmętnienie rogówki, piana w pysku, obfite wydzieliny z nozdrza i biegunka. Wnętrznosci padłego zwierzęcia stają się tak kruche, że np. serce lub wątroba

rozpadają się na kawałki za lekkim dotknięciem. Ukąszenie muchy ce-ce jest zabójcze nie tylko dla koni i wołów, lecz i dla kotów, psów, mułów, żebr, owiec, osłów i królików.

Mucha nie jest właściwie jadowitą sama przez się, lecz roznosi zarazę, ozerpaną z krwi padłych zwierząt i szczepi ją zdrowym. Tak samo pchły przenoszą zarazki dżumy, a nasze muchy rozszerzają gorączki tyfoidalne. Lecz w tych wypadkach zaraza przenosi się za pomocą wody, wiatru i t. d., gdy zabójcze zarazki szczepione przez muchę ce-ce, są przenoszone wyłącznie przez nią. Nie są to właściwe mikroby, lecz pokrewne im żyjątka mikroskopijne, stojące na najniższym szczeblu drabiny zoologicznej i należące do pierwotnych organizacji (Protozoa). Żyjątka te mnożą się z przerażającą szybkością, tak, że wszystkie wnętrzości zarażonego zwierzęcia przepelniają się żółtawym płynem, w naczyniach zaś okazuje się bardzo mała ilość krwi. Choroba, powstała wskutek obecności tych żyjątek, ginących w temperaturze 50°, nazywa się „nagana“. Bakocyle „nagany“ nie wydzielają odrębnego jadu, nie ma więc sposobu przygotowania surowicy do szczepienia ochronnego.

Życie pszczół w zimie. Życie tych ciekawych i pożytecznych owadów w lecie jest daleko więcej znane, aniżeli w porze zimowej. W ostatnich czasach nastąpił w pszczelnictwie prawdziwy przewrót. Zjawily się ule sztuczne udoskonalonej konstrukcji, wskutek czego stało się rzeczą możebną obserwować sen zimowy, w jaki zapadają pszczoły w październiku lub listopadzie. Pszczoły dzikie zamieszkują zwykle w dziuplach drzew lub w tym podobnych schronieniach, gdzie zbijają się w jedną gromadę i wzajemnie ogrzewają się własnym ciepłem. Podczas silnych mrozów wiele jednak rojów ginie od zimna. Ule sztuczne nie powinny być zostawiane na otwartem powietrzu, lecz przenoszone na zimę do specjalnych piwnic. Ponieważ zaś pszczoły w sztucznych schroniskach łatwo podlegają różnym chorobom, jakich nieznają na otwartem powietrzu, piwnice takie powinny być odpowiednio urządzone. Najszkodliwszą dla pszczół jest wilgoć i zepsute powietrze.

Temperatura powinna być jednostajną i ookolwiek niższą, niż 0°.

Ule układa się w piwnicy rzędami od ziemi do sufitu, tak jednak, aby powietrze miało wolny dostęp.

Pszczoły, pogrążone w śnie zimowym, po przeniesieniu w miejsce ciepłe, budzą się głodne i wymagają pożywienia, dla tego też temperatura w piwniczce nie powinna dochodzić 0°.

Z początkiem wiosny pszczoły budzą się, myśląc, że czas już wziąć się do roboty, wylecieć z ula na powietrze nie im nie zaszkodzi, owszem wpłynie to dobrze na stan zdrowotny roju. Gdy kwiatów nie znajdują jeszcze, pszczoły wracają do domu i wtedy

trzeba dostarczyć im pokarmu, choćby lichego gatunku okru. Czasami pszczoły opuszczają ul w zimie i wtedy wiele z nich płaci za omyłkę życiem, w pobliżu wielkich pasiek znaleźć wtedy można mnóstwo pszczoł już martwych lub zdychających. Te zaś, którym się uda wrócić do domu, znowu zbliżają się w masę, zasypiają i wiszą jak martwe. Z rzadka tylko poruszy się skrzydełko lub nóżka. Szczególniej ciepło jest tym pszczołom, które znajdują się w środku, dla tego też sen ich nie jest spokojny; natomiast pszczoły zewnętrzne można śmiało brać do ręki, nie narażając się wcale na ukąszenie.

Wiosną pszczelarz powinien przede wszystkim przekonać się, czy matka przezimowała szczęśliwie. W razie śmierci matki, przenosi się do osierconego ula część plastrów z ula, posiadającego matkę. Pszczoły wtedy ożywiają się i biorą się chętnie do pracy, aby wychować sobie nową matkę. W ulach udoskonalonych, opatrzonych w ramy ruchome, można to zrobić łatwo, i pszczoły straty swej nie spostrzegą. A nawet brak miodu pobudza pszczoły do gorliwej pracy w celu powetowania straty, spowodowanej chciwością człowieka. I ten także stara się skrócić czas, który używają pszczoły na budowanie nowych komórek, aby miały więcej czasu na zbieranie miodu z kwiatów.

Prawda i Błaga.

Na rozdrożu stał wędrowiec. Dwie postacie wabiły go — każda w swoją stronę.

Prawda patrzyła na wędrowca wzrokiem niebiańskim i mówiła słodko:

— Jeżeli pójdziesz moją drogą, pogoda duszy i spokój towarzyszyć ci będą.

Na różnanych usteczkach Błagi zakwitł uśmiech rozkoszny, a w mieniących się oczach błysnęły zdradliwe ogniki. Chwyliła wędrowca za rękę i z ust jej popłynął potok słodkich a dźwięcznych słów.

— Myśmy siostry — mówiła, patrząc z obłudnym uśmiechem na Prawdę — patrz, jak jesteście podobne! Nie namyślaj się! Drogi nasze tylko pozornie się rozchodzą i do każdego celu dojdiesz i ze mną. A przy mnie na żadną nie narazisz się przykreść — każdą przeszkodę obejdziesz gładko i swobodnie. A może obawiasz się, aby ludzie nie widzieli cię ze mną? Bądź spokojny, śmiało tylko

stąpaj przy mym boku, a każdy weźmie mnie za siostrę moją. Oprócz pragnienia wesołości i swobody, chcę tylko jednej jeszcze rzeczy: być jak najbardziej podobną do siostry. Gdyby nawet poznał mię kto, powita nas uprzejmie, bądź pewny, bo i on ze mną chodzi.

Prawda jest żoną, ja — kochanką; Prawdę kochają z musu, mnie z ochoty; Prawda — to teoria, ja jestem praktyka; Prawda — to ideał, ja jestem życie...

Każdy życzy Prawdy drugiemu, sam mnie wybiera. Ja panuję nad światem i w tem jednym świat nie zna zmiany mody.

Między mną a Prawdą jest wielka różnica, ale świat jest wynalazczy. Aby bożyszczem zostać mogła siostra moja, a regułą życiową—ja, trzymają się mojej córki Obłudy. Chwaląc Prawdę, a żyjąc Błagą, ludzie wychowują młode pokolenie pod hasłem miłej córki mojej. Młodzi prędko poznają różnicę zasady a czynów i po mojej drodze szybkie czynią postępy.

Wierz mi, że nie tyle baliby się ludzie wypuścić dzikiego zwierza z klatki, ile możliwości panowania Prawdy, pod której berłem każdy musiałby mówić tak, jak myśli.

I słusznie. Prawda dla świata nie jest warta. To władczyni surowa, zawsze bezwzględna i okrutna — gdy ja jestem giętka, jak gałązka wierzby, gładka jak lodu zwierciadło, miękka jak puch łąbodzi. Niech więc wielbią ją ci, co idą za mną, niech ją chwalać przez usta moje — ja zostanę zawsze dla świata koniecznością, oliwą, którą ludzie smarują koła maszyny społecznej. Gdyby mnie nie było, ludzkość musiałaby mnie wynaleźć. Jestem liściem figowym, którym człowiek osłania swą nagość przed światem.

Ja przedstawiam światu Cnotę, Pokorę, Miłość, Pobożność, Uczciwość, Niewinność, Wierność, i samą nawet Prawdę. Ja uszczęśliwiam świat ideałami i bóstwami. Taka moja potęga!

Szczęście jeszcze, że każdy lepiej myśli o innych, niż o sobie ze swym liściem figowym, inaczej poznałby, że to wszystko, co jest wielkie i piękne na świecie, to mój plód, moje dary...

— Wszystko to kłamstwo!—przeczyła Prawda.—Gdyby każdy sądził o ludziach po sobie, spadłaby okrywka obłudy z ludzi i wtedy przysłoby moje królestwo! Ludzkość jedną powszechną spowiedzią oczyściłaby się z grzechów i żalem szczerym zmyła ten fałszywy wstyd, którym okrywa występki. Wszystko to, co teraz udaje siostra moja, stałoby się rzeczywistością. Pod gładką, towarzyską powierzchownością jej, serca stygną od sobkostwa. Za mną, wędrowcze, jeżeli chcesz ogrzać się ogniem niebieskim...

I w którą udał się stronę wędrowiec z rozdroża, jak myślicie?
Ja—nie wiem.

Z DZIEDZINY POLITYCZNEJ.

Na widowni wojny południowo-afrykańskiej nastąpił wreszcie zwrot, przewidywany od dawna. Anglicy, zgromadziwszy w Afryce południowej olbrzymie siły i powierzysz dowództwo nad nimi dwom najlepszym swym generałom, powetowali poprzednie swe klęski i tryumfować zaczęli na całej linii. Jednocześnie punkt ciężkości operacji wojennych przeniósł się z wschodniej części teatru wojny, z Natalu do części zachodniej, w której objął naczelne dowództwo nad potężną armją angielską osiwały w boju i wstawiony licznemi zwycięstwami feldmarszałek Roberts. Wódz ten nie poszedł za przykładem innych generałów angielskich, działających bez planu i atakujących z frontu ukrytego za skałami lub okopami przeciwnika i ponoszących wskutek tego bezustanne porażki. Wszystkie jego operacje cechuje należyte przygotowanie i rozwaga w wykonaniu. Dzięki tej rozumnej strategii w połączeniu z ogromną przewagą liczebną, udało się Anglikom po kilkumiesięcznych niepowodzeniach zmienić położenie wojenne na swoją korzyść.

Pierwszym poważniejszym sukcesem angielskim było uwolnienie obleganego od samych początków wojny przez Boerów Kimberleyu, położonej nad granicą Rzeczypospolitej Orańskiej stolicy okręgu, słynnego ze swych kopalni djamentów. Miasta tego bronił z niezwykłym męstwem i wytrwałością, na czele nielicznej załogi pułkownik angielski Kekiewicz (podobno Polak) przy pomocy osławionego Cecyla Rhodesa, głównego sprawcy obecnej wojny. Zdziśiatkowana walkami i chorobami, a wyczerpana głodem załoga była już bliska poddania się, gdy przyniosła jej odsiecz, wysłana przez lorda Roberta dywizja jazdy po dowództwem generała Frencha.

W kilkanaście dni po uwolnieniu Kimberleyu katastrofa spotkała zachodnią armję boerską, pozostającą pod dowództwem generała Cronjego. Dzielnym ten wódz, wtłoczony ze swym oddziałem w suche łożysko rzeki i ostrzeliwany dniem i nocą ze stu dział nieprzyjacielskich, bronił się przez dni kilka z rozpaczliwą walecznością, w końcu jednak, zwłaszcza gdy wśród jego wojska wybuchły niesnaski, uległ przeciwnikowi, przewyższającemu go kilkanaście razy liczbą i poddać się musiał na łaskę i niełaskę. Katastrofa ta Cronjego, która już zaszła na terytorjum Rzeczypospolitej Orańskiej, zmieniła od razu całe położenie i odbiła się w swych skutkach także na wschodniej części teatru wojny. Główna bowiem armja boerska, oblegająca od kilku miesięcy Ladysmith i odpierająca zwycięsko wszelkie próby generała Bullera, spieszącego z pomocą temu miastu, odstąpić teraz musiała od oblężenia i cofnąć się w granice swego kraju, zagrożonego przez nieprzyjaciela. Jednocześnie oddziały Boerów, operujące w środkowej części widowni wojny, czyli na północy kolonji Przylądka Dobrej Nadziei, obawiając się odcięcia i osaczenia przez wojska nieprzyjacielskie, rozpoczęły odwrót i przepawiły się przez rzekę Orańską, stanowiącą granicę pomiędzy angielską kolonją Przylądka a Rzeczpospolitą Orańską.

W chwili więc, w której piszemy niniejszy artykuł, położenie na widowni wojny przedstawia się jak następuje:

Główna armja angielska pod dowództwem lorda Roberta stoi w zajętej przed kilkunastu dniami przez Anglików stolicy Rzeczypospolitej Bloemfontein i przygotowuje się do rozpoczęcia kroków zaczepnych przeciwko wojskom boerskim, skupionym w północnej części tego kraju, a zagradzającym Anglikom drogę do Transvaalu. Jednocześnie lord Kitchener na czele silnego oddziału posuwa się na północ ku obleganemu przez Boerów Mafekingowi, aby po uwolnieniu tego miasta, wtargnąć od zachodu do Transvaalu. Wschodnia armja angielska, zdziesiątkowana walkami, poprzedzającymi odsiecz Ladysmithu, odpoczywa na razie w okolicach tego miasta i czeka na posiłki. Zadanie jej polega na wkroczeniu od wschodu do Transvaalu. Granicę jednak stanowi tutaj potężne pasmo gór Smocznych, których wszelkie wąwozy i przejścia bronione są przez silne oddziały Boerów. Wreszcie w środkowej części linii bojowej, nad rzeką Orańską, ucierają się dotychczas z pomyślnym skutkiem pojedyncze komendy Boerów z oddziałami angielskiego generała Gatacre'a. Niezależnie od tego w najrozmaitszych punktach nadzwyczaj rozległego teatru wojny walczą z sobą ze zmienem szczęściem mniejsze zastępy nieprzyjacielskie. Współ-

nym celem operacji wszystkich wojsk angielskich jest zamieniona w silną bardzo twierdzę stolica Transvaalu, Pretoria. Dopiero po zdobyciu tej stolicy Anglicy zamyślają zgnębionemu przeciwnikowi podyktować warunki pokoju, jakie uważać będą za właściwe.

Tymczasem prezydenci obu sprzymierzonych Rzeczypospolitych południowo-afrykańskich zwrócili się do Londynu z propozycjami pokojowymi. Gdy zaś rząd angielski, jak z góry przewidzieć było można, odrzucił te propozycje, domagając się bezwarunkowego poddania, prezydenci udali się z prośbą o pośrednictwo do mocarstw i państw europejskich oraz do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Prośba ich spotkała się wszędzie z uprzejmą bardzo co do formy, lecz stanowczą w swej treści odmową. Okazało się, jak tyle razy przed tem, tak i w tym wypadku, że sympatje narodów nie zawsze chodzą w parze z polityką rządów. Słusznością Boerowie zdobyli sobie gorące współczucie całego świata cywilizowanego. W chwili jednak krytycznej, gdy zginąć mają pod ciosami najeźdźnika, nikt spieszyć im nie chce, czy nie może, z pomocą. Żadne z mocarstw obronę, nie obchodzącą ją ostatecznie bezpośrednio sprawy Boerów narazić się nie chce na niechęć Anglii, a w danym razie i na zatarg z potężnym na morzu państwem. Państwom zaś drugorzędnym brak sił materialnych przeszkadza w objęciu roli pośrednika. Tak na dzielnym narodzie Boerów sprawdzi się podług wszelkiego prawdopodobieństwa owe, wyjęte z bajki przysłówie, że „wśród serdecznych przyjaciół, psy zająca zjadły“.

Pomimo to tryumf prasy angielskiej, omawiającej już przysłe losy dwóch Rzeczypospolitych boerskich, dzisiaj jeszcze uważać należy za przedwczesny. Omawianie przypomina ów targ o skórę niedźwiedzia, który przebywa jeszcze w lesie. Być może, że sędziwy prezydent Transvaalu Krüger, którego Bismarck nazwał swojego czasu najbystrzejszym ze współczesnych mężów stanu, nie łudził się wcale, zwracając się z propozycjami pokojowymi do Londynu, a z prośbą o pośrednictwo do mocarstw, co do bezskuteczności tej akcji. Jeżeli się zaś pomimo to zdobył na ten krok, to jedynie w celu przekonania swych rodaków, że zniknęła dla nich wszelka nadzieja zachowania swej niezależności na drodze pokojowej, że więc, aby uniknąć jarzma angielskiego, trzeba im będzie walczyć do ostatniej kropli krwi. O ile też sądzić można z ostatnich wiadomości, nadchodzących z Afryki Południowej, Boerowie nie myślą wcale o poddaniu się na

łaskę i niełaskę przeciwnika, lecz przygotowują się do zaciętej obrony.

Zresztą ich położenie, choć bardzo krytyczne, nie jest jednak rozpaczliwe. Rozporządzają oni i dzisiaj jeszcze siłami, mogącemi stawiać przeciwnikowi skuteczny opór. Dla Anglików zaś rozpoczyna się, jak dowodzą znawcy stosunków południowo-afrykańskich, dopiero teraz najtrudniejsza część wojny. Zważyć bowiem należy, że armja angielska zmuszona jest walczyć nie tylko z dobrze uzbrojonym i wyćwiczonym przeciwnikiem, ale także z trudnościami zaopatrywania się w żywność dla ludzi i paszę dla koni, oraz we wszelkiego rodzaju potrzeby wojenne. Dotychczas te trudności z tego powodu nie dawały się Anglikom zbyt dotkliwie we znaki, ponieważ trzymali się oni przeważnie przy swych operacjach linii kolejowych. Obecnie jednak przyjdzie im zapuszczać się w kraj nieprzyjacielski, pozbawiony wszelkich prawie komunikacji, a nadto cierpiący w rozpoczynającej się teraz porze suchej na brak wody do picia. Wszystkie więc potrzeby muszą być dowożone na wozach. Jeżeli się zaś zważy, że jedna tylko armja lorda Roberta potrzebuje 10,000 wozów, że dalej każdy wóz zaprzężony jest w szesnaście wołów, to łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo olbrzymi taki tabór utrudniać musi i opóźniać wszelkie operacje wojenne. Nie dość na tem. Dotychczas Anglicy w zachodniej części widowni wojny walczyli na równinie. Umożliwiało im to wyzyskać należycie przewagę swej jazdy, Boerów zaś pozbawiało silnych z natury pozycji. Obecnie jednak rozpoczyna się teren górzysty, w którym nie na wiele się przyda jazda angielska, natomiast Boerowie, ukryci za skałami i w wąwozach, odzyskują na nowo swą przewagę jako niezrównani strzelcy.

Wszystkie te względy rozważył prawdopodobnie lord Roberts i tem się tłumaczy jego zwlekanie z rozpoczęciem obszerniejszych działań zaczepnych. Kilka już tygodni minęło od katastrofy Cronjego, a armja angielska w dalszym ciągu stoi beczynnie w Bloemfontein. Wódz jej ściągą widocznie posiłki i gromadzi zapasy, aby, nie stawiając nic na los szczęścia, zacząć nową kampanję z jaknajwiększemi widokami powodzenia. Wszelkie też prawdopodobieństwo zdaje się przemawiać za tem, że, dzięki olbrzymiej liczebnej przewadze, uda mu się Boerów, których główne siły skoncentrowały się naokoło Kroonsztadtu, do którego to miasta po zajęciu Bloemfontein przez Anglików przeniesiono stolicę Rzeczypospolitej Orańskiej, zmusić do odwrotu. Główne jednak trudności i niebezpieczeństwa zagrażać będą Anglikom dopiero wtedy, gdy się oni przeprawią przez odgrani-

czającą od siebie dwie Rzeczypospolite południowo-afrykańskie rzekę Vaal i wkroczą do Transvaalu.

Rozumie się samo przez się, że Boerowie wdawać się nie będą mogli w bitwy na otwartem polu z potężnym przeciwnikiem, lecz ograniczą się na nękananiu go podjazdami, odcinaniu i zabieraniu mu dowozów, niszczeniu jego komunikacji i napadaniu z nienacka na pojedyncze jego oddziały. W tego rodzaju wojnie Boerowie, obeznani dokładnie z krajem, odhartowani na zabójcze dla Europejczyka warunki klimatyczne, a przytem wyborni strzelcy i jeźdźcy, są nierównanymi mistrzami. Przyzwyczajony zaś do wszelkiego rodzaju wygód, i mało ruchliwy żołnierz angielski nadzwyczaj mało nadaje się do prowadzenia tak zw. partyzantki. W danym więc razie olbrzymia armja angielska, pozbawiona wszelkich dowozów we wnętrzu nieprzyjacielskiego kraju, a oddalona setki mil od miejscowości, z których dowożona jej będzie żywność, narażona być może na niebezpieczeństwo ogłodzenia. W każdym zaś razie miesiące jeszcze całe upłyną, zanim Anglicy staną u celu swych operacji wojennych, zanim wywieszą swój sztandar na murach stolicy nieprzyjacielskiej.

Zresztą Anglikom zagraża innego jeszcze rodzaju niebezpieczeństwo. Przypomnieć sobie należy, że obecną zbrodniczą wojnę wywołała, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie ohydna szajka spekulantów londyńskich, w celu zagarnięcia nadzwyczaj bogatych trasvaalskich min złota. Myny te stały się wogóle przekleństwem dla Boerów. Dopóki kraj ich był ubogi, nikt nie myślał ich niepokoić. Obsiadła go jednak jak szarańcze zgraja angielskich awanturników, skoro fatalnym wypadkiem odkryto w nim pokłady złota. Pod pozorem zaś obrony swych poddanych, krzywdzonych jakoby przez rząd transwaalski, Anglja mięszać się zaczęła coraz natarczywiej do wewnętrznych spraw Transvaalu, i stawiać pretensje, na które żadną miarą zgodzić się nie mogli Boerowie, chcąc zachować swą niezależność. Otóż podług nie stwierdzonych, co prawda, dotychczas jeszcze wiadomości, rząd transwaalski nosi się z myślą zburzenia położonych w pobliżu miasta Johannesburga tych kopalni, które stały się źródłem wszelkich nieszczęść boerskich. Zapewne, że środek ten nie zapobiegnie utracie niezależności Boerów, stanowić by jednak straszliwą zemstę na Anglikach, pozbawił by ich bowiem odrazu wszelkich korzyści prowadzonej kosztem tyłu ofiar w krwi i pieniądzech wojny. Pośrednio zaś zburzenie kopalni złota pod Johannesburgiem odbiło by się na gospodarce pieniężnej całego świata. Kopalnie te dostarczają piątą część ogólnej produkcji złota, a ich urządzenie

maszyny i t. p., które naturalnie uległy by zniszczeniu, reprezentują wartość kilku miliardów.

Z drugiej jednak strony uprzytomnić sobie należy, że w kopalniach transwaalskich nie są zaangażowani sami tylko Anglicy. Znaczna bardzo część akcji tych kopalni spoczywa w ręku Francuzów, Niemców, Belgijczyków i Holendrów. Już to samo powstrzymać winno Boerów od tego barbarzyńskiego czynu, któryby ich odrazu pozbawił dotychczasowej sympatji cywilizowanego świata, chociaż nie jest również wyłączona możliwość, że naród, doprowadzony do ostateczności i nie mający już nic do stracenia, nie będzie się liczył z tego rodzaju względami. Przypuszczają jednak, że Boerowie w tym jedynie celu rozpuścili pogłoskę o zamierzonym jakoby przez nich zburzeniu kopalni, aby przerazić Anglików i zmusić ich do przyznania łagodniejszych warunków pokoju, skłonić zaś inne narody, zainteresowane w transwaalskich minach złota, do gorliwszego niż dotychczas zajęcia się sprawą boerską.

W każdym razie, jak dzisiaj rzeczy stoją, mało jest widoków szybkiego zatańczenia rozlewu krwi w Afryce południowej. Anglicy upierają się przy zamiarze zupełnego ujarznienia dwóch Rzeczypospolitych południowo-afrykańskich i wcielenia ich do swoich dzierżaw. Boerowie do ostatniej kropli krwi bronić będą swej niezależności; Europa zaś, pomimo wszelkiego współczucia dla Boerów, w dalszym ciągu z założonemi rękoma przypatrywać się będzie smutnemu widowisku gnębienia bohaterskiego, choć drobnego, narodu przez brutalnego najeźdźnika.

K. P.

W OJCÓW ŚLADY...

POWIEŚĆ

przez Kazimierza Laskowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Rzeczywiście powietrzem przeciągnął dźwięk dzwonów i zawisł nad wsią gamą metalicznych tonów.

— Dzisiaj odpust — dopowiedziała ośmielona już dziewczyna.

Tadeusz przypomniał sobie z dawnych studenckich czasów, że istotnie w tym czasie przypadał odpust w Głębokiem.

— A ty będziesz na odpuscie?—zagadnął weselej.

— A i n o... wielmożny panie!

— No, to masz na wstażki — rzekł, wydobywszy parę sztuk drobnej monety.

Dziewczynie zaśmiały się oczy, ale się zawahała. Przyśloniła łokciem twarz.

— No! weźże — powtórzył. — Czegóż się wstydzisz? Weź! Wetknął jej datek w dłoń.

Objęła go znowu za kolana, raz i drugi.

— Jakże ci na imię?—spytał jeszcze.

— Jagośka! — szepnęła, przestępując bosemi nogami, i ukłoniwszy się raz jeszcze, wbiegła pędem do chałupy.

Tadeusz ruszył również, i znalazłszy się za wsią, skierował się krótszą drogą ku dworowi. Śpieszył się teraz, miarkując, że rodzice wstać już mogli, nie chciał zaś, aby nań ze śniadaniem czekano.

Dróżka wiodła pod górę, a i słońce zaczynało już przygrzewać.

Po chwili znalazł się przy żywopłocie owocowego sadu, i doszedłszy do furtki, wszedł do środka. Rzucił okiem na dwór, dojrzał zapuszczone firanki w sypialni rodziców.

— Śpią jeszcze — pomyślał głośno. — Niepotrzebnie tak śpieszyłem.

Obszedł dwór dokoła, w zamiarze dostania się do ganku.

Dochodził do kuchennej przystawki, gdy przez uchylone okno doleciał go odgłos przyciszonej rozmowy.

Rozpoznawał głos Bronci. Nadto wydało mu się, że słyszy swoje imię.

Podsunał się bliżej. Najwyraźniej mówiono o nim. Przynsunął się do ściany, stąpając na palcach, i tak skradając się, dotarł pod same drzwi.

Ogarnęła go jakaś pustota. Przysiadł niepostrzeżony i słuchał.

Z okien kuchni biegł do ogrodu tuż nad głową Tadeusza, przytłumiany chwilami, szept niewieścich głosów.

— Strasznie sobie Jędrzej chwalił — opowiadała pokojówka Ewka — Sama dziedziczka, choć taka pani, wyszła do kuchni i kazała im dać z pańskiego stołu. A potem lokaj wódki dwa razy wynosił. A jakże! Zjechało się panów dużo, ale żadnego tak niewenerowali, jak naszego starszego pana. Jak tylko panowie podjechali, to Boczkowski dziedzic wyleciał przed ganek i młodszego pana pod ramię do pokojów prowadził. Popóźniej to Jędrzej widział przez okna, jak sobie we dwoje z panienką przysiedli, a potem to pana Tadeusza inni zajęli do środka i coś długo opowiadał, a wszyscy słuchali...

Brzęk stawianego na blachę rondla, przygłuszył nieco dalsze słowa. Po chwili znowu rozbrzmiało wyraźniej:

— Przecież Jędrzej nie łże! a opowiadał, że na własne oczy widział. Pan starszy z dziedzicem Boczkowskim po-

pijali sobie, a pan młodszy ciągiem z panienką... Przy kolacji siedzieli blisko siebie..

Znowu jakiś hałas przytłumił opowiadanie, poczem usłyszał dziwnym głosem zadawane pytanie:

— Pannę Boczkowską widziałam raz tylko zdaleka. Musi być ładna?

— Niczego... rosła panna, ale... Ale panienka ładniejsza..

— A nie słyszał Jędrzej o czym..

— Zgadywali dworscy, że niby młodszego pana pewnością do panienki..

Uszu Tadeusza dobiegł fałszywy śmiech. Potem ucichły głosy, rozległy się kroki i skrzypnięcie drzwi kuchennych.

Z przystawki wybiegła szybko „Głowienka“ i prawie pędem wpadła w ogród.

— Co jej się stało? — zagadnął znowu z wnętrza głos jakiś.

— A czy ja wiem! Jakaś dziwna! — brzmiała odpowiedź Ewki.

Młody Głębocki doznał dziwnego wrażenia. Podśluchana rozmowa, odkrywała przed nim to, czego się sam już domyślał, a nadto budziła jakieś nowe przypuszczenia, bardzo miłe, bardzo ponętne, a jednak budzące równocześnie jakąś trwogę i wahanie.

W pierwszej chwili miał chęć pobiedz za nikoną za kępami drzew dziewczyną, ale ten śpieszny odruch powstrzymał zarysowany na czole namysł.

Podniósł się z ukrycia, i idąc z pewną ostrożnością, przeszedł na drugą stronę dworu, powtarzając w duchu:

— Czyż-by?

Z za węgła obejrzał się jeszcze, rzucając spojrzenie w głąb ogrodu. Zdawało mu się, że słyszy cichy, stłumiony płacz...

Objął go żal, a zarazem jakaś niecierpliwość. Wzruszył ramionami.

— Tego-by jeszcze brakowało! — szepnął, odgarniając włosy z czoła.

Wszedł bocznem wejściem do swego pokoju. Rzucił się na kanapę i zadumał. Myśli wstawały jedna po drugiej, nie-

które garnęły się doń pieścizną, roztkliwieniem, niektóre zaś wiodły chęć na bezdroże i rozstępowały się w duszy, niknąc bez echa. Usiłował je odpędzić, lecz nie mógł, bo w tej chwili w umyśle jego przedstawiało tylko to, czego nie chce, a wszelkie pożądanja i pragnienia skłębowały się w bezładny chaos i otoczyły jakby mgłą nieprzebitą chęć i wolę.

Wreszcie rozbudziło się w nim uczucie gniewne, złośliwe, z niesmakiem i goryczą połączone. Trwało jednak krótko, ustępując stopniowo obojętności i rezygnacji.

Siadł i począł zmieniać zaszargane na rannej przechadzce ubranie. Mimo nieprzespanej nocy nie czuł się sennym, ani znużonym, pożądał jedynie spokoju, a tego jeszcze mimo zapanowania nad sobą nie znajdował.

Tymczasem w sąsiednich pokojach wszczął się ruch, rozbrzmiał pogwar z odgłosem kroków zmięszany. Służba nakrywała do śniadania. Państwo starsi wstali. Oboje Głęboccy mieli twarze wesołe, rozradowane, przesiąknięte tajemniczym uśmiechem, i wychodząc do stołowego pokoju, prowadzili z ożywieniem rozpoczętą jeszcze w sypialni rozmowę.

— Tylko niech się mamusia przed czasem z czem nie wygada — przestrzegał, sadowiąc się w krzesle Głębocki.— Djabel! uparty jest i gotów... panie tego.. zwąchawszy pi-smo nosem...

— Boże uchowaj! Nawet go nie będę pytała!

— Bo to, widzisz moja Tereniu, najlepiej w takich razach nie nalegać, nie przyśpieszać... Jak co ma być, to będzie. Boczkowskim się to uśmiecha, pannie, zdaje mi się, także...

— A Tadzio?

— Ciągle był przy Helence... Gadali... rozmawiali ze sobą... Mojem zdaniem, musiała mu się podobać.

Dałby Bóg! dałby Bóg!--westchnęła pani Głębocka.

— Mnie to przedewszystkiem cieszy, że teraz nie będzie się nam już tak wrywał. Nawet nie może... Wpakowali-śmy mu tę ustawę... A zresztą niechtam mówią, co chcą, sta'y sposób na różne mrzonki najlepszy!

— Jaki sposób?

— A spódniczka! Probatum est!...

Nachylił się do żony, i patrząc żartobliwie w jej oczy, szepnął:

— Pamiętasz! I mnie tam kiedyś coś świtało... Ale jakim moją Tecię ujrzał, jakim raz całusa pokosztował... to mi zaraz te fiu fiu wywietrzały z głowy...

Pocałował żonę w rękę; ona zaś poruszyła się żywiej na krześle, i jakby ją wspomnienia słów pozbawiły, na chwilę zatopiła łagodne oczy w twarz męża, czerwieniąc się przytem z lekka.

Po małej przerwie spytała znowu:

— A Wilkosz był?

— Był. Ale dla czego pytasz?

— Chciałabym, żeby się także z Broncią już rozstrzygnęło—odrzęła, oglądając się dokoła.

— Wspominałem Tadeuszowi o tym projekcie... — obejrzał się także. — Ale co to „Figi“ nie widać? Tadeusz bo pewnie śpi? Niech się tam wywczasuje, oni w mieście do rannego wstawania nie nawykli.

I znów powtórzył:

— Ale „Figi“ nie ma! A mnie już kawka pachnie! Nie widziałeś gdzie panny Bronisławy? — spytał wnoszącego samowar lokaja.

— Wybiera się na odpust, więc pewnie wydaje na obiad—uprzedziła Głębocka.

— Panienska co dopiero była w kuchni — dopowiedział lokaj.

W tym momencie w progu ukazała się Broncia. Pobiegnęła szybko do siedzących i w milczeniu złożyła pocałunek na ich rękę.

Głębocka dostrzegła, że Broncia ma czerwone oczy.

— Co ci to Bronciu?

— Głowa mię trochę... boli—odrzęła zająkliwie, biorąc maszynkę do kawy, i gorączkowym ruchem przybliżając tackę z filiżankami.

— A może się paniencie co przyśniło — rzucił, nastrojając się do śmiechu Głębocki, chociaż i jego dziwiło, że „Głowienka“ dzisiaj jakoś „nie tego“.

Dziewczyna pokraśniała po białka i jąta szybko nalewać kawę.

— Powiedzieć jej co o Wilkoszu?—szepnął Głębocki do żony.

Pani Głębocka sfałdowała z lekka czoło.

— Daj lepiej pokój—odpowiedziała równie cicho. Sama zaś rzekła głośno:

— Szkoda, żeś wstała kochanko, skoro cię głowa boli... Trzeba było kazać Walentowej...

— Ej! to przejdzie ciotucho! Już nawet przeszło—przerwała, siląc się na uśmiech i wesołość.

Głębocki pokręcił głową, lecz nie rzekł słowa, tylko zaczął bębnić palcami w stół, co zwykle czynił, gdy mu jakaś niespodziana, niepokojąca myśl zawitała do głowy.

Wreszcie, wyczekawszy chwilę, gdy Broncia podawszy kawę, wyszła do drugiego pokoju, szepnął w zamyśleniu:

— Trzeba będzie z Wilkoszem skończyć...

Głębocka obrzuciła męża spojrzeniem, drgnąwszy nieznacznie.

Miała na ustach jakieś pytanie, ale drzwi się otwarły i do pokoju wszedł Tadeusz.

— Wytrzęśliśmy się wczoraj... Siadaj — przemówił pośpiesznie do wchodzącego ojciec.—Mnie bo djabelnie się jeść chce...

I nim Tadeusz zdążył się przywitać, zrobił mu miejsce obok siebie.

Tkwiała w tym pośpiechu jakby chęć ukryta, zawiązania corychlej rozmowy z synem, a i pewien przebłysk obawy przed myślą, która przed chwilą przemknęła w jego głowie.

Lecz rozmowa nie kleiła się czegoś z początku. Gawędzono urywanemi zdaniem o rzeczach obojętnych, nie potrącając prawie o wizytę u Boczkwskich.

Jakiś przymus i nieufność wiały nad stołem.

Wreszcie spytał syna Głębocki:

— Nie czujesz się znużonym?

— Bynajmniej — odpowiedział Tadeusz, przemilczając o niespanej nocy. — Wczorajsza przejażdżka posłużyła mi nawet...

— Prawda jak miły dom?—wtrąciła matka.

— Bardzo sympatyczni ludzie, a panna Helena wyjątkowo miła osoba...

— A jaka wykształcona!—dorzuciła szybko Głębocka.

— Tak—potwierdził krótko.

Raptem spytał:

— A gdzie-to kuzynka Broncia? Niewidzialna?

— Wybieramy się do kościoła. Pewnie sobie coś przygotowuje...

— Pytałem się, czyś nie znużony!—zagadnął teraz Głębocki.—Możebyś i ty pojechał?...

Tadeusz po krótkim wahaniu odrzekł:

— Mogę. Zdaje mi się, że to dziś odpust.

— Pamiętasz! Odpust... odpust...

Przy tych słowach wstał od stołu, i zwróciwszy się do żony, dodał:

— Wyjdę, żeby konie były gotowe. A panie niechże nie marudzą, bo się później do ławek docisnąć będzie trudno.

Twarz mu poweselała. Wyszedł, poświstując.

Głębocka została z synem.

— Mój Tadku—zaczęła po chwili.

Spojrzał. Spuściła oczy, kryjąc cisnące się w źrenice łzy.

— Co mamie?

— Nic... nic...

Porwała się z krzesła, podbiegła, i nic nie mówiąc, pocałowała go kilkakrotnie w czoło.

— Co mamie?—powtórzył zadziwiony.

— Nic! nic! Ale ty nie myślisz o odjeździe? — wybuchnęła pełnym wzruszenia głosem.

Założyła z tkliwością obie ręce na szyi syna i coraz z większym naporem pytała:

— Nie odjedziesz nas Tadku! nie odjedziesz?

Jemu zaś zrobiło się nagle mroczno i łzawo. Przywarł ustami do rąk matczynych, i po dłuższem milczeniu, szepnął wymijająco:

— Dano mi przecież robotę. Opracowanie ustawy wymaga pewnego czasu.

— To dobrze—westchnęła.

W sąsiednim pokoju rozległ się szmer kroków. We drzwiach ukazała się Brońcia, w gładkiej, wełnianej sukience, z książką do nabożeństwa w ręku. Ujrawszy Tadeusza, chciała się cofnąć. Lecz zaczął wołać:

— Kuzynko! kuzynko! proszę do nas! Należy mi się dzień dobry!

I postąpił parę kroków naprzeciw. Wydała mu się jakąś inną, niż zwykle, mniej świetną, jakby przystrojoną w powab, smętnego wdzięku pełen. W oczach zgasły ogniki, natomiast rozlewał się żal bojaźliwy i oprawiał piwne źrenice w tęsknotę i zadumę. Przypomniał sobie słyszana w kuchni rozmowę i znowu, jak rankiem, zapytał samego siebie.

— Czyżby?

Głośno zaś rzekł, dotknąwszy na powitanie dłoni dziewczęcia:

— Widocznie dzisiaj wszyscy jesteście jacyś nieswoi, skoro nawet kuzynka Brońcia bez humoru.

— Narzekała na ból głowy — odezwała się pośpiesznie Głębocka, od chwili pojawienia się „Głowienki“, bacznie obserwująca zachowanie się obydwójga.

— Przymizerniała nawet kuzynka—przemówił znowu. — Możeby to było lepiej odpocząć w łóżeczku?...

„Głowienka“ wzruszyła ledwie dostrzegalnie ramionami.

— Nie jestem chora—szepnęła z udaną obojętnością.

Nie patrzyła na Tadeusza, unikając troskliwie jego wzroku, i podszedłszy do ciotki, przystanąła półbokiem, tak, aby jej twarzy nie widział.

Ścienny zegar wydzwaniał godzinę jedenastą... Równocześnie pod gankiem rozległ się turkot podjeżdżających pojazdów, i głos Głębockiego:

— Tadeuszu! Chodź-no, coś ci pokażę!

— A ja jeszcze nieubrana! Moja Bronisiu! Pomóż-że mi—zawołała teraz Głębocka.—Mój Tadiusi, zagadaj tam ojca, bo się będzie irytował!

Jakoż stary Głębocki zajrząwszy przez okna, zaczął już: „A mówiłem! że będą marudzić!“ i grożąc kobietom palcem,

przyzywał w dalszym ciągu Tadeusza, aby wyszedł przed ganek.

Ten wybiegł prędko i zadziwił się bardzo, ujrawszy prócz czworokonnego powozu, drugi ekwipaż, koszykowej roboty lekki amerykański, zaprzężony w parę rosnących gniadoszów.

— A to czyje?—spytał.

— Chciałem ci zrobić niespodziankę. Amerykan już dawno zamówiłem w Warszawie, ale dopiero wczoraj nadeszli. A ta para wałachów swego chowu. Stały na folwarku, więc ich dotąd nie widziałeś...

I zaczął z wielkiem znanstwem zachwalać budowę i chody.

— Kasztany chodne, ale delikatne—mówił—i do kawalerskiej jazdy niewytrzymałe... A temi choćby dziesięć mil bez popasu. Naręczny po „Sygnecie“, a siodłowy... od „Iskry“... Chodzą jak lalki! Zresztą spróbujesz sam.

Tadeusz choć w duszy powiedział sobie: „A mnie to po co“—jednakże, jak każdy na wsi urodzony, lubiący konie, podziękował i z pewnem zadowoleniem oglądał ekwipaż.

Niebawem wyszły panie.

— Chwała Bogu! Myślałem, że pojedziemy świece gasić—mruknął Głębocki.—Siadaj Tadeusz! i prowadź.

Młody Głębocki skoczył zwinnie na wysokie siedzenie.

— A może kuzynka ze mną—zapropozował.—Nie wywróć! Daję słowo!

— Obejdzie się łusy bez grzebienia!—wyrwało się staremu.—Jedź sam! Tylko za wsią ostrożnie, bo wyboje!

Spojrzał znacząco na żonę, i sadowiąc się na przednim siedzeniu, przemówił, gdy już konie ruszyły półżartem, a półserjo do zapłonionej Bronci:

— Znajdzie się ktoś inny, co jak powiecie, to się nie oprze aż w Rybnem.

„Głowience“ kurz musiał zaproszyć oczy, bo zaczęła nagle trzeć piąstką powieki i patrzeć w dół.

W kościele było już kazanie. Lud z utkwionemi w ambone oczyma zalegał całą nawę. Chłopi w odświętnych strojach, kobiety w barwnych chustkach i zapaskach, stali pogłowiem

wysłuchaniem w rozbrzmiewające pod gotyckiem sklepieniem ewangeliczne słowa. Słońce wpływające przez narozcież otwarte drzwi i półkoliste okna, złościło całe wnętrze aż po prezbiterjum, obłócząc ołtarze, figury świętych i ciżbę nabożnych, w jasność przejrzystą; rzekłbyś: w rozmodlonych dusz głębie wnikającą. To też westchnienia płynęły z piersi, czasem ciche, ledwie dosłyszalne, jak szmer daleki kołysanych wiatrem traw łącznych, czasem gromkie, strzeliste, serdecznej prośby i dziękczynienia pełne.

Niekiedy z tej gęstwy ludzkiej podnosił się jęk i płacz tłumiony, czasem dziecka kwilenie lub suchy kaszel starców. Przy bocznych dwu ołtarzach, gdzie już odprawiano Msze ciche, skupiał się wianek klęczących kobiet. To były się w piersi, to padały za głosem dzwonka twarzą na kamienne stopnie, wnosząc okolone „koronkami“ dłonie nad głową.

Tu szept modlitwy zmieszał się z cykaniem zapalonych świec woskowych, ze skwarzeniem się knotów w lampkach i rozplywał się po nawie warstwami szmerów. Przed balustradą, oddzielającą prezbiterjum klęczało bractwo. Starszy „brat“ rozdawał światło. Koło wielkiego ołtarza pełzała z „wywodem“ młoda mężatka z małą dzieciną przy piersi. W wolnej ręce trzymała zapaloną świecę. Idący przed nią kościelny, odmawiał „Zwiastowanie“. Kilku chłopców w białych komeszkach czekało w pogotowiu przy wejściu do zakrystji. W zagłębieniu „babka“, przysiadłszy w kucki, dmuchała na zarżące się w żelaznym tygielku węgielki, przeznaczone do kadzielnicy przy Sumie.

A nad tem wszystkim unosił się dalekiem echem dźwięk sygnaturki. Jeden z „rózańcowych“ szarpał w zwieszającą od żeber sklepienia rzemienną taśmę, sygnując bez przerwy.

Głęboccy z Bronią, wszedłszy przez zakrystję, zasiedli w kolatorskiej ławce. Z „państwa“ nie było jeszcze w kościele nikogo. Tadeusz siadł od strony nawy. Objął wejrzeniem tłum rozmodlony, zwartą masę głów i postaci, od chóru aż po najbliższe mu przęsło, dłużej zatrzymując się na głoszącym kazanie kapłanie.

Kazał ksiądz młody, ale już zawiędy, o rysach wyrazistych, ostrych, czole wysokiem, zwiększonym przedwczesną

łysiną, z pod którego świeciły małe, lecz bystre, głęboko osadzone czarne oczy. Mówił głosem dobitnym, poprostu, nie dobierając słów, trochę nawet z chłopska. Czasem razem z głoszonem zdaniem, rzucał gestem rąk w zasłuchaną ciżbę, lub podnosił wskazujący palec w górę. I urywał na chwilę. Wtedy głowy pochylały się falą, setki spojrzeń biegły za prawicą księdza ku wyżynom, tłum chwiał się od szumu westchnień i nawet kościelną wypełniała jakby jedna, potężna pieśń bez słów, pieśń skruchy, kornej nadziei i ufności w zmiłowanie.

A ksiądz czekał, aż ta pieśń ołtarze ogarnie, aż mury przesiąknie i poszybuje ku błękitnemu przestworzu, zostawiając po sobie ciszę myśli rozskrzydlonej w prostaczych umysłach i błagalne serce bicie.

Tadeuszowi twarz księdza wydała się znajomą, nieprzypominał sobie tylko, gdzie go już widział.

— To ksiądz Rzut wikary z Czarnowód — szepnął siedzący obok syna Głębocki.—Rzadki człowiek! prawdziwy kapłan!

Tymczasem do kościoła przybywało coraz więcej ludzi. Mężczyźni stawali po pod chórem i w środku, kobiety przeciskały się ku przodowi, zajmując miejsca za klęczącym „bractwem“. Kilku surdutowych, w granatowych surdutach z jejmościami, szeleściło kartami książek do nabożeństwa w bocznych ławkach, gdzie również siedzieli siwowłosi gospodarze i parę kobiet wiejskich, starszych wiekiem. Na chórze pojawił się organista z gronem przystrojonych odświętnie dziewczyn—śpiewaczek i wyrostków. Szept pacierzy rósł. Na stopniach ołtarzy przyklękał szereg „wysłuchanych“, oczekując na Komunię Świętą. Dzwonki odzywały silniej i częściej.

Wreszcie z ambony padło: „Czego wam i sobie z serca życzę. Amen“. Ksiądz przyklękł w kazalnicy i zaczął półgłosem odmawiać Modlitwę Pańską. Szepczące głosy zawtórowały teraz donośniej, rozdzieliwszy się na dwa roje brzmień: żeński cieńszy, nieomal piskliwy i męzki gruby, tchawicą oddechów głuszony.

Z końcem kazania zapalono rząd świec u wielkiego ołtarza. Chłopak w komeszce uderzył parokrotnie w dzwo-

nek w odrzwiach zakrystji zawieszony, kościelny pociągnął za sznurek wstrzymujący zasłonę obrazu. Opadła osłona. W blaskach światła zajaśniał wizerunek Bożej Rodzicielki, tłum westchnął z uwielbieniem i siwy proboszcz Głębockiego wyszedł z Sumą.

Starzy Głęboccy, przyklękawszy w ławce, modlili się w skupieniu. Bronia klękała tuż za ławką pod spływającym festonem chorągwi. Tadeusz opuścił głowę na piersi, i zadumawszy się, patrzył po tem zagłębiu kościelnem, pełnem dźwięków, i światła, i barw, i podniosłych wzruszeń i pogody. Patrzył na mury, pnące się ostrołukami wiązań, na jasność słoneczną, zawieszoną u sklepień, na migotliwe, żółte błyski świec ołtarzowych, na obrazy, na feretrony, na lud klęczący... Jakaś śpiewność przenikała mu w duszę i wiodła myśli torem pieśni zbożnej, co teraz z kilkunastu piersi huczała na chóralnem wzniesieniu.

Organy grały, wtórując nieuczonym głosom.

Świątynią leciało:

Święty Boże! Święty Mocny!
 Święty a Nieśmiertelny!
 Zmiłuj się nad nami!

Mury powtarzały pieśń starą. Celebrans siał znakiem Krzyża po klęczonem pogłowiu, a tłum korzył się, ręce wznosił, dłonią w pierś dzwonił i szeptał łzawo:

— O Jezu! Najmilejszy! O Królowo Niebieska!

W połowie Sumy krzypnęły z lekka drzwi w kruchcie, w zakrystji zrobił się ruch i do drugiej ławki, pustej do tej pory, wsunęła się pośpiesznie pani Emma Pitzburg z dwiema podrastającymi córkami.

— Przyjeżdża świece gasić—mruknął stary Głębocki.

Tadeusz ujrzawszy przybyłą, poruszył się, wyprostował, czekając sposobnej chwili do przestania ukłonu. Dojrzała go również. Zamienili nieznacznie ukłon. Toż samo uczynili starzy Głęboccy, aczkolwiek z dziedziczką z Czarnowód znajomi tylko z widzenia. Pani Emma, szepnąwszy coś do córek, które zaraz otwały książeczki do nabożeństwa, przechyliła się w ławce i wznosząc duże sentymentalne oczy ku ołta-

rzowi zaczęła się medlić. Czasem jednak wzrok jej staczał się z ołtarzowych złocen ku posadźce i w tej drodze trafiał na młodego Głębockiego. Wtedy malinowe wargi przestawały szeptać, a pełna, o ślicznej alabastrowej cerze twarz, powlekała się przelotnym uśmiechem.

W moment po pani Pitzburg ukazała się z wnętrza zakrystji puciołowata twarz Wilkosza. Dzierżawca Rybnego zakłopotany opóźnieniem, przykląkł na jedno kolano w progu i dopiero po dłuższej przerwie, ośmielił się spojrzeć w stronę Głębockich.

Bronia, jakby umyślnie, zasunęła się jeszcze głębiej, tak, że zwieszająca się z boku ławki chorągiew, przysłoniła ją prawie zupełnie.

Wilkosz wyciągnął szyję, parę razy robił ruch taki, jakby zamierzał wstać i przejść na drugą stronę.

Ale właśnie uderzono w dzwonki, kapłan uniósł Hostję w górę... Było podniesienie...

Fala głów jękała podniosłem: *O! O!* raz, drugi i trzeci i kościół zaległa cisza, przerywana tylko wstrzymywanym dechem organów...

Znowu zagrały dzwonki, znowu wielka pierś ludu rzucała z setek ust westchnieniem, z chóru zaczął się zsuwać ton po tonie, dźwięk po dźwięku zlewać i znowu pod gotyckiem sklepieniem zabrzmiało rozskrzydlonem echem:

Jezu przepuść! Jezu wysłuchaj!
O Jezu! zmiłuj się nad nami!

Przed końcem nabożeństwa, szepnął Głębocki do syna:

— Proboszcz pewnie będzie prosił. Wyprawimy panie z Wilkoszem i zajdziemy trochę na probostwo, jeżeli masz ochotę...

Tadeusz nie dał żadnej odpowiedzi.

Po chwili ruszono z ławek. Tadeusz, wyprzedzając rodziców, skierował się przez boczną kruchtę, którądy wpierw już wyszła pani Pitzburg. Przechodząc obok Wilkosza, podał mu rękę i jednocześnie obejrzawszy się po za siebie, spojrzał przelotnie na Bronię, idącą z tyłu za wuj-

stwem. Miała minkę nadaśaną, a oczy nieruchomie utkwione w wzorzystą posadzkę, pomimo, że teraz zbliżał się do niej rozpromieniony Wilkosz.

Tadeusz uśmiechnął się cierpko, wzbudziła się w nim jakaś złość, i nie zwlekając, podążył za panią Pitzburg. Pani Emma, przystanąwszy pod jedną z lip, okalających kościół, rozmawiała z ks. Rzutem.

Ujrawszy zbliżającego się z ukłonem młodego Głębockiego, skinęła przychylnie głową i postąpiła parę kroków naprzeciw, z wyciągniętą, pulchną, toczoną ręką na powitanie.

— A to grzecznie! Nie pokazał się pan w Czarnowodach od dwóch tygodni — zaczęła tonem wymówki, i nie dając Tadeuszowi przyjść do słowa, ciągnęła, kreśląc parasolką na murawie esy, floresy:

— Mąż wyjechał za interesami do Berlina... Ja sama... Nudzę się... A pan, najbliższy sąsiad i stary znajomy, nawet nie raczy się zapytać o biedną samotnicę!

— Byłem w ostatnich czasach bardzo zajęty...

— Muszę wierzyć... Ale kto jest ta panienka — rzuciła nagle, podnosząc brwi i ukazując oczyma idącą z Głębockimi i Wilkoszem Bronię.

— Moja kuzynka Lipska...

Zmierzyła „Głowienkę“ spojrzeniem, poczem zaczęła patrzeć towarzyszowi w oczy...

Młody Głębocki mimowolnie splonął z lekka, i w zamiarze przerwania tej dyskusji, przemówił:

— Nie znam księdza Rzuta. Pozwoli pani, że mu się przedstawię?

— Nie zna pan! Zaraz! Księżę wikary — zaczęła z odległości.

Ks. Rzut, rozmawiający opodal z pannami Pitzburg, odwrócił się. Głębocki podszedł śpiesznie ku niemu, wymieniając nazwisko.

Zaczęli rozmawiać.

Tymczasem lud wysypał się z kościoła i okrzykując mury, śpieszył do rozstawionych po za ogrodzeniem kramów z świętościami.

Pod lipami rozlał się pogwar, niby pszczoł brzęczenie. Ale w kościele śpiewano dalej... i dzwony biły.

Państwo Głęboccy z Bronią i Wilkoszem oczekiwali na proboszcza na ścieżce, wiodącej na plebanję.

Ukazał się niebawem, co skłoniło Tadeusza, że zaczął się żegnać z panią Emmą i pannami, aby się z rodzicami połączyć.

— Zatem do widzenia—rzuciła, podając mu obnażoną z rękawiczki dłoń.—Proszę pamiętać o Czarnowodach... Ale! ale... urządzam „Schnitzjagd“... Lekarz zalecił mi jazdę konną, bo...

Wspięła się na palce i dokończyła filuternym szeptem:

— Bo tyję...

Co rzekłszy, podała z kolei rękę, przysłuchującemu się z pewnem zakłopotaniem tej rozmowie księdzu, i skierowała się ku furtce, przed którą zatoczył się już czworokonny pojazd. Panny, dygnawszy, pośpieszyły za matką. Tadeusz również chciał podążyć w zamiarze podsadzenia jej do powozu, lecz wstrzymała go ruchem ręki.

— Tam czekają na pana...

Spojrzała kokieteryjnie, uśmiechnęła się ironicznie i szybko wskoczyła na stopnie.

Tadeusz przestał jej jeszcze raz ukłon i łącznie z księdzem Rzutem wrócił do rozmawiających z proboszczem rodziców.

Trafił właśnie na obcesowe zaprosiny.

— Ale i czcigodny kolator... i panie...—domagał się stary kanonik.—Na kieliszek *ungaricum*. Proszę, gorąco proszę!

Panie zaczęły się wymawiać, lecz zatkał sobie oburącz uszy, dając do poznania, że żadne wymówki nie pomogą.

— Na pół pacierza, na kwadransik—prosił.

Jakoż zdecydowano się już iść, ile że kanonik dopomagając prośbie czynem, uchylił furtkę, wiodącą na plebanję, i popychał z lekka stojącego najbliżej pana Głębockiego, gdy nagle rozdarł powietrze przeraźliwy krzyk raz, drugi, objął mury kościelne, zahuczał na drodze i zbiegł wrzątkiem rozszalałych głosów, pod niebiosy.

W ciżbie ludu przy kramach zawirowało, tłum pędził z drętwym jękiem: Gore! gore! Rozległo się zawodzenie kobiet, płacz potrąconych w pośpiechu dzieci, rozpaczony wrzaski, skowyt bólu i strachu. Jednocześnie pozostali w kościele, zaczęli teraz tłoczyć się w odrzwia, rozpychać, jęczeć i szlochać, tłumiąc nawet rozgłośny chlebot dzwonów, w które ktoś z przytomniejszych jał bić na trwogę.

Kule czarnego dymu uderzyły w niebo i rozprysnąwszy, opierścieniły część widnokregu.

— Głębokie w ogniu! — wrzasnął ksiądz Rzut, który z pierwszym krzykiem, wdrapał się na żerdny płot, otaczający ogród plebański.

— Rany boskie! — jęknął przerażony pan Głębocki.

Panie wybuchnęły płaczem.

— W środku wsi pożar! dwie chaty w ogniu! — wrzeszczał ksiądz.

— Rany boskie!

Pani Głębockiej zrobiło się słabo. Kanonik chwycił ją w pól. Bronia załamała ręce i zaczęła biedz za wikarym, który, zeskoczywszy z żerdzi, leciał teraz, nawołując:

— Kto w Boga wierzy za mną! Przez pola! przez pola, na przelaj!

Biegnącej zagroził drogę Wilkosz.

— Na Boga! panno Bronisławo! Co pani robi! Zaraz tam wszyscy jedziemy — wołał, rozpościerając ręce.

Wyrwała mu się.

— Panie doktorze! Panie Tadeuszu! — krzyknął, niejako przyzywając pomocy.

Ale Tadeusza już nie było. W ogólnem zamieszaniu niezauważono, iż zaraz w pierwszej chwili, nim jeszcze ksiądz Rzut zwiastował złowrogą nowinę, rzucił się za tłumem, i dopadłszy ekwipażu, popędził co w koniach pary ku płonącej wiosce.

Za nim i przed nim jęczały: zgiełk płaczliwy i trwoga. Bo teraz i od wsi zaczęło dobiegać zawodzenie kobiet, lament dzieci, rozpaczliwe wykrzykniki. I z pól i z pastwisk zabrzmiały echa żałości pełne i jedna wielka skarga zakołysała pod słońcem.

Dusiciele w Bengalu

POWIEŚĆ

tlomaczyła **Eugenja Żmijewska.**

(*Ciąg dalszy.*)

— Ani słowa—zakomenderował fakir.—Czy pani ma flakon?

— Mam.

— Czy pani dobrze pamięta?

— Pamiętam.

— A więc do roboty!

Fakir zaśpiewał jak słowik, a na ten dźwięk w mgnieniu oka zbiegły się czarne, niezliczone postacie. Ręce silne pochwytyły trumnę, młodą kobietę, obu marynarzy i puścili się cwałem przez cmentarz. Do opasającego muru cmentarnego przystawione już były drabiny, Hindusi wdrapali się na nie, zeszli na drugą stronę po szczeblach i, biegnąc dalej, znaleźli się niebawem po za przedmieście. Pędzili dalej w milczeniu. Trwało to z godzinę.

Ludzie zmieniali się od czasu do czasu, ale szalony pęd nie ustawał. Wreszcie tłum stanął przed domem, otoczonym krzewami. Hindusi niosący trumnę i Europejczyków weszli z nimi do sali, oświetlonej rzęsiście i umeblowanej na sposób wschodni.

Pozostańcie tutaj—rzekł fakir do dwu marynarzy,—a ty, szlachetna damo, idź za mną.

Rozsunął boczną ścianę i skinął na tragarzy, niosących kapitana. Weszli do mniejszej komnaty. Pośrodku stało

łoże z samych poduszek, spuszczone na nie trumnę i wszyscy wyszli oprócz młodej kobiety i fakira.

— A teraz niech pani działa wedle przepisów. Proszę być spokojną. Wierni słudzy czuwają.

Otworzył drzwi i zniknął.

Pozostawszy sama wobec skostniałego męża, Klaudja przyzywała na pomoc całą energję i przytomność umysłu. Kapitan był jakby uspiiony. Twarz miała spokój i bladłość marmuru. Młoda kobieta przyglądała się z niewysłowioną miłością.

— Jerzy... ukochany—szepnęła—życie dla ciebie... lub śmierć dla nas obojga.

Wyjęła z kieszeni srebrny flakon i postawiła go na małym stoliku u wezglowia. Stała już tam srebrna taca, a na niej kawałki białego wosku, nóż o srebrnej rękojeści, szklanek, dzbanek pełen wody i kilka jedwabnych fularów.

Stosownie do otrzymanych wskazówek, hrabina ulepiła w palcach trochę wosku, zatkała nim mężowi nozdrza i zawiązała mu usta dwoma fularami. Potem wlała na dłoń kilka kropel z flakonu. Był w nim płyn zielonawy o silnym zapachu. Poczęła nacierać czoło i tył głowy. Zapach był coraz silniejszy. Klaudja byłaby z pewnością zemdląta, gdyby wpierw nie zabezpieczyła się, owiązawszy sobie usta fularem.

Płyn ulatniał się szybko, naląła go znowu na dłoń i znowu roztarła miejsca wskazane. Wreszcie podsunęła flakon pod nozdrza mężowi i trzymała go tak, licząc powoli do stu.

Złudzenie-li to, czy rzeczywistość?

Zdało jej się, że na bladą twarz zaczynają występować rumieńce. O tak, tak, to prawda, usta zabarwiają się zwolna...

Obiecany cud się spełnia. Nawpół odurzona od tych silnych wyziewów, Klaudja czuje jednak nieopisaną błogość, ale nie daje folgi swej radości, bo trzeba działać szybko, budzić życie jeszcze nawpół uspiione. Odejmuje flakon, bierze szklankę, wlewa w nią dwanaście kropel tajemniczego płynu, dolewa trzy łyżki wody, która nabiera odrazu barwy szmaragdu. Potem wsuwa srebrny nóż pomiędzy zwarte szczęki i rozchyła je ostrożnie. Wreszcie wlewa płyn kro-

pla po kropli srebrną łyżeczką, bacząc, by nic nie uronić. Ta trudna manipulacja, wymagająca wielkiej zręczności, zajmuje przeszło kwadrans czasu. Chwila oczekiwania wśród śmiertelnej trwogi. Wreszcie rozlega się westchnienie tak słabe, jak powiew letniego wietrzyku, pierwszy objaw życia. I oto drugie, silniejsze już westchnienie porusza pierś kapitana, potem trzecie; ociężałe powieki podnoszą się nieznacznie.

— Żyje! żyje! — woła Klaudja, oszalała z radości i stosownie do zaleceń fakira, otwiera natychmiast drzwi i okna, aby płyn wywietrzał.

W sąsiednim pokoju dostrzega dwu marynarzy zgnębionych.

Zrywa z ust fulary.

— Przyjaciele — woła — chodźcie, chodźcie... mój mąż... wasz kapitan ożył... Słyszycie? Ożył.

Maryusz i Johnny pewni są, że oszalała z rozpacz. Wchodzą, aby jej się nie sprzeciwić, ale nie wierzą w cud. Nagle z ust ich wylewa się potok przekleństw—zwykły objaw radości u marynarzy.

Kapitan siedzi na posłaniu, przeciąga się i ziewa.

— Bagasse de troune de l'air... de pécaïre! — klnie Prowansalczyk.

— Hell damn me... no no... God bless you, captain!—woła Jankes.

Klaudja rzuca się mężowi na szyję.

— Jerzy! Jerzy! ukochany—szepce ze łzami—Ty żyjesz! Tyś ożył!

Kapitan Bez Szeląga, zdumiony temi wybuchami radości, nie może zrozumieć jej powodu.

— Co się stało? — pyta głosem drżącym. — Gdzie ja jestem? Czy mi się śniło, że mnie aresztowano, że siedziałem w więzieniu?

— Panie kapitanie—woła Prowansalczyk — wszystko to było. Niedosć na tem, pan umarłeś, zostałeś pogrzebany przez tych przeklętych Anglików... i oto zmartwychwstałeś. Prawda Johnny?

Jankes kiwał tylko głową, bo mu wzruszenie głos odjęło.

— Nie już nie rozumiem—mówił kapitan. — Pamiętam, zem usnął w więzieniu i oto budzę się tutaj...

— Tak, budzisz się wolny i żywy—dodała Klaudja rozpromieniona. Opowiem ci, jak to się wszystko stało i jakie przechodziłam tortury. Wyratowali cię przyjaciele nieznani. Jakiś fakir...

W chwili tej ukazał się ten, o którym była mowa.

— To on!—zawołała Klaudja,—wskazując Hindusa.

Za nim szło trzech ludzi, niosąc ubranie, broń i prowianty. Fakir przyłożył rękę do czoła i ukląkł przed kapitanem.

— Panie i władco—rzekł—jesteś wolnym i żywym. Ale nasz dług jeszcze nie spłacony. Masz groźnych wrogów... niebawem wykryją to schronienie. Musisz uciekać.

— Ależ ja nie wiem, gdzie jestem, w którą stronę mam się zwrócić.

— Polegaj na mnie, zaprowadzę cię w miejsce bezpieczne. Przebieraj się po indyjsku... prędeż... prędeż. Oto drogie kamienie... złoto. Pomimo twych bogactw, nie masz złamanego szeląga, ale skarby wtajemniczonych stoją dla ciebie otworem... możesz z nich czerpać, ile chcesz.

— A mój jacht?—pytał kapitan.

— Bądź spokojny. Anglicy nie będą mogli go zagarnąć. Najlepszy sternik w Indjach odwiezie go w miejsce bezpieczne. Spiesz się, panie, spieszcie się, bo wszyscy musicie się przebrać. Grozi wam większe niebezpieczeństwo od tego, które udało nam się zażegnać.

ROZDZIAŁ II.

Wszyscy Hindusami.—Na słonie.—Rama i Scindiah.—Chandernagor.—Niepokój przewodnika.—Czem jest b u n g a l o w.—Anglicy w podróży.—Ku bezpiecznemu schronieniu.—Zasadzka.—Wystrzały wśród nocy.—Przez dzunglę.—Biedny Rama!—Byłżeby to król Srebrny?

Przemiana była szybka i zupełna. Hrabia Solignac i jego żona przywdzieli stroje wschodnie. On owinał głowę turbanem ze wspaniałą brylantową egzetką nad czołem, włożył białą kaszmirową kurtkę, szytą złotem, wsunął olbrzymie białe szarawary, buty z ponsowego safjanu i opasał się szkarłatną materją. Dzięki czarnym oczom i brodzie, wyglądał istotnie na jakie indyjskie książątko.

Hrabina ubrała się w strój wspaniały, szyty perłami, który ją osłaniał od stóp do głowy i okrywał jej jasne włosy. W sąsiedniej sali przebierali się Marjusz i Johnny. Zamiast Prowansalczyka i Jankesa ukazało się niebawem dwu korpulentnych muzulmanów, uzbrojonych w kindżały, pistolety, jatagany.

Oddali wojskowy ukłon kapitanowi, który nie byłby ich inaczej poznał.

— Brawo Johnny! Brawo Marjusz! — zawołał Bez Szeląga.—Macie niezwykle zdolności aktorskie, moglibyście z powodzeniem wystąpić w jakiej operetce.

— Pan kapitan wygląda także na syna proroka, — zawołał Marjusz.—Pecaïre! możnaby przysiąc, że to jaki cesarz turecki albo arabski.

Wszyscy się roześmieli. Fakir był zdumiony i zgorzszony takim wybuchem dobrego humoru.

— Na miłość Boską, ciszej—zalecał.

Wyszli za nim, a oswoiwszy się z ciemnością, spostrzegli pod drzewami dwa słonie olbrzymie, każdy z nich miał przytwierdzoną na grzbiecie klatkę, zwaną h u d a h. Ozdobiona w kształcie minaretu, zasłonięta kosztownymi makatami, była przeznaczona dla kapitana i jego małżonki. Do obu klatek przystawione były bambusowe drabinki.

— To dopiero kawały potężne mięsa!—zawołał Marjusz, przyglądając się słoniom.

Cicho!—syknął fakir.

Na karkach słoniów przy samych uszach, siedzieli na oklep mahoutowie, czyli przewodnicy z żelaznymi haczykami w rękę do popędzania gruboskórych zwierząt.

— Te dwa słonie—mówił fakir—są najlepiej wytresowane w całym Bengalu. Ten, na którym ty zasiądziesz, sahib, zowie się Rama. Drugi, który nas powiezie, nazywa się Scindiah. Przekonasz się, sahib, jakie to stworzenie odważne, jakie wytrzymałe!

Kapitan wskoczył na drabinkę i dostawszy się po niej na grzbiet słonia, wyciągnął ręce do żony. Wspinała się bardzo zgrabnie, choć jej przeszkadzały szaty rozwiewne. Bez Szeląga posadził ją na poduszkach.

Tymczasem Johnny gramolił się z wielkim wysiłkiem, drabiną trzeszczała pod jego ciężarem; Marjusz wdrapał się na nią jak na maszt okrętowy, za nim wskoczył zwinnie fakir; odczepiono obie drabinki, złożono je wpół, zawieszono na hakach przy klatkach. Powoźnicy świsnęli, słonie puściły się cwałem. Scindiah szedł przodem.

Karawana dotarła niebawem do Dum-Dum, małego miasteczka, liczącego zaledwie pięć tysięcy mieszkańców, lecz słynnego z wyrobu kul, zadających rany nieuleczalne.

Noc była jeszcze ciemna, słońce miało ją rozjaśnić za kilka godzin dopiero. Słonie biegły brzegiem Hougli, między dwoma torami kolejowymi, z których jeden prowadzi do Dardżiling, czyli do granicy Sikkhimu, drugi do Burduan, a ztamtąd pajęczą siecią ogarnia całą zachodnią część państwa. Dzięki zdumiewającej szybkości i tresurze słoniów, przebywano po szesnaście wiorst na godzinę.

Hrabia Solignac i jego żona drzemali pod hudah, obaj marynarze spali snem twardym. Karawana przejechała mimo francuzkiego miasta Chandernagor, wznoszącego się po drugiej stronie Haugli. Jest to ostatni zabytek francuzkich zwycięstw w Indjach.

W pierwszej połowie ośmnastego wieku był to gród potężny, setki okrętów podtrzymywały w nim handel ży-

wiony. Potem miasto zniszczone przez wojny, opuszczone przez Francję, gnębione łami angielskimi, upadło zupełnie. Dziś liczy zaledwie 23,500 Hindusów, poddanych Francji.

O trzy kilometry od Chandernagor wznosi się Czinsura, dawna osada holenderska, w r. 1826 odprzedana Anglii za drogie pieniądze, a o półtora kilom. od tego miasta zbudowane jest drugie—Haugli; oba stanowią dziś jedną gminę o 35,000 mieszkańcach. Haugli zostało założone przez Portugalczyków w r. 1547, znało lepsze czasy; po przejściu w ręce Anglików upadło, tak samo, jak i Chandernagor.

Słońce ominęły te miasta i wkroczyły w dżungłę. Fakir począł się niepokoić. Co chwila spuszczał się po drabinie, przykładając ucho do ziemi i nasłuchiwał.

Wreszcie widnokrąg zabarwił się fioletem, potem purpurą. Słońce wschodziło.

Po przebyciu pięćdziesięciu wiorst bez wytchnienia, słońce stanęły dla odpoczynku przed szałasem, ukrytym wśród krzewów i powojów. Karawana znajdowała się w dzikiej dżungli. Na pięć mil dokoła nie widać było żadnej ludzkiej siedziby, oprócz tego szałasu.

— To bungalow Ramnagora — oświadczył fakir. — Przybyliśmy już na miejsce. Zsiadajmy.

Bungalow jest to rodzaj zajazdu, hotelu, karawanseraju, w którym podróżni na odludnych drogach znajdują przytułek i jadło. Zostały zbudowane i są utrzymywane przez rząd angielski na wszystkich traktach państwa kolonialnego. Obecnie koleje żelazne rugują te zajazdy, czyniąc je zbitecznemi. Niektóre są urządzone wygodnie, przeważnie jednak zawierają tylko żelazne łóżka z twardymi materacami. W każdym bungalowie jest kucharz, przygotowujący pożywienie dla podróżnych. Składa się ono zwykle z kury gotowanej w ryżu, z jaj kawy. Całodzienny popas kosztuje ze wszystkim pięć franków; byłoby to niedrogo, gdyby kura, oprócz kości miała jeszcze mięso i gdyby jajka były świeże. Kto nie chce przymierać głodem, ten musi brać w drogę prowizję. Anglicy, ludzie praktyczni, wożą ze sobą nietylko prowianty, ale i zastawę stołową, dywany, pościel,

wina, konserwy, korzystając tylko z czterech ścian bungalowu.

Przyjaciele kapitana, mimo pośpiechu, nie zapomnieli zaopatrzyć go w przedmioty niezbędne, a między innymi wzięli materace.

Podróżni byli tak zmęczeni, że spaliby nawet na ziemi. Posiliwszy się wszyscy, zasnęli w pokojach, szczelnie zamkniętych. Dzień przeszedł spokojnie, o zachodzie słońca wyruszono dalej ku zachodowi. Odległość pomiędzy zbiegami a ich prześladowcami zwiększała się znacznie, dzięki szybkości słońców.

— Gdzie nas wieziesz? — pytał kapitan swego tajemniczego przyjaciela.

— Obiecałem, że was dowiozę cało i zdrowo tam, gdzie punditowie rządzą wszechwładnie... do jednej ze starych świątyń, tak wielkich jak miasto. Panuje tam obfitość, spokój i bezpieczeństwo. Tam będziecie wolni od pościgu, albowiem policja angielska nie zna przejść ukrytych. Tam znaleźli schronienie nasi wodzowie pokonani i mogli żyć jeszcze długie lata.

— Czy to stąd daleko?

— Trzeba jechać ze cztery noce.

— A więc jedźmy! — rzekł wesoło Bez Szeląga. Oboje z żoną byli niezwykle wytrzymali na trudy podróży.

Druga noc upłynęła szczęśliwie. Następnego dnia zeszli im także w bungalowie, o zmroku wyruszono dalej. Zbiegowie byli już o sto sześćdziesiąt wiorst od Kalkuty. Oddawna pozostawili za sobą tor kolei żelaznej, wiodący z Bombaju do Barakar. Otaczała ich dżungla.

Nagle słoń Scindiah, idący na przodzie, stanął, nastawił uszy, zakrzywił trąbę, całym swoim zachowaniem objawił gniew i niepokój. Mahout popędzał, ale słoń nie ruszał się z miejsca. Po chwili mignęła błyskawica... z po za bambusów przydrożnych rozległ się wystrzał.

Scindiah raniony boleśnie, wydał okrzyk przeraźliwy. Po tym pierwszym wystrzale padł drugi i trzeci z obu stron.

Zbiegowie wpadli w zasadzkę. Parę kul wpadło do hudy. Oba słonie otrzymały postrzał, ich jęk rozbrzmiewał po pustyni.

Obudzeni ze snu podróżni, chwycili za broń i gotowali się do odpaciu napaści. Ale na nieszczęście nie mogli dostrzedz przeciwnika, więc zamiast strzelać na oślep i marnować naboje, czekali odważnie. Klaudja, uzbroiwszy się w mały karabin repetjerowy, siedziała nieruchomo, usiłując bystrym wzrokiem przeniknąć ciemności. Padł nowy wystrzał, Scindiach zachwiał się na nogach. Jednocześnie rozbrzmiał okrzyk:

— Śmiało, my boys, śmiało, mamy ich w rękę.

Na to hasło z po za bambusów wyłonił się oddział jezdnych.

Klaudja wzięła na cel jakiś punkt jaśniejszy i wystrzeliła. Padł koń, siedzący na nim jeździec osunął się na ziemię.

— Brawo,—zawołał kapitan,—podkreślając ten aplauz kulą z karabinu.

Marjusz i Johnny puszczała jeden wystrzał za drugim.

— Niech mnie piekło pochłonie — wrzeszczał ten sam głos, który wydał hasło. Słonie trzymają się jeszcze na nogach. Chłopcy, strzaskajcie im kolana!

— Ależ ja znam ten głos ochrypty — myślał Bez Szeląga, częstując kulą krzykacza.

Słonie są bardzo wytrzymałe na broń palną; od poci-sków morderezych chroni ich gruba skóra; należy godzić w ucho, w skroń lub w czoło, zaś wystrzał w kolano obezwładnia potężne zwierzę.

Słyszac ten rozkaz, fakir przeraził się, bo gdyby słonie zostały zwalone z nóg, podróżni byliby na łasce i niełasce napastników. Hindus głosem grzmiącym krzyknął na mahoutów:

— W dżunglę, dzieci.

Scindiach, ciężko ranny, jęczał przeraźliwie. Rama, podrażniony kilku draśnięciami, rzucał się, jak wściekły. Mahoutowie zacięli ich hakami i wpadli na zwartą masę jezd-

ców. Słonie ciskały trąbami, roztrącając przeciwników i po ciałach koni i ludzi wpadły w wysokie zarośla.

Rama biegł teraz przodem, Scindiah, kulejąc i jęcząc sunął za nim z widocznym wysiłkiem.

Fakir poganiał biedne zwierzę, bo wiedział, że jeśli stanie, to już z miejsca nie ruszy. Pędzono na oślep wśród wysokich traw i zarośli, wśród splątanych ljan, wonnych kwiatów i ziół stepowych. Słonie pędziły jak strzały, huda h podskakiwały na ich grzbietach, zaczepiały się o liście i gałęzie, pozostawiając na nich strzępy firanek i dywanowych osłon. Zbiegi ze śmiertelną trwogą czekali, rychło biedne stworzenia padną z wysiłku. Po całogodzinnym, niezmordowanym galopie, Scindiah runął na trawę z jękiem przeraźliwym. Dwaj majtkowie i fakir wypadli z huda h.

Rama stanął nad cielskiem towarzysza. Czterej mężczyźni podnieśli się z ziemi bez szwanku. Mahout, cały okrwawiony, przemawiał do Scindjah najśłodszy wyrazy, głaskał go po głowie, chciał go przywrócić do życia, ale nadaremnie.

Bez Szeląga tymczasem, korzystając z chwilowego spoczynku, szepnął do żony:

— Czyś nie poznała głosu, wydającego rozkazy?

— Zdaje mi się, że nie jest mi obcym.

— Ja go znam. Ten głos ma akcent amerykański, rzadki bardzo w tych stronach. Przysięgłbym, że naszym napastnikiem jest mój najgorszy wróg, Jankes, który ubiegał się o twoją rękę i nie może mi darować, że zostałem twoim małżonkiem.

— Więc sądzisz, że to Jim Silver?

— Tak; król Srebrny szuka odwetu.

Nagle rozległ się świst, jakby lokomotywy, a po nim trzask, podobny do druzgocących się wagonów.

Pierwszą myślą kapitana i jego towarzyszków było biedz na miejsce katastrofy, nieść ratunek nieszczęliwym, ale nie mogli się ruszyć, bo jeden słoń leżał, przeszyty kulami, z których jedna ugodziła go za uchem. Rama ociekał krwią, rany jego nie były niebezpieczne, ale bądź co bądź musiał wypocząć. Najboleśniej był postrzał w nogę. Nieszczę-

śliwe zwierzę potrzasało olbrzymią łapą, jak kot, gdy się sparzy. Przy świetle zapalonych pochodni, Klaudja dojrzała pierwsza silne nabrzmienie przy kostce. Krew wypływała strumieniem.

— Jerzy, czy nie możnaby tego bólu uśmierzyć? — rzekła do męża błagalnie.

— Zobaczę, spróbuję—odparł kapitan.

ROZDZIAŁ III.

Kapitan weterynarzem.—Przyjaciele.—Na miejsce katastrofy.—Wypadek kolejowy.—Pod rumowiskiem.—Rozum i zręczność słonia.—Patrycy i Mary.—Ocaleni.—Pod h u d a h.—Ucieczka.

Podczas gdy fakir przy pomocy Marjusza, Johnna i ma h o u t a próbowali odpić popręgi, przytwierdzające h u d a h do grzbietu martwego Scindjah, kapitan Bez Szeląga prosił żonę, by mu pottrzymała pochodnię i zbliżył się do Ramy. Dobył mały sztylecik z za pasa, szybko i zręcznie zanurzył jego ostrze w nabrzmiałość nad kolaniem ranionego zwierza.

Taka operacja była niebezpieczną dla operatora. Słoń, doświadczając silniejszego jeszcze bólu, mógł rzucić się na swego dręczyciela, stratować go w napadzie wściekłości. Ale Bez Szeląga liczył na rozum dzielnego stworzenia i nie zawiódł się w rachubie.

Rama, ukąszony ostrzem sztyletu, wydał ryk przeraźliwy, potem zadrżał, ale się na kapitana nie rzucił. Strumień krwi wypłynął z rany. Bez Szeląga zagłębił palec w otwór i namacał coś twardego. Była to kula, ugrzęzła pod kością; przygodny weterynarz póty wiercił, aż zdołał ją wydobyć. Przyciskała zapewne zwój nerwów, sprowadzając ból straszny, albowiem skoro tylko wypadła, biedne zwierzę doznało ulgi natychmiastowej. Rama przyłożył trąbę do rany, wciągnął krew, wypłuł ją; ponawiał ten manewr trzykrotnie, potem trąbą pogłaskał po twarzy i rękę kapitana, jak gdyby mu dziękował.

Ma h o u t był uszczęśliwiony. Oświadczył, że teraz jego słoń może biedz równie szybko, jak przed skaleczeniem.

— Panie — rzekł fakir,—ratując to szlachetne zwierzę, przywiązałeś je do siebie nazawsze. Będzie ci przyjacielem wiernym, jak pies.

Dzień zaczynał świtać.

Bez Szeląga i pani Klaudja nie zapomnieli przeraźliwego hałasu, który ich doleciał przed pół godziną, a po którym nastąpiła cisza grobowa. Oboje jednomyślnie postanowili udać się na miejsce przypuszczalnej katastrofy.

Biedny Scindjah już nie żył, Rama musiał wziąć na swój grzbiet jeszcze dwóch marynarzy.

Marjusz i Johnny nie chcieli zająć miejsca pod hudą, obok swego zwierchnika, mówiąc, że będą szli pieszo, ale Bez Szeląga przeciał dyskusję.

— Wszak mam prawo rozkazywać tutaj, tak samo jak na jachcie?—zapytał.

— Ma się rozumieć, panie kapitanie — brzmiała odpowiedź.

— A zatem rozkazuję wam usiąść pod hudah.

Usłuchali natychmiast. Przewodnik Scindjah i fakir szli pieszo, przeslizgując się, jak węże wśród zarośli. Mimo wielkiego pośpiechu, dotarli na miejsce po godzinie dopiero. Przewidywania Europejczyków były, niestety, słuszne. Zdarzyła się istotnie katastrofa kolejowa, tem groźniejsza, że stała się w głębi dżungli, pomiędzy dwoma odległymi stacjami, zdala od wszelkiej pomocy.

Dojechali wreszcie przed stos zwalisk, z pod których wydobywały się krzyki przeraźliwe. Lokomotywa sterczała kołami do góry, pod jej żelaznem cielskiem leżał mechanik angielski i palacz Hindus. Dokoła biegało kilku oszalałych ze strachu pasażerów, niezdolnych do niesienia ratunku towarzyszom niedoli.

Kapitan i jego towarzysze rzucili się na pomoc ofiarom.

— Ten pociąg wiozł samych wygłodzonych Hindusów—mówił Prowansalczyk —niema tu ani jednego białego. Jacy oni chudzi! Szkielety!

Dotychczas dzielni wybawcy dobywali z pod gruzów same tylko trupy zmiażdżone, okrwawione, straszne. Nagle dobieły się jęki z pod platformy. Głos młody błagał o ratunek po angielsku.

Bez Szeląga i Klaudja nadbiegli na pomoc. Kapitan chciał unieść róg platformy, ale choć był bardzo silny, nie mógł go nawet poruszyć.

— Johnny! Marjusz! do mnie—zawołał.

Wprzęgli się w trzech, ale nie zdołali dźwignąć ciężaru. A głosy dziecinne dobywały się z pod niego coraz żałośniej i coraz słabiej:

— Na pomoc, na pomoc!...

— Duszę się!

— Ratujcie mojego brata!... Patrycy odezwij się!... Już umilkł... już mnie nie słyszy...

— Patrycy!... To ja! Mary!... Litości... umieram... Boże, nie opuszczaj nas!...

Klaudja padła na kolana i modliła się gorąco, by Najwyższy pozwolił ocalić tych nieszczęśliwych.

Nagle kapitanowi błysnęła myśl zbawcza.

— Słoń!—zawołał.—Chodź-no tu, Rama.

Słyszając swe imię, wymówione przez człowieka, który mu sprawił taką ulgę, dzielne stworzenie podbiegło.

Bez Szeląga pogłaskał go po trąbie, przemawiał łagodnie, wskazując platformę i usiłując ją podnieść.

Rama patrzył i starał się widocznie zrozumieć, o co chodzi. Wreszcie czoło mu się sfałdowało, w oczach zapaliły się błyski. Domyślił się. Powoli, z niesłychaną zręcznością i siłą wsunął trąbę pod róg platformy i podniósł ją, jakby dźwignią.

Powietrze i światło przeniknęło do jamy, w której biedne dzieci były przywalone.

— Odwagi!—zawołał Bez Szeląga.—Odwagi!

Wsunął się pod platformę, którą słoń trzymał uchyloną o parę stóp nad ziemią, namacał drobną postać, wziął ją na ręce i podał Marjuszowi.

Był to chłopak zemdlony, jakby martwy.

Kapitan zanurzył się po raz wtóry w te czeluści i, wiedziony jękami, odszukał drugie ciało, wydobył je z pod gruzów i pieczy Klaudji oddał śliczną dziewczynkę jasnowłosą.

— Dziękuję, dziękuję—szeptało dziecko—ratujcie brata. Pod platformą nie było już nikogo.

— Dobrze, Rama, dobrze, możesz już puścić—rzekł kapitan do słonia, który dziwną zmyślnością odgadł, co znaczą te słowa, i bardzo ostrożnie postawił platformę na ziemi.

Poklepawszy rozumne zwierzę, Bez Szelağa zabrał się do cucenia chłopca; roztarł mu ręce, nogi i skronie, lecz nie zdołał przywrócić go do życia. Widząc to, dziewczyna wybuchnęła płaczem:

— To mój brat—żałowała się głosem złamanym.—Mój Boże, tyle nieszczęść, tyle nieszczęść!... Jaka pani dobra—mówiła do Klaudji, która dawała chłopcu do wążania sole orzeźwiający.—Myśmy bardzo biedni! Zostaliśmy sami... zamordowano nam matkę!... Jechaliśmy tym pociągiem do Peshaver, do naszego ojca, który jest oficerem w pułku Gordon... Pociąg wykoleił się... co było potem, nie wiem.

— Odwagi, drogie dziecię, — pocieszał ją kapitan. — Wszystko będzie znowu dobrze.

— Baczość, sahib, baczość!—zawołał nagle fakir.

— Co tam znowu?

Nadjeżdża pociąg ratunkowy, przywozi żołnierzy, policjantów, a zapewne i urzędników.

— Bezpieczniej uciekać. Jestem zanadto znany—rzekł kapitan.—Ale co zrobimy z temi dziećmi?

— Jak możesz o to pytać? — podchwyciła żywo hrabina. — Zabierzemy je z sobą. Patrz, ten mały wraca do życia.

Istotnie Patrycy podniósł powieki, piersi poruszyły się z lekka.

— Żyje! żyje! — zawołała Mary, chwytając rękę Klaudji i ciskając ją do ust.

Bez Szelağa wziął chłopca na ręce, wspiął się po drabinie i bardzo ostrożnie złożył go pod huda.

Potem przeniósł Mary. Pani Klaudja wspięła się szyb-

ko, za nią wbiegli Johnny i Marjusz, wreszcie fakir i przewodnik.

Hudah zapelniła się po brzegi. Mahout gwizdnął, Rama puścił się cwałem w dżunglę, pomimo ran, z których krew ociekała.

ROZDZIAŁ IV.

Indyjskie kasty.—Upadek człowieka.—Pundit Bikanel.—Nienawiść do dawnych towarzyszków.—Na usługach Anglii.—Król Srebra.—Jim Silver szuka odwetu.—Na wagę złota.—Pościg.—Chybiony napad. Spróbujemy znowu.

Indje, będące ojczyzną kast, są tem samem ojczyzną niewolnictwa. Pomimo usiłowań Anglików, celem zrównania tych szczebli społecznych, przetrwały one niezmiennie ze swemi przesadami, prawami, z całą swą tyranją. Chociaż Anglicy ogłosili równość wszystkich poddanych indo-brytańskiego państwa, ci poddani wszelako nie pragną się wyzwolić z pod jarzma kastowości.

W zasadzie są cztery wielkie kasty: 1-o braminów, z której wychodzą kapłani; 2-o ksatriyasów, czyli wojowników; 3-o waiegasów, czyli rolników i kupców; 4-o sudrasów czyli sług. Z tych kast zrodziły się tysiączne odłamy, wśród których niepodobna się połapać Europejzycowi. Przedstawiciele wszystkich warstw mają pewne przywileje i zażywają pewnego szacunku, wyjątek pod tym względem stanowią tylko parjasowie.

Słowo parja, w sanskrycie znaczy: po za obrębem.

Parjasowie stanowią zatem kastę, wykluczoną wszystkich kast. Są przeklęci, nieczyści, ich dotknięcie kała uprzywilejowanego człowieka tak dalece, że powinien się oczyszczać przez modlitwy i pokuty. Ów wstręt dochodzi do tego stopnia, że kapłani „dwukrotnie urodzeni dwidjasowie“, dla ukarania nawet nie mogą się ich dotknąć, bodaj kijem. Par-

jas to wyrzutek społeczeństwa tak pod względem fizycznym, jak i moralnym, tak samo, jak ludzie, na których rzucono wyklęcie w wiekach średnich, z tą jednak różnicą, że tamci, po zdjęciu z nich klątwy, mogli zająć dawne stanowisko. Tymczasem nieszczęśliwy Hindus, który się urodzi lub zostanie parjasem, jest przeklęty na zawsze.

Do tej warstwy należą nie tylko potępienicy, nie tylko parjasowie z urodzenia, ale i tacy, którzy z jakiego bądź powodu zostali wygnani ze swej pierwotnej kasty. Zatem utrata kasty jest dla Indjanina nieszczęściem największem. Zbyt długo byłoby opowiadać, za co pundita Bikanel, należącej do najdawniejszego i najszlachetniejszego rodu z kasty bramińskiej, spadł do rzędu parjasów.

Posiadał on wszystkie złe namiętności i dopuścił się był wszelkiej zbrodni, aby je zadowalnic; przebrała się wreszcie miarka i bramini wykluczyli go ze swej kasty.

Podobny fakt zdarza się bardzo rzadko i zazwyczaj wyrzutek kładzie kres własnemu istnieniu.

Ale Bikanel nie chciał pozbawiać się życia, uważając je za dobro najwyższe. Powiedział sobie, że może oddać swój rozum i spryt niezwykle na usługi Anglików, którzy wzamian dadzą mu środki do zadowolenia namiętności.

Bramini posiadają najstraszniejsze tajemnice tego tajemniczego kraju, podbitego wprawdzie przez Anglię, lecz nie zespolonego z nią żadnym węzłem. To też taka propozycja, jedyna w rocznikach zwycięstwa, została przyjęta skwapliwie.

Gdy spytano Bikanela, czego wzamian żąda, odpowiedział:

— Wysokiej pensji i miejsca w policji.

Anglicy nie zwykli się targować, gdy wchodzi w grę ich korzyści. Bikanel otrzymał odrazu pensję generałską i posadę zaufaną w policji tajnej. Mógł zadość uczynić swej zemście i swym najgorszym chęciom.

Dziki zwierz, po przyswojeniu, pała zwykle nienawiścią do całego swojego rodu, zażywającego swobody. Widzimy to na koniach i słońiach, które polują zajadle na swych braci.

Tak samo zdegradowany bramin Bikanel, skoro tylko przeszedł na żołąd Anglików, poprzysiął zemstę wszystkim kastom indyjskim, a zwłaszcza najstarszej i najdostojniejszej. Dzięki tej nienawiści, oddał znaczne usługi swym nowym panom i zyskał ich uznanie; powierzali mu sprawy z krajowcami, a wykazywał w nich zręczność szatańską. Umiał przebierać się i zmieniać twarz nie do poznania. Stał się niebawem tajnym doradcą głównego dyrektora policji.

Dramat, w którym lady Richmond utraciła życie, przejął go wielką radością. Cieszył się niewypowiedzianie, że będzie mógł zaspokoić swą nienawiść na pundicie Narin-drze. On to więc doradził zbezczeszczyć zwłoki winowajcy. Taka myśl nie przysłaby do głowy Anglikowi, on wiedział, że będzie to najgorszą karą dla całej kasty.

Kapitan Bez Szeląga, przeszkadzając tej profanacji, stał się tem samem znieprawdym przez Bikanela; poprzysiął mu zemstę, a żądza jej wzrosła jeszcze, od chwili gdy punditowie wzięli kapitana pod swą opiekę. Okoliczności sprzyjały wyrzutowi.

W dniu, w którym księżna Richmond zginęła z ręki bramina, Bikanel otrzymał wizytę pewnego jegomościa, który mu się przedstawił jako król Srebra.

Ów gentleman mógł mieć lat pięćdziesiąt. Wysoki, chudy, szpakowaty, mówił urywanemi zdaniem, stylem telegraficznym. Po akcencie łatwo w nim było poznać Jankesa czystej krwi. Tak się zaprezentował:

— Jestem Jim Silver — król Srebra... obywatel amerykański... wart dwieście milionów dolarów. Oto list od two-go zwierzchnika... przeczytaj.

— Ależ, mylordzie.

— Nie płacę za tytuły... nie jestem lordem... płacę za usługi, bardzo hojnie.

— Czem mogę służyć Waszej Ekscelencji?

— Kapitan Pennyless... król naftowy... obywatel amerykański... mój wróg... wygrał odemnie dwa miliony dolarów... ożenił się z kobietą, którą kochałem... Ja go chcę zgładzić... usunąć z mojej drogi... chcę poślubić jego wdowę...

— I mylord liczy na moją pomoc?

— Chcesz koniecznie nazywać mnie mylordem?

— Król amerykański może być conajmniej lordem w Indjach angielskich.

— All right. Tak, liczę na ciebie. Wiele żądasz?

— Naprzód chcę być osłonięty bezkarnością, bo przyjdzie mi popełnić niejedno wykroczenie przeciw prawu.

— Ja cię osłonię. Ile chcesz pieniędzy?

— Dużo, bardzo dużo...

— Dam więcej niż żądasz. Dam milion dolarów w dniu, gdy się ożenię z wdową po Bez Szelagu.

— Wasza Ekscelencja jest lordem prawdziwym—zawołał dawny bramin, olśniony wysokością nagrody.

— Przyznajesz?

— Z zachwytem... Co zaś do kosztów...

— Ja płacę za wszystko... Oto czek na sto tysięcy dolarów... płatny w National Bank.

— Dziękuję ci, mylordzie. A teraz niech się dowiem, gdzie przebywa wróg Waszej Ekscelencji?

— Płynie na jachcie pod nazwą Pennylesse... dziś w nocy zawinie do Kalkuty.

— Czy mylord jest tego pewien?

— Najpewniejszy. Opłynął Oceanję... Australję... Malezję... ma zabawić dłużej w Indjach... Moi agenci donoszą mi o każdym jego poruszeniu.

— A więc pozostaje mi kilka godzin dla obmyślenia planu. To wystarczy.

— Nie dbam, jak dojdiesz do celu, byleś doszedł.

— Mylord będzie zadowolony.

— Mieszkam Strand, Villa Princess... Przychodź do mnie trzy razy na dzień, albo przysyłaj raporty. Żegnam.

Długonogi gentleman wypluł na posadzkę przeżute liście tytuniowe, wyjął z kieszeni drugą ich paczkę, rozgryzł na dwoje, włożył do ust i wyszedł.

Jak dobry aktor, wcielający daną osobę, Bikanel, wszedł odrazu w skórę króla Srebrnego. Ów Pennylesse, nieznanemu zupełnie, w mgnieniu oka stał mu się wrogiem. Postanowił rzucić na niego podejrzenie, iż jest tajnym agentem francuzkim, wysłanym przez to mocarstwo dla zasiania

buntu wśród Afrydów, wypisał przeciw niemu oskarżenie, na mocy którego miano aresztować kapitana, skoro tylko jacht zawinie do portu.

Okoliczności sprzyjały nędznikowi.

Czytelnik pamięta zapewne szlachetną interwencję Bez Szeląga i pomoc, udzieloną Hindusom, gdy chodziło o wyrwanie z toni zbezczeszczonych zwłok Narindry.

Ten fakt, zręcznie wyzyskany i uzupełniony raportem, postawi odrazu kapitana i jego załogę w świetle podejrzanem wobec władzy angielskiej.

Wiadomo, co nastąpiło potem.

Lecz i punditowie czuwali z niezrównanem poświęceniem nad swoim wybawcą. Walka zaciekle toczyła się w cieniu. Kapitan zwyciężył, ale jakim kosztem? Jeden może Bikanel domyślał się prawdy, a mianowicie, że Bez Szeląga w posiłku, przyniesionym mu przez dozorcę, połknął nieświadomie płyn tajemniczy, jedną z owych trucizn, nieznanych zgoła Europejczykom, a tak niebezpiecznych, że dla zacycia jej trzeba okoliczności rozpaczliwych.

Bikanel dobrze się domyślał i w tym razie pomogła mu jego znajomość obyczajów, ale przeniknął prawdę zbyt późno.

Stało się to dopiero po pogrzebie. Był na nim sam, aby mózdz powiedzieć królowi Srebra:

— Widziałem na własne oczy, jak przywalono kamień grobowy.

Zdziwiony, że ani wdowa ani jej przyjaciele nie wychodzą z cmentarza, czekał cierpliwie, ukryty wśród ciemności. Dopatrzył, że grabarze wydobyli zwłoki i wynieśli je.

Poszedł zdala za tą gromadką i wraz z nią dotarł do tajemniczego schroniska, gdzie przywołano kapitana do życia.

Potem ujrzał dwa słonie, zobaczył pod przebraniem hrabstwo Solignac i dwu marynarzy.

Czekał na ich odjazd.

— Dobrześ się spisał, Berar, ani słowa—mruczał, wracając do miasta.—Ale sprawa pomiędzy nami nie skończona. Ze mną mierzyć się nie możesz.

Zamiast pójść uprzedzić o tem natychmiast dyrektora policji, kazał się zawieść do Villa-Princess, gdzie król Srebrny cieszył się już z góry nadzieją zwycięstwa.

Jim Silver widział się już małżonkiem pani Kludji. Bikanel oblał go zimną wodą.

— Pennyless żyje i jest wolnym. Uciekł z żoną i dwoma przyjaciółmi.

Król Srebrny ryknął z wściekłości.

— Hell da m i t y o u (Niech cię piekło pochłonie)—dałeś mu uciec...

— I cóżbyś pan na mojem miejscu uczynił?

— Palnąłbym mu w łeb.

— Jego obrońcy rozszarpaliby mnie na miejscu. Tacy nie zawahają się przed niczem.

Król Srebrny biegał po pokoju, klnąc przeraźliwie i zaciskając pięści.

Bikanel pozwolił mu się wyzłościć i wykrzyczeć, a gdy go ujrzał spokojniejszym, rzekł:

— Niema jeszcze nic straconego, przeciwnie, lepiej, że się tak stało. Ujrzysz pan zwłoki swego wroga i to niebawem.

— Powiedziałeś, że uciekł. Gdzie go szukać? Indje ogromne. Wpadł jak igła w kopę siana.

Bikanel roześmiał się i rzekł:

— Ludzie podróżujący karawaną na dwu słoniach nie giną jak igła. Za parę godzin wpadniemy na trop i wybierzemy chwilę stosowną, by na nich natrzeć skutecznie.

— Czy dasz znać władzom?

— Lepiej ich nie poruszać. Będziemy działali na własną rękę. Świat urzędowy utrudnia pościg.

— Jestem innego zdania.

— Gdybym zażądał pomocy policji, musiałbym całą prawdę powiedzieć. I na to przyjdzie pora stosowna.

— Well. Kiedy rozpoczniemy pogoń?

— Za kilka godzin.

— I ja się do niej przyłączę.

— Wasza Ekscelencja?

— Tak, ja; lubię tropić zwierzynę. Nie boję się niczego. Nie zarobiłem miljonów przy biurku. God by, zobaczysz mnie przy robocie.

— A więc rzecz postanowiona. Wyruszamy razem.

Stało się wedle tego programu. Bikanel powiedział to tylko, co uznał za niezbędne, czyli o wykradzeniu kapitana.

Otrzymał szerokie pełnomocnictwo, wybrał ludzi i nie tracąc chwili czasu, wyruszył w pogoń.

Łatwo było odnaleźć trop; zbiegowie, nie domyślając się, że są ścigani, nie zacierali śladów.

Bikanel i Jim Silver z orszakami pędzili za kalwakadą i wyprzedzili ją, podczas popasu w bungalowie.

Przygotowali zręczną zasadzkę, postanawiając zastrzelić słonie i pochwycić żywcem zbiegów.

Ostatni czuli się tem bezpieczniejsi, iż byli pewni, że Anglicy uważają Bez Szeląga za nieboszczyka. Jechali więc wesoło.

Jim Silver, niecierpliwy z natury i przyzwyczajony do komendy, mimo przedstawień Bikanela, nie chciał zwlekać z napadem.

Czytelnik pamięta, jak się skończył ów przedwczesny atak. Niepowodzenie nie zraziło jednak króla Srebrnego.

Zmuszony cofnąć się, myślał:

— To była pierwsza próba... Pennyless jest graczem nielada... zmierzmy się znowu... i zobaczymy, kto kogo zwycięży.

ROZDZIAŁ V.

Szalona ucieczka.—Panna Friquette.—Obozowisko.—Patrycy oplakuje swego psa.—Choroba Mary.—Fakir.—Febra dżungli.—Lekarstwo nieznane białym.—Nienawiść do Anglików.—Odmowa.—Berar Dusiciel.—Zwyciężony.—Morderca ocali dziecko swej ofiary.

Od chwili gdy te zdarzenia rozegrały się z piorunującą szybkością, zbiegowie nie mieli, rzecz można, czasu do zastanowienia się.

Jechali, uniesieni jakby huraganem, natłoczeni podhudah, która podskakiwała na grzbiecie Ramy. Olbrzymie zwierzę pędziło na przełaj, robiąc po dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Chwilami z pośród dżungli wyłaniała się wioska, zbiór szałasów; chude czarne dzieci bawiły się na drodze pospołu ze zwierzętami domowymi. Bawoły leżące w błocie, na widok słonia zrywały się przerażone i uciekały o tchu.

Biedni podróżni byli tak stłoczeni, że zaledwie mogli się poruszać i nie mieli ochoty do rozmowy. Chwilami jednak milczenie przerywał Marjusz, który nie tracił fantazji w najsmutniejszych nawet okolicznościach.

— Ot, myślę sobie—odezwał się nagle—jaka to szkoda, że panny Friquette z nami niema! Co też ona porabia?

— Jest zapewne w Paryżu u swoich rodziców—odparła pani Klaudja—wyczekuje tam skończenia wojny na Kubie, aby wyjść za swojego kuzyna, kapitana Robert i mnie też brakuje tej kochanej Friquette!

— A! pècaïrè! będzie ona gorzko żałować, że nie pojechała z nami. Miała przecie wielką ochotę, ale tylko nie chciała martwić rodziców. Byłaby się ubawiła setnie. Tyle przygód: krokodyle, aresztowanie, dusiciele, śmierć kapitana... wskrzeszenie... ucieczka... spotkanie z dziećmi... Jak będę ludziom opowiadał o tem wszystkim, gotowi mnie brać za łgarza! O! panno Friquette, szkoda, że cię tu niema!

Słoń pędził niezmordowanie. Wreszcie musiano mu dać folgę. Noc już zapadła, ucieczka była niemożliwa wśród ciemności. Zresztą brakło pożywienia i napojów.

Kapitan postanowił wypocząć w przydrożnej osadzie. Wyprawił po żywność fakira i poganiacza Scindji, padłego słonia.

Patrycy i Marja byli okropnie wyczerpani. Dziewczynka nie mogła się utrzymać na nogach, miała wypieki i czuła się bardzo słaba. Marjusz i Johnny rozwinęli kambadżyjski materac i dziewczeczka padła na niego, jak martwa.

Pani Klaudja usiadła przy niej, podniosła jej głowę rozpaloną i zwilżała jej usta sokiem, wyciskanym z młodej cytryny, którą przyniósł poganiacz. Kapitan zajął się Patry-

cym i starał się go rozerwać. Chłopak miał ciągle łzy w oczach, wreszcie rozplakał się.

— Wydam się panu dziecinny—mówił—straciłem matkę, przebyłem tyle ciężkich chwil, a obok rozpaczy w duszy, w sercu mojem jest jeszcze żal za naszym wiernym psem Bobem, który towarzyszył nam w drodze. Zginął pewnie w tej katastrofie.

— Nie dziwię się temu żalowi — odparł kapitan—można się przywiązać do zwierząt.

— I ja także płakałem za psem — wtrącił Marjusz. — Zresztą, kto wie, pański Bob odnajdzie się może.

Patrycy czuł serdeczną wdzięczność dla swoich wybawców. Pomimo przebrania poznał już, że nie są Hindusami, ale po ich akcencie domyślał się, że niema przed sobą rodowitych Anglików. Jeden tylko fakir, w którym poznawał Hindusa, budził w nim nieprzepartą odrazę.

Ten ostatni unikał też widocznie dwojga dzieci, czuł się jakby zmieszany ich obecnością.

Patrycy, ujęty dobrocią kapitana i jego żony, opowiedział im swe przygody, zwierzał się jak przed dawnymi znajomymi.

Mary mówiła z wielkiem ożywieniem, wreszcie z ust jej zaczęły padać słowa bezładne. Miała gorączkę.

Tymczasem Johny z bambusowych łodyg zbudował szatas i przykrył go liśćmi bananu. Ta praca zajęła mu godzinę czasu.

Hrabina de Solignac ułożyła Marję w tem schronieniu. Zaniepokojona coraz bardziej, przyzwała męża. Nadbiegł z Patrycym i Marjuszem.

— To dziecko bredzi... czoło rozpalone... puls przyspieszony... gorączka silna — mówiła pani Klaudja — a lekarstw niema... ani gramu chiny...

— Trzeba coś radzić—mówił kapitan zafrasowany.

— Biali nie mają lekarstwa na tę chorobę—bardzo groźno wtrącił fakir.

— Co też ty mówisz?

— Tylko prawdę, sahibie. To febra dzungli. Gdy biały jej dostanie, musi umierać.

Patrycy, słysząc ten wyrok śmierci, jęknął żałośnie.

— A czy wy macie lekarstwo na tę febrę? — pytał kapitan.

— Tak, sahib, mamy.

— Czy znasz ów środek?

— Znam... to jest właściwie: nie.

Mówiąc to, rzucił na chorą spojrzenie dyszące nienawiścią.

Kapitan odczuł jakąś tajemnicę, skinął na żonę i rzekł do fakira:

— Chodź.

Fakir poszedł za nim bez wahania. Gdy oddalili się o jakie pięćdziesiąt kroków, kapitan stanął, spojrzał Hindusowi prosto w oczy i rzekł:

— Ty znasz lekarstwo na chorobę, która może zabić to biedne dziecko.

— Tak, sahib.

— Przyrządzisz je zatem i wyratujesz dziewczynkę.

— Nie.

Bez Szeląga zbladł i ruchem mimowolnym chwycił za rewolwer.

Fakir dostrzegł to poruszenie i łagodząc swój ostry głos, rzekł pokornie:

— Sahib, mogłem ci być odpowiedzieć, że nie znam lekarstwa na febrę dżungli. Ale przysięgłem mówić prawdę, nigdy się kłamstwem nie spodzę... Teraz możesz mnie zabić... jestem twoim niewolnikiem... twoją rzeczą.

— A więc czemu nie chcesz mi być posłusznym? Dlaczego nie chcesz ratować tej dziewczynki?

— Bo należy do przeklętej rasy naszych ciemniźycieli... bo mój ojciec, moja matka, moi bracia... wszyscy moi zostali wymordowani przez Anglików... bo nie ma u nas ani jednej rodziny, któraby nie oplakiwała ofiary angielskiego okrucieństwa... bo sekta, do której należę, poprzysięgła śmierć Anglikom, bo na wewnętrzności białego bawołu zakląłem się tępić ich wszystkich.

— A jednak, fakirze, gdybym się odwołał do twojej szlachetności... gdybym zakołatał do twego serca... gdybym



Jam jest Berar (patrz str. 554).

wreszcie zniżył się do prośby, ja, który o nic nie prosiłem nikogo, gdybym cię błagał...

— Jesteś moim panem i władcą, masz prawo rozkazywać... a ponieważ ja usłuchać cię nie mogę, więc mnie zabij.

— Błagam cię, fakirze — szepnął Bez Szelağa, zadając gwałt swej dumie.

Fakir odskoczył w tył, przeszył Europejczyka spojrzeniem dzikiem i założył ręce na piersiach.

Stał tak przez chwilę; w piersiach jego toczyła się widocznie walka zacięta, wreszcie głosem ochrypłym zawołał:

— To ja zawiązałem na szyi sędziego Norton czarny fular Dusicieli. To ja zadusiłem w ten sam sposób sędziego Taylor. To ja, dla pomszczenia Narindry, udusiłem księżną Richmond... matkę... rozumiesz sahib... matkę tych dzieci... Jestem wodzem Thugów czyli Dusicielów z Bengalu... tak, ja jest Berar!

Bez Szelağa ani drgnął, słuchając tego straszego wyznania.

Nie objawił oburzenia, ani wstrętu. Głosem spokojnym odparł:

— A zatem, Berar, skoro zamordowałeś matkę, musisz wyratować dziecko.

Fakir wyciągnął rękę prawą i palcem suchym i czarnym wskazał rewolwer.

— Jam twój niewolnik—szepnął—życie moje należy do ciebie. Zabij mnie, Sahib.

— Odmawiasz?

— Nie mogę.

— Dobrze, Berar. Nie będę sądził ani twoich czynów ani pobudek, które je natchnęły... boś moim wybawcą... Ale rozstaniemy się na zawsze...

— Sahib, to niepodobna... muszę cię odstawić na miejsce... inaczej, [utrączę honor... co jest stokroć gorszem od śmierci...

— Nie przerywaj mi... Jestem cudzoziemcem... Francuzem... przedstawicielem szlchetnego narodu, który ukochał twoich braci Hindusów, który w obronie ich niepodległości

wylewał krew i złoto. A więc, fakirze, w imię ojczyzny, która broniła zawsze słabych, oświadczam ci, że życie moje, żony mojej i przyjaciół zespolone jest z życiem tych dwojga dzieci. Bronić ich będę przeciw wszystkim aż do dnia, w którym oddam je w ręce ojca. Idź, pozostaw nas losowi. Nie chcę usług twoich, ani twej drużyny... Zwalniam cię z przysięgi... zwalniam was ze wszelkich obowiązków wdzięczności wobec siebie. Nie spotkamy się już nigdy w życiu... Pozostaw nas wśród niebezpieczeństw i zasadzek. Wolę zginąć niżli dopuścić się niczemności. Pójdę do tej wioski, prosić będę zmiłowania nad tą biedną Mary. Tamci ludzie będą może litościwsi od ciebie.

Te słowa wzruszyły fakira do głębi duszy, jego fanatyzm stopniał, w tygrysyich oczach coś jakby łza zabłysła.

— Śmierć mści się nad tymi, którzy przysięgę krwi gwałcą...—szepnął. — Niech i tak będzie... Zgwałcę przysięgę i umrę, boś mnie przekonał, trafiłeś do mego serca. Przygotuję napój.

ROZDZIAŁ VI.

Fakir dotrzymuje obietnicy.—Groźny paroksyzm.—„Spiesz się, spiesz, fakirze, śmierć nadchodzi“—Napój.—Wdzięczność.—Ci, co zgwałcili przysięgę krwi.—Zdanie Marjusza o fakirze.—Ruiny miasta.—Pagoda.—Forteca.—Ocaleni!

A więc ów fakir, ów wierny przyjaciel, ów zbawca, pełen poświęcenia, to był Berar!

Tak, Berar Dusiciel, wódz Thugów, przed którym drżał cały Bengal! Ów nieubłagany wykonawca okrutnych wyroków, za którego głowę wyznaczono pięćdziesiąt tysięcy rupji.

Kapitan miał jedno tylko na myśli: ocalić Mary. Znajdował uzdrowiciela na tę nieuleczalną chorobę. Mało go obchodziło, że na sumieniu tego człowieka ciążył długi szereg morderstw, spełnionych nie dla zysku, lecz przez fanatyzm.

Gdy Berar, wzruszony słowami kapitana, obiecał swą pomoc, Bez Szelağa rzekł mu:

— Dziękuję ci, fakirze, za twoją obietnicę i mam nadzieję, że nie padniesz ofiarą dobrego uczynku. Tajemnicy twojej dochowam wiernie. Nikt z pośród naszej drużyny nie dowie się, żeś jest Berarem. A teraz spiesz się. Trzeba złemu zapobiedz.

Fakir skłonił głowę i rzekł:

— Pójdę zerwać zioła, które uleczą młodą Angielkę.

Uczył jak powiedział. W dwie godziny potem wrócił, niosąc na głowie pęk liści i korzeni. Przed odejściem wydał polecenia mahoutowi, który poszedł do wioski hinduskiej po rozmaite przedmioty, a mianowicie po garnek i tłuczek.

Za powrotem fakir zastał już ogień rozpalony i podsypany przez poganiacza.

Stan Mary bardzo się pogorszył, miała skórę suchą, usta rozpalone, język czarny, oczy mętne, rzucała konwulsyjnie rękoma. Obecni śledzili z trwogą postępy tej choroby. Źródłem jej, wyziewy z traw gnijących, które przenikają do krwi i zatruwają cały organizm. Ataki tej choroby bywają niekiedy niezbyt ostre, lecz uporczywe, w innych wypadkach gwałtowne, piorunujące.

Delta Gangesu jest ojczyzną tej febry, zmiatającej tyle ofiar. W Bengalu na sto chorych siedmdziesięciu pięciu dotkniętych jest febrą, a w całych Indjach przeciętnie umiera na nią trzy miliony ludzi.

Podczas gdy w Afryce, w Brazylii, w Gujanach, murzyni i przedstawiciele ras kolorowych są wolni od tej plagi, w Indjach pastwi się ona nad Europejczykami zarówno jak i nad krajowcami. W armji angielskiej, liczącej sześćdziesiąt tysięcy żołnierza, pięćdziesiąt tysięcy ludzi rocznie zapada na tę chorobę, a umiera dwa tysiące mniej więcej. W armji indyjskiej, liczącej sto trzydzieści pięć tysięcy głów, bywa rocznie po sto dwadzieścia tysięcy wypadków zachorowań i trzy tysiące śmierci, pomijając ataki febry w słabym stopniu, które tak się mają do febry ostrej, jak ból żołądka do cholery.

Straszna obawa miotła gromadką, zebraną dokoła Mary i śledzącą straszne postępy jej choroby.

Patrycy ukląkł i chwycił rękę siostry.

— Mary!... Mary! — wołał, zanosząc się od płaczu... — Błagam cię... Przemów do mnie.. spojrzuj...

Biedne dziewczę bredziło nieprzytomnie.

Bez Szeląga naglił fakira do pośpiechu.

— Prędzej! Prędzej! — wołał — śmierć nadchodzi.

Fakir posiekał kwiaty zioła i korzeni i wrzucił je do kipiącej wody. Trwało to z dziesięć minut, które ubiegły w śmiertelnej trwodze. Wreszcie wziął malutką filiżankę srebrną, napełnił ją odwarem i podał pani Klaudji, mówiąc:

— Proszę poić chorą małemi łykami.

Z niezmordowaną cierpliwością hrabina poczęła jej wlewać napój, mimo konwulsyjnych drgawek Marji.

W pół godziny chora wypila całą filiżankę.

Fakir stał i patrzył. Wreszcie rzekł:

— Nie zrzuciła lekarstwa... Poskutkuje... Za chwilę wystąpią poty... uśnie... jutro będzie zdrowa.

— Dzięki ci, dzięki, fakirze — zawołał Bez Szeląga. — Oceniam twe poświęcenie

Teraz dopiero kapitan spostrzegł, że fakir jest blady, że drzy jak liść.

— Dla ciebie, — szepnął — złamałem przysięgę.. Dziecko żyć będzie, ale ja zginę.

Po wypiciu czwartej filiżanki tajemniczego płynu, Mary dostała potów; trwały przez trzy godziny, następnie dziewczynka zasnęła snem kamiennym.

Nazajutrz obudziła się bezsilna, ale zupełnie przytomna; uśmiechała się do przyjaciół, uszczęśliwionych z jej uzdrowienia.

Pani Klaudja stała przy niej niby anioł stróż.

— O! pani! — szepnęło dziewczę — śmierć zaglądała mi już w oczy. Pani ją odpędziła.

— Nie, drogie dziecko, nie ja, lecz ów szlachetny fakir, którego nie znam nawet z imienia.

Panienska wyciągnęła do niego rękę i ze słodkim spojrzeniem rzekła:

— Przyjacielu, tyś mi ocalił życie... nigdy ci tego nie zapomnę... Weź moją rękę na znak wdzięczności i przyjaźni.

Ale fakir cofał się, jak gdyby na widok dzikiego zwierza.

Głos zamierał mu w ustach, sercem szarpały najsprzeczniejsze uczucia. Nie mógł sobie darować, że uległ prośbom, a jednak czuł się wzruszony tem, co uczynił. Uciekł do Ramy, który skubał soczystą trawę opodal.

Jeden tylko kapitan rozumiał, co się dzieje w duszy fakira; Marjusz widząc tę jego ucieczkę zawołał:

— Niezły to człowiek, ale ma ówieka w głowie, a może tylko pająka lub parę chrabąszczy.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, śmieli się, trochę nerwowo, jak ludzie, których musnęło skrzydło anioła śmierci. Zapominali nawet o wrogach, grożących im zewsząd.

Dziwnem było istotnie, że onegdajsi napastnicy nie ponowili napadu. Fakir w milczeniu, jak zwykle, czynił przygotowania do podróży.

— No, przyjaciele, w drogę—zawołał Bez Szeląga.—Etap będzie długi i ciężki, ale już ostatni. Za dwanaście godzin znajdziemy się w miejscu bezpiecznem.

Zbiegowie opuścili niebawem obozowisko, dążąc do schronienia, ofiarowanego im przez wdzięcznych punditów.

Ułożono Mary na miejscu najwygodniejszym, osłoniętem od słońca; kapitan i dwaj marynarze z karabinami w ręku byli w pogotowiu dla odparcia przeciwnika, gdyby się zjawił.

Szczęściem, te środki ostrożności okazały się zbyt czynnymi. Nieprzyjaciel nie zjawił się. Droga przeszła spokojnie. Krótco przed zachodem słońca, zbiegowie ujrzeli na wzniesieniu gmachy wspaniałe. Droga szła pod górę skalistą.

Po paru godzinach znaleźli się wobec ruin wyniosłych i wspaniałych. Te szczątki pałaców nie walały się jeszcze w gruzu, całe kolumny, portyki pozostały, nietknięte zębem czasu, kopuły i minarety strzelały jeszcze w górę.



Fakir cofał się, jak gdyby na widok dzikiego zwierza. (patrz str. 558).

Był to jakby kościotrup olbrzymiego miasta, arcydzieła przekwitłej cywilizacji muzułmańskiej, zniszczone brutalnie przez zwycięzców.

Te ruiny nie miały ani nazwy, ani mieszkańców. Susza panująca na wyżynach odstręczała ludzi od osiedlenia się tutaj. Wspaniałe wodociągi umarłego miasta świadczyły jednak, że obywatele jego w dawnych latach nie odczuwali braku wody. Spotykano też tu co krok cysterny do połowy napełnione. Jeden tylko gmach opiera się działaniu deszczów i promieni słońca. Olbrzymia budowla, z różowego granitu, nawpół klasztor, nawpół forteca, opasana murami, okolona rowem, najeżona wieżycami, słowem wspaniała okaz architektury średniowiecznej.

Jest to klasztor, a właściwie pagoda braminów, kwitnąca przed rokiem 1857, obecnie zamieszkała przez szczupłą zaledwie garstkę strażników.

Wszystko pozostało tam w porządku, lecz wszystko obumarłe lub drzemiące. To jakby pałac uśpionej królowej, do którego nikt nie może przeniknąć, oprócz punditów lub wtajemniczonych i fakirów. Te wrota nie otwierają się nigdy bez specjalnego pozwolenia.

Najprzód dlatego, że ta forteca jest własnością wspólną braminów, Anglicy umieją zaś szanować dobra kongregacji.

Powtórę, że jedynego wyjścia strzegą żelazne podwoje, rowy i zwodzone mosty, uniemożliwiające dostęp do tych murów.

Zbiegowie musieli zsiąść ze słonia. Weszli w korytarz w skale wykuty, za wązki, aby słoń mógł się przesunąć.

Uszedłszy ze sto kroków, nie więcej, znaleźli się przed drzwiami okutymi, stanowiącemi jakby całość z granitowym murem.

Słoń i poganiacz zostali w miejscu bezpiecznym. Fakir dobijał się do drzwi pięściami. Otworzyło się w nich okienko, a w niem ukazała się twarz, o dziwnie lśniących oczach.

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach i o higienie.

W okresie wielkopostnym nie uchodzi rozpraszać myśli czytelniczek „marnością nad marnościami“, jaką jest moda, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zatem nie samym strojom, lecz przeważnie ich zastosowaniu do higieny, niniejszą pogadankę poświęcę w nadziei, że mi to nie będzie za złe poczytanem.

Jak wiadomo, pierwsi ludzie, których ojczyzną były kraje podzwrotnikowe, chodzili zupełnie bez odzieży. W następstwie poczęto jej używać, ale służyła tylko za ozdobę, tak jak obecnie u plemion dzikich tatuowanie skóry, noszenie obręczy w nosie i uszach i t. d. Później malowano sobie przepaski na biodrach, następnie opasywano je tkaninami, co do dziś dnia służy za jedyną odzież plemionom podzwrotnikowym. I teraz ubranie stanowi tam ozdobę, czego najlepszym dowodem, że przy uroczystościach plemiona te wkładają więcej odzieży, niż na codzień, chętnie się z posiadania sutęj „garderoby“. Im bardziej ludzkość posuwała się na północ, tem uczuwała większą potrzebę odzieży, jako ochrony przeciw ostrości klimatu. To też, ze względów praktycznych powstały dwa rodzaje odzieży: tropikalny i arktyczny; kobieta okazywała większy pociąg do pierwszego, zaś mężczyzna do drugiego, którego cechą charakterystyczną są—spodnie. W miarę postępów kultury, nie same tylko względy praktyczne przewodniczyły w wyborze ubrań niewieścich: począł przeważać wzgląd na estetykę i obok strojów narodowych coraz bardziej rozwielała się moda. Dziś rządzi ona wszechwładnie z dużym nieraz uszczerbkiem

dla zdrowia, robiąc w niem zwłaszcza wyłom przez gorsety i... trzewiki. Przodkiem gorsetu jest pasek, wprowadzony w chęciach umartwiania ciała w XII i XIII stuleciu. Z począt-



Suknia plisowana z krótkim bolero.



Suknia wizytowa z wysokim paskiem i żuawką.

ku służył pobożności, zaś w następstwie—próżności kobiety i sprowadził wykoszlawienia i przekształcenia w ich budowie. Jedyne rozsądnem zadaniem gorsetu powinno być

zabezpieczenie bioder od sznurków i tasiemek. Trzewiki działają szkodliwie na organizm, gdy mają wysokie obcasy, (niestety, po kilkoletnim wygnaniu poczynają one znowu wracać na horyzonty damskiej niedorzeczności), przez gorset wydłuża się jama brzuszna, skraj miednicy oddala się od żeber dolnych; powoduje to obniżenie i zwątlenie tych organów, a że przytem gorset źle działa na żebra górne, żołądek, wątrobę i serce, stąd wiele chorób kobiecych i zabu-



Suknia sukienka spacerowa z szeroką tasmą.

Suknia wiosenna spacerowa z żakiecikiem.

rzeń w narzędziach trawienia. Dwa razy tylko w historii strojów kobiecych europejski świat niewieści wziął rozbrat z gorsetem i z wysokimi obcasami, a mianowicie w pierwszej połowie siedemnastego wieku; ale po pierwszym z tych okresów nastąpiła gwałtowna reakcja, zaś po drugim cały ciężar odzieży kobiecej przeniesiono z ramion na biodra, za-

dając tem wielką szkodę zdrowiu *). Z radością przychodzi mi jednak zaznaczyć, iż nawoływania lekarzy poczynają odnosić skutek.

Moda staje się posłuszną głosowi rozsądku. Po wielu latach, ba, wiekach, postęp wtargnął i do tej dziedziny, dostępnej najczęściej pomysłom dziwacznym. Otóż w imię



Suknia od zimna.

Staniki do sukien wiosennych.

nauki i higieny zapadł wyrok banicyjny na dotychczasowe gorsety. Te narzędzia tortury dla niejednych, a dla wszystkich narzędzia zwyrodnienia najpożyteczniejszych organów ma zastąpić sznurówka, licząca się ze zdrowiem i ze względami estetyki. Wypuszczono naprzód w świat tak zwany gorset medyczny, odpowiadający niewątpliwie ideałowi leka-

*) Wyjątek z odczytu etnologa dr. Stratz z Haagi, wygłoszonego w berlińskim Towarzystwie antropologicznem.

rzy, ale bynajmniej wymaganiom kobiet. To też one z małymi wyjątkami, odwróciły się od niego ze wstrętem. Przy takim gorsecie można było nosić jedynie bluzki luźne, marszczone i spódnice w kształcie worków. Lekarze mają tak słabe pojęcie o modach! Szczęściem zastąpili ich na tem polu rzeczoznawcy. Fabrykanci gorsetów, widząc, że trzeba się liczyć z postępem, zaczęli obmyślać nowe fasony i w krótkim czasie wyprodukowali kilka „typów“, nie pozostawiających wiele do życzenia pod względem zdrowotności,



Suknia wiosenna. Suknia spacerowa
z rękawami bufiastemi.

i formy zewnętrznej. Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że wszystkie gorsety mają brykle już nie wklęsnięte lecz proste, zresztą brykla wychodzi coraz bardziej z użycia, ustępując miejsca fiszbinom, elastyce, włosieniowi i t. d.

Cienkość figury ponosi pewien szwank na rzecz poważniejszych korzyści.

Oto kilka wzorów, mało jeszcze u nas wyrabianych, które jednak same panie klientki mogą rozpowszechnić, domagając się o takie fasony w fabrykach i magazynach.

Wszystkim osobom szczupłym i wątlým zalecam gorset kauczukowy, rozciągliwy i miękki bez brykli, z samemi tylko fiszbinami. Przy dobrym kroju, taka sznurówka nie szpeci bynajmniej kibici, nadając jej giętkość pożądaną.

Panie o dużych, płaskich biodrach dobrze zrobią, obstalując sobie inny typ gorsetu: u góry stanik satynetowy na fiszbinach, poniżej pasa elastyka jedwabna szerokości pół łokcia; taka elastyka zaokrągła figurę.

Będą także noszone gorsety leniuszki z ramiączkami, sznurowane z tyłu, na przodzie jednolite. Inne znowu gorsety zapinane są z przodu na guziki i ściągane patkami, idąciami od tyłu ku przodowi. Dla osób, nie znoszących ucisku klatki piersiowej, obmyślano gorset dość wysoki z tyłu, zakończony na przodzie jakby niskim bawetem. Wogóle gorsety wysokie z przodu już się zupełnie przeżyły. Dziś mo-



Fasony kapeluszków wiosennych.

da nie uciska, nie przeistacza kształtów, lecz pozostawia im zarys przyrodzony.

Wprowadzenie gorsetu higienicznego, bez wcięcia z przodu, spowodowało zupełną zmianę w fasonie staników; powracamy do kroju bluzkowego, do luźnych draperji. W najstrojniejszych toaletach, nawet ślubnych, stanik bywa z przodu marszczony, bufa spada poniżej pasa. Coraz bardziej wchodzi też w modę zaboty, koronki, chusteczki *à la Marie Antoinette*, duże węzły i kokardy, a wszystko to, by ukryć brak „wcięcia“, z którym się jeszcze oko nie oswoiło. Sprzyjają też nowemu krojowi gorsetów bardzo rozpowszechniane *bolera* coraz krótsze, uzupełnione szmizetkami zmarszczonemi i szerokim paskiem, rodzajem baweciku, w toaletach strojniejszych przyozdobionego szarfą. W zakresie spó-

dnie rozpanoszyły się fałdy. Ta ich przewaga tyraniczna zmusiła do użycia tkanin lekkich. Toalety przejściowe, tak zwane *demi-saison*, robione są z kaszmirów, *drap-mousseline*, wełnianej *crêpe de Chine*, naśladującej do złudzenia jedwabną. Coraz częściej można też spotkać kraty, w szkockich tartanach, używanych na ulicę i do podróży. Uprzywilejowanymi kolorami są: błękitny i ponsowy.

Pożądany zwrot nastąpił co do długości sukien: na wiosnę i latem nie będziemy już pomagały stróżom zamiatać



Palto sakowe
wiosenne.

Suknia spacerowa
z otwartym żakiecikiem.

ulic, nie będziemy w ogrodach publicznych wzniecały kłębów kurzawy. Spódnice nie będą się wlokły z przodu, z tyłu i po bokach, lecz sięgaly ziemi zaledwie.

Wogóle moda staje się rozsądniejszą: nie poprzestając na wyzwoleniu nas z pęt gorsetu, zrzuca nam z szyi obrozę, zwaną wysokim kołnierzem, który nietylko zmieniał przyrodzony zarys szyi, ale co gorzej, przez skrępowanie mięśni i nerwów, osłabiał wzrok i zabarwiał nosek — purpurą. Od obu tych niebezpieczeństw ochronią nas w niedalekiej przyszłości kołnierze, odsłaniające szyje prawie zupełnie.

Dzięki postępowi i szerzeniu się wiedzy, nawet modniarki i krawcy zrozumieli, że odzież nie powinna tamować obiegu krwi, jak to czyniły dotychczas wysokie kołnierze i gorsety. Może niebawem i same hołdowniczki mody w wyborze tkanin i fasonów kierować się zaczną względami na zdrowotność. W tym celu należy zaglądać nie tylko do żurnalów, ale i do książek, traktujących o higienie. Wskażą one, jakie tkaniny zabezpieczają najlepiej od zimna lub gorąca, zwrócą nas na drogę prostoty, obrzydzą nam mody niedorzeczne, przeciwne naturze, krępujące swobodę ruchów. Kobiety nic nie stracą, gdy zechcą słuchać głosu rozsądku, który nie jest wcale w sprzeczności z dobrym smakiem. Rolą higieniczną odzieży jest chronić nas od zbyt silnego działania atmosferycznego i nie dopuścić do utraty przyrodzonego ciepła.

Odzież nie powinna uciskać żadnej części ciała, bo to sprowadza zaburzenia w cyrkulacji krwi; higieniści powstają nie tylko przeciw gorsetom i wysokim kołnierzom, ale i przeciw podwiązkom, noszonym pod kolanami, przeciw ciasnemu obuwiu, a nawet ciasnym rękawiczkom.

Odzienie powinno się także stosować do wieku. Niemowlę potrzebuje dużo ciepła, gdyż wąty jeszcze organizm nie jest na chłód odpornym; potrzebuje też poruszać się ciągle, zatem jego odzież bywa luźna, lekka i ciepła. Higjena potępia stanowczo powijaki, krępujące swobodę ruchów i tem samem tamujące regularny obieg krwi; natomiast zaleca pieluszki z białego moltonu. W miarę jak dziecko rośnie, trzeba je hartować, ale bardzo powoli i ostrożnie, badając organizm, bo stosowanie zasad higienicznych naoslep może niepowetowane szkody wyrządzić. Starzec, tak samo, jak i dziecię, potrzebuje ciepła, albowiem przyrodzony ciepłik organizmu już się wypalił.

Zbytecznem zalecać czystość odzieży, każdemu wiadomo, że to pierwszy warunek zdrowia, a kto przeciw tej zasadzie wykracza, nie zmieni zgubnego nałogu, choćby przeczytał nie wiem ile artykułów o higienie. Smutne to, ale prawdziwe.

Łóżko jest poniekąd naszą odzieżą nocną, jest ono także „ubranie” chorego, to też należy dbać nie tylko o wygodne, ale i zdrowe pościelenie. Higjena zaleca materace uginające się i odporne zarazem, sprężynowe są daleko lepsze od sienników, w które się ciało wtlacza. Wszelkie pierzyny i puch sprowadzają transpirację, to też są stanowczo potępiane przez higienistów. Głowa powinna leżeć o 10 — 25 centymetrów wyżej od nóg, chroni to od zbytńskiego przyływu krwi do mózgu i od snów niespokojnych. Nie nale-

ży jednak używać więcej, jak dwie—średnio twardych poduszek. Dla dzieci jedna poduszka wystarcza. Niezdrowo jest sypiać w alkowach lub po za frankami, tamującami dostęp powietrza. Co rano łóżko powinno być przesłane starannie, zaleca się wyjmowanie materaców i o ile możliwości przewietrzanie jaknajczęstsze pościeli.

Na tem kończę swą pogadankę, obiecując więcej szczegółów toaletowych na przyszłą, gdy wiosenne mody się ustalą i post przeminie.

E. Żmijewska.

Mazurek lub Torcik białkowy.

10 białek pozostałych od jajek ubić na bardzo sztywną pianę: pół funta słodkich migdałów tylko obtartych o serwetę utrzeć na tarce, dwie skórki pomarańczowe smażone w cukrze lub kawałek cykuty pokrajać w kostkę. W ubitą pianę wsypać pół funta przesianej mączki cukrowej (pudru) sypiąc po łyżeczce i ciągle bijąc dosypać łyżeczkę mąki kartoflanej, wymieszać i zaraz wsypać owe tarte migdały i skórki pomarańczowe, wymieszać dobrze i prędko włożyć w pokrywę od rondla, płaski rondel masłem wysmarowany, zresztą w formę blaszaną i wstawić w miernie gorący piec na 20 minut, wyrośnie i będzie wyborny. Formę wysmarować masłem.

L. Cwierzakiewicz.

Kartofle po jułjańsku.

Bardzo trudno mieć dobrze upieczone kartofle w łupinach. W popiele zawalane, na węglach przypalone, w piecu kuchennym twarde. Otóż podaję tu dwa sposoby wyborne, czy to w łupinach czy obrane. Obmyte i obtarte średniej wielkości, położyć na gorącej blasze, przykryć rondlem, którym należy często poruszać, aby tym sposobem kartofle piekły się ze wszystkich stron, lecz wcale go nie unosić tylko poruszać ciągle posuwając. W małe pół godziny, stosownie do ognia i wielkości, będą wyborne. Również dobre są obrane i osypane mąką żytnią podsitkową, a następnie solą, ułożone na blachę i wstawione w gorący piec, w godzinę będą upieczone, a uformowana przez mąkę i sól skórka jest bardzo smaczna.

L. Cwierzakiewicz.

Sprostowanie.

Na str. 386 w wierszu 8 od dołu mylnie wydrukowano w części nakładu Euleterja, — powinno zaś być *Eleuterja*.

ROZMAITOŚCI.

Ogród sułtański.

czyli

Głowa nieszczęsnego Ibrahima.

Sułtan marokański przywołał niedawno nadwornego ogrodnika Ibrahima i rzekł doń te słowa:

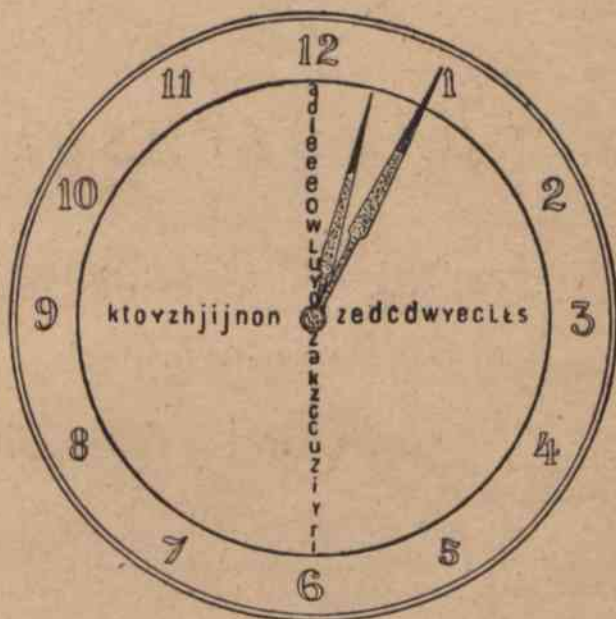
„Ibrahimie, doszło do mej wiadomości, że sułtan turecki posiada ogród, w którym jest 9 prostych, jak strzała, aleji i 9 fontann tak doskonale rozłożonych, że na każdej alei stoją 3 fontanny. Rozumie się, że fontanny stoją na przecięciach, i tym sposobem jedna fontanna liczy się do kilku aleji, przecinających się w tym punkcie. Masz, Ibrahimie, założyć mi ogród, w którym będzie 10 prostych aleji i 9 fontann, a na każdej aleji mają stać 3 fontanny. Jeżeli za rok rozkaz mój nie będzie spełniony, to możesz śmiało sprzedać swój turban, gdyż zaprawdę nie będziesz miał na czem go nosić.“

Tyle rzekł sułtan, a nieszczęsny Ibrahim poci się od tej pory nad planem ogrodu, ale nic nie może wymyśleć. Gdyby kto nadesłał nam plan ogrodu (aleje możnaby wyobrazić liniami, zaś fontanny kółkami), to wydrukujemy ten plan w Miesięczniku, aby Ibrahim, który pilnie czytuje nasze pismo, mógł zeń skorzystać i tym sposobem uniknąć ucięcia głowy.

Ciekawy zegar.

Zegar, przedstawiony na rysunku naszym, a będący wynalazkiem pewnego majstra genewskiego, chodzi 12 godzin i wydzwania

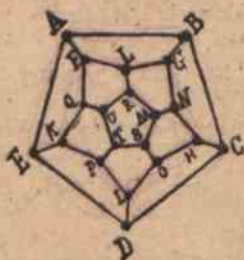
kwadrans. Po każdym biciu, czyli co kwadrans, za pomocą odpowiedniego mechanizmu pokazuje się litera na linii, prowadzącej od środka cyferblatu do cyfry, wskazującej wydzwoniony kwadrans. Po upływie 12-stu godzin, litery znajdujące się na cyferblacie, złożą zdanie. Odczytanie ukrytego zdania nie jest zbyt trudnem, w każdym razie dla ułatwienia podajemy parę objaśnień.



Litery pokazują się w tym samym porządku, w jakim składają zdanie i podług pewnej reguły dla każdej linii — połączywszy litery po porządku, linjami prostymi, otrzymamy oiekawą, regularną figurę. Zegar zaczyna iść ściśle o godz. 12 min. 1.

Gra Hamiltona.

Na pewnej wyspie jest 20 miast. Aby nikomu nie zaprzętać głowy nadmiarem nazw, oznaczyliśmy je literami A, B, C i t. d. Po między miastami są przeprowadzone drogi żelazne. W każdym mieście za tanie pieniądze dostanie bilet kolejowy, za którym można objechać wszystkie miasta, ale 1) niewolno przejeżdżać dwa razy przez jedno, 2) potrzeba powrócić do tego miasta, z którego się wyjechało.



Są to bardzo niesłuszne przepisy, ale musimy je spełniać, bo innej rady niema. Jakże tu jechać, jeżeli się wyjechało np. z A?

Nieraz się zdarza, że jaki pasażer nie ułoży sobie od samego początku planu podróży i rżnie, nie pytając przez jakie trzy, albo cztery miasta, i później trudno mu tak wymiarkować, żeby spełnić przepisy. Jeden np. wyjechał z A i przez F, L, R dojechał do U; jak ma nieborak jechać dalej?

Szarada.

Gdy chcesz uniknąć *pierwszych*, czytelniku,
 Niech cię nie nęci krzywda i rozpusta...
 Gdy *pierwsze trzecie* trzymasz przy stoliku,
 Trzymaj na wodzy oczy swe i usta!
 Cofa się *pierwszy*, gdy się wspak go czyta —
Druga zaś — każdy, tak mówi o sobie
Trzecie lubemu powtarza kobieta
 A w gramatyce znajdź powyższe obie!
 By historyka pozór mieć, nie sławę,
Czwarte i *trzecie* dobrze miej w pamięci
 I cytuj często, choć to nie-oiekawe
 I starszych niewiast bynajmniej nie nęci...
Wszystka, uniósłszy silne, kształtne dłonie
 Stoi, zazwyczaj, oparta o mury
 Przy bramie, oknie lub też przy balkonie
 I... Dziś już wlaźła do literatury.

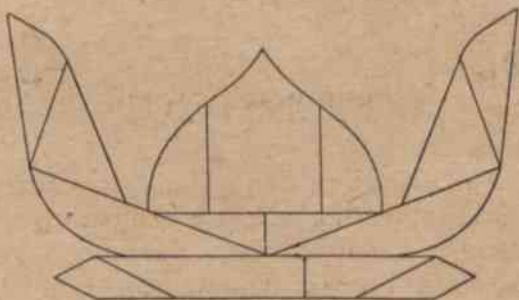
Rozwiązania

Tajemnicza ucieczka.

1-o Wszyscy więźniowie są na górze, kula na dole; 2-o Alwar zjeżdża, kula wjeżdża; 3-o Pedro zjeżdża, Alwar idzie w górę; 4-o kula zjeżdża; 5-o Pedro i kula wjeżdżają, Ruy zjeżdża; 6-o Kula zjeżdża; 7-o Alwar zjeżdża, kula wjeżdża; 8 Pedro zjeżdża, Alwar idzie w górę; 9-o Kula zjeżdża; 10-o Alwar zjeżdża, kula idzie w górę. Wszyscy więźniowie na dole, na wolności.

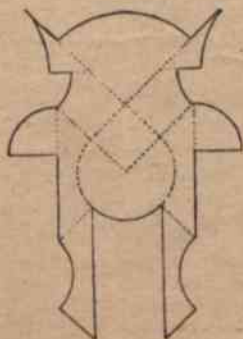
Rozwiązanie nadesłali: J. Sz—wicz z Warszawy, C. Nowakowski z Łubińska, Franoiszka Chwatt z Wielunia, H. Birenoweig i A. Birencweig z Sulejowa, A. Krawczyk z Grodziska, W. Dąbrowski z Końskiego, Olgierd Jodko, W. Jankowski z Janowa, Wł. Kibort z Staromyśla, B. Skirmuntt (junior) z Welatycz, J. F. Uhle z Zawiercia, Józefa Lisowska z Nowoświęcian, M. Andruczys z Łomży.

UKŁADANKA.



Rozwiązanie nadesłali: A. T. Karpiński z Warszawy, Kazimiera Araszewska z Chełma.

Wyciąć pana.



4 rb. w roku bieżącym, 4 rb.

rocznie w Warszawie.

1900-ym

rocznie na prowincji.

„Kurjer Polski”

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Cena „Kurjera Polskiego” w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim” od Nowego Roku wychodzi:

„MIESIĘCZNIK” ILLUSTROWANY,

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera”.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego” (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

4 rb.

WARSZAWA

4 rb.

rocznie na prowincji.

Marszałkowska № 141.

rocznie w Warszawie.

Zeszytem niniejszym kończy się kwartał pierwszy „Miesięcznika Kurjera Polskiego”. Celem uregulowania nakładu prosimy Sz. Prenumeratorów o spieszne nadsyłanie przedpłaty na czas następny. Ktoby życzył sobie otrzymać 3 zeszyty Miesięcznika za kwartał 1-szy, niech zechce nadesłać na koszt przesyłki rekomendowanej 49 kop.

Treść naszego rebusu z zeszłego numeru.

Naszego „Polskiego Kurjera”, kiedy tani, dobry i ilustrowany wszyscy trzymać powinni.

Rozwiązanie nadesłał. A. Krawczyk z Grodziska, Olgierd Jodko.

Broszurowano w Zakładzie Galanteryjno-Introrigatorskim i Broszurowni HENRYKA MEYERA Marszałkowska № 141, m. 27.

Дозволено Цензурою Варшава 15 Марта 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**

OSTATNIE WYDAWNICTWA

Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE.

BAŁUCKI MICHAŁ. Pamiętnik Munia, powieść	1,90
DUBIECKI MARJAN. Kudak. Twierdza kresowa i jej okolice. Monografia historyczna. Wydanie nowe, przejrzone i powiększone	1,—
— Obrazy i studia historyczne. Serja II.	2,—
GLIŃSKI KAZIMIERZ. Krzywda, powieść	1,50
— Wybór poezji, z portretem autora. Wydanie wytworne rub. 1 90 w oprawie	1 70
GRUSZECKI ARTUR. Dla miliona, powieść	1,20
HOESICK FERDYNAND. Szkice i opowiadania historyczno-literackie	2,40
KACZKOWSKI ZYGMUNT. Wybór pism, z przedmową Ig. Chrzanowskiego, w 10 tom rb 5, w op. 7,—	
KOCHANOWSKI JAN. Wybór pism, z portretem poety według obrazu J. Matejki. Wyd. miniaturowe, rb. 1.— w ozdobnej oprawie	1,50
KRASIŃSKI IGNACY. Wybór pism, z portretem autora. Wyd. miniat rb. 1.— w ord. op.	1 80
KRECHOWIECKI ADAM. Najmłodszy. Powieść. Wyd. II 2 tomy	2,—
OR-OT (Artur Opman) Wybór poezji. Wydanie wytworne rb. 1, w oprawie	1,40
ORZESZKOWA ELIZA. Argonauci, powieść 2 tomy	2,—
SIEKOSZEWSKI WACŁAW. Brzańsk. Puszcza Białowieska Grecka saszka. Dno nędzy.	1,40
STARZYŃSKI LEOPOLD. Z gawęd starego myśliwca	1,50
— . . . z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych. Książka zbiorowa poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin. Z rycinami i wizerunkiem poety	2 40

BIURO TECHNICZNE

J. ZABOKRZECKI i S-ka

Warszawa, Zielna № 6



Poleca między innymi:

LOKOMOBILE

z kotłami rurowymi wysuwanymi fabryki Garret Smith & Co.

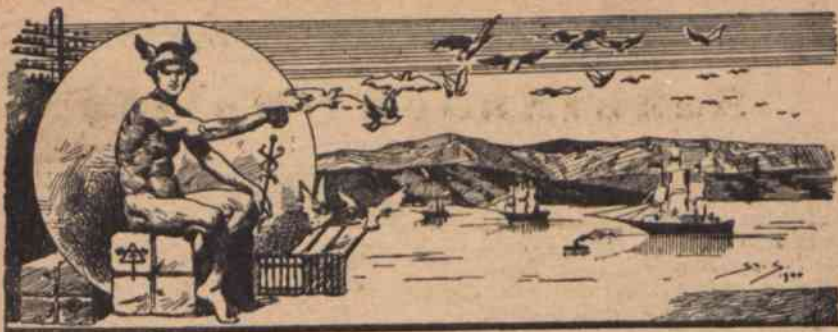
MOTORY „HILLE“ (oryginalne)

gazowe, naftowe, benzynowe i acetylenowe.

TORFIARKI

Maszyny do cegielni

Wszelkie instalacje elektryczne.



Pan Zagłoba o miodzie.

„—Świnina była na obiad, to miód będzie grzeczniejszy.“

Temi słowy Imć Pan Zagłoba odpowiedział pani Skrzetuskiej, kiedy gościa swego po obfitym obiedzie spytała, czegoby się napić pragnął, dębniaczka, czy miodu? A jako że był znawca wyborny i smakosz na staropolski trunek wielki, więc i gatunek dostał mu się przedni. „W chwilę pacholik przyniósł pod lipę gąsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

— Wiedział Pan Bóg, dlaczego pszczoły stworzył—mruknął pod nosem.“

Nie zawsze jednak pan Zagłoba zadawał się skromną szklanicą słodkiego płynu. Kiedy go stary bondar prosił, żeby obecnością swoją zaszczycił gody weselne czarnobrewej córki Keeni, Imć Pan Zagłoba wyświadczył mu ten honor. Wyruszył razem z molojcami do futoru, razem pił, tańczył nawet, „tem tylko zacość swego urodzenia dystyngując, że nie kwarta, ale półgarucówką pił przed drzwiami“.

A Imć Pan Zagłoba staropolski ten trunek nie tylko nad wszystkie rad preferował, chętnie mu pierwszeństwo przed innymi, ba nawet przed węgrzynem, dając, ale i wielką dlań czuł estymę. Gdy na tychże godach Keeni bondarówny molojcy, widząc chmurę na czole

pana Zagłoby, zapraszali go, by szklanicą miodu troszkę z czoła odpędził, on „nie rozchmurzył się odrazu—nawet gdy mu dano kwartę miodu, mruczał jeszcze z cicha:— „A szelmy, a łajdaki!“

„Wreszcie podniósł głowę i mrużąc oczy, mlaskając wargami, począł smakować trunek—następnie zdziwienie, ale i oburzenie odbiło się na jego twarzy.

— Co to za czasy!—mruknął.— Chamy taki miód piją. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?“

Imć Pan Zagłoba nie stanowił jednak w sprawach „miodowych“ jakiegoś niezwykłego wyjątku.

Miód należał w ogóle do trunków najbardziej w Polsce lubianych i, z uwagi na nieszkodliwe swe w porównaniu do innych napojów właściwości, wysoko cenionych. W księgach dawnych przysłów polskich znaleźć można mnóstwo sentencji i wyrażeń, świadczących, że ojcowie nasi nie bardzo pochlebne mieli pojęcie o innych trunkach, jak piwo, wódka, a nawet i wino. O miodzie nie tylko że nic złego nie mówiono, ale przeciwnie, zdania takie, jak „Dobrać się do miodu,“ „Jakby kto w serce miód wlewał,“ „Nie dbaj, choć pszczoła kasa, byleś miodu dostał“ i wiele innych świadczą najwymowniej, że go uważano za smakołyk nieladajaki.

W anegdotach z XVII w. spotykamy jedną, która dobrze również dowodzi, jak lubianym trunkiem był miód i jak

się bez niego dawniej żaden Polak obejść nie mógł.

„Podlasiąnin jeden postrzegł, że przez pijaństwo gorących trunków w nieważ się obracał. Z trafunku radzi się jednemu kapłanowi o swym zamiśle, iż od pijaństwa chce się wstrzymać. Dobrze masz znaki łaski Bożej, rzekł; radzę, abys nie pijał gorzałki. — Odpowiedź: gorzałka też i zdrowie mi popsowała, przez co niemam dobrej farby na sobie. — A wino będziesz pijał? — Nie będę, bo drogie; nie mogę w stodole nadażyć młócić. — A o piwie co rozumiesz? — I to mnie nie zdrowe, brzuch się odmie, a kaleta skureczy. — A od miodu nie mógłbyś też wstrzymać się? — Ojcie! tego do gardła mego nie odstąpię; a wszakżeby inni szynkarki w Międzyrzeczu szalonym nazwały; przyczem rzekł takie wierszyki:

Cuncta licet pereant, miodek niech
[zostanie,

Który niech będzie zawsze przy
[boku we dzbanie.

* * *

W czasach późniejszych taniłość wódek i innych trunków, zawierających znaczny procent alkoholu, wyrugowała nieco z użycia staropolski kordjał. Nie zuaczy to jednak, by go ludzie zupełnie używać przestali; przeciwnie, wielu jest takich, którzy innych trunków, prócz miodu, do ust nie biorą, bardzo sobie ten sposób chwaliąc. W Krakowie i Lwowie istnieją specjalne zakłady, urządzone na wzór staropolskich miodosytni, w których szynkowane bywają słynne miody Robackiego i Wójcikiewicza.

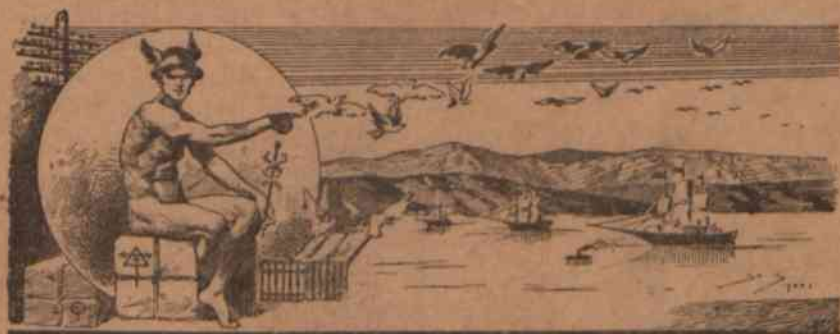
U nas do najwybitniejszych i najlepiej znanych miodosytni należą zakłady przemysłowe pod firmą „**L. Krzymuski**” Czerniakowska № 78. Firma ta, która spotykała się już niejednokrotnie za wyroby swe z publicznymi uznaniami, doprowadziła obecnie produkcję miodów do takiego stopnia doskonałości, że śmiało zaliczyć się może do najlepszych w tej dziedzinie

przemysłu. Miod, ażeby był dobry, winien być nie tylko smaczny, ale i zdrowy. Warunkom tym miody firmy „**L. Krzymuski**” odpowiadają w zupełności, a nadto posiadają jeden jeszcze nieoceniony przymiot: trwałość. Przechowywane w najniekorzystniejszych nawet warunkach nie tylko się nie psują, ale przeciwnie, z każdym dniem się udoskonalają.

Takimi przymiotami odznaczały się właśnie dawne staropolskie miody.

Tajemnice dworu francuskiego.

Powieść historyczna, ilustrowana, p. tyt. „**Margrabina de Pompadour**”, opisująca barwnie dwór Ludwika XV-o, daje dokładny obraz różnych ciekawych intryg z owej epoki, a zajmujących czytelnika od początku do końca. Znakomite to dzieło, przenosząc myśl czytelnika do czasów odległych, przedstawia ówczesne dzieje Francji, tej samej Francji, która i dziś jeszcze dostarcza światu tyle materiału do ciągłego interesowania się nią, nie przestając sobą zaciekawiać. Powieść powyższa — dobrze i starannie tłumaczona — obszerna, bo w 4-eh tomach, łączy w swej treści mnóstwo pięknych przygód historycznych, kreśli jaskrawo sylwetki osób politycznych z epoki XVIII w., a wkraczając w okres groźnej rewolucji francuskiej, mieści wierne z tamtych czasów epizody dziejowe. Dzieło p. t. „**Margrabina de Pompadour**” można nabyć w księgarni H. Kiegl (dawniej H. Olawski) przy ul. Mazowieckiej № 6, w całości albo też w pojedynczych zeszytach po 10 kop. Książkę czyta się z wielkim zajęciem, dla tego polecamy ją czytelnikom, żądnym chwili prawdziwej rozrywki. Zajmujące to dzieło wyszło w całości: 41 zeszytów rb. 4 kop. 10; z przes. poczt. rb. 4 kop. 80. Kupujący całość otrzymuje gratis dwa obrazy: oleodruki, albo akwarele, treści religijnej czy rodzajowej.



Atonja kiszek.

W szeregu cierpień powatających w warunkach życia wielkoniemiejskiego — przy pracy, wyczerpującej zasób sił nerwowych a pozbawionej ruchu i świeżego powietrza — wybitne miejsce zajmują niewątpliwie zaburzenia czynności narządów trawienia wogóle, a kiszek w szczególności; na tle ogólnego osłabienia układu nerwowego występuje najczęściej zaburzenie sprawności ruchowej kiszek, zwane przez lekarzy atonją. Zwalczanie tego cierpienia za pomocą środków wewnętrznych (dieta odpowiednia, wody mineralne), zabiegów hydropatycznych lub elektryzacji ścian brzusznych, przy niezmiennym trybie życia i pracy okazuje się bezskutecznem. W takich przypadkach lekarze zalecają ruch na wolnym powietrzu, gimnastykę i masaż. Każdemu, kto podlegał tym ostatnim metodom leczniczym, acz doskonałym w skutkach, wiadomo, jak uciążliwą staje się kuraacja, trwająca niejednokrotnie w ciągu kilku miesięcy.

W poszukiwaniu nowych środków zwalczania atonji, równie skutecznych

a zarazem mniej uciążliwych dla chorych, ostatnimi laty zwróciła na się uwagę świata lekarskiego jazda na welo-cypedzie. I słusznie, — ponieważ ruch, wywołowany jazdą na welo-cypedzie odpowiednio urządzonej, znakomicie przyczynia się do wzmożenia upośledzonej czynności kiszek.

Przyznały to największe powagi lekarskie świata. Niezbędnym jednak do tego warunkiem jest, aby rower był zbudowany racjonalnie. Użycie w takim celu maszyn wyścigowych nietylko, że nie może być pomocnem, ale jest wprost szkodliwym. Wszystkie części maszyny powinny być tak zastosowane, aby ruchy, potrzebne do poruszania jej, w zupełności zastąpić mogły rękoczynny masażowe. Takie właśnie maszyny, między innymi, z zastosowaniem wszelkich najnowszych ulepszeń, wpływających na lekkość chodu i trwałość rowerów, wyrabiają specjalnie warsztaty tutejsze p.p. **B. Wahren i S-ka**, w których składzie przy ulicy **Marszałkowskiej № 141**, rowery racjonalne każdy obejrzeć może.